

W podwojnym numerze na majówkę: bieganie mimo zagrożen,
historia hałasu, wakacje w klasztorze, nowa światowa waluta.

PRZE KRÓJ

nr 16/17 (3535), 22 kwietnia 2013,
cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT) www.przekroj.pl



Joanna Brodzik w obronie dzieciństwa

Emocjonujący spór o sześciolatki w szkole → 6

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

DEKS
1424

ISSN 0033-2488

1 6 >

**Świat jest tak skonstruowany,
że ludzie chorują, nie zawsze są też
zadowoleni z tego, jak wyglądają.
I po to jesteśmy my – lekarze.
Ja mam do spełnienia misję.**

**Sukces to rzecz osobista.
Dowiedz się, czym tak naprawdę
jest dla chirurga plastycznego
Marka Szczyta**

**NOWY NUMER
JUŻ W SPRZEDAŻY
Czytaj m.in.:**

**Isabella
Rossellini:**
Irytuje mnie kult młodości

Seksmisja
Biznes stworzony
dla przyjemności

Ostra jazda
na dwóch kółkach.
Ranking motocykli



PRZE KROJ



ZUZANNA ZIOMECKA

Posłanie dziecka do szkoły jest momentem utraty kontroli, którego kochający rodzice nie znoszą. Do strefy wpływu nad dzieckiem nagle wkracza pani nauczycielka (niestety, rzadko pan nauczyciel), podstawa programowa oraz, co również bywa traumatyczne, tłumy innych dzieci. Na moje oko to są główne emocjonalne przyczyny stojące za oporem wielu rodziców przed wysłaniem sześciolatków do budy. Rozumiem ich, oczywiście. Ukochanych się chroni, a akurat w przypadku polskiego systemu oświaty – jest przed czym. Ale czy adwlekanie chwili, w której dziecko nieuchronnie jednak tam trafi, zmieni szkołę na lepszą? No właśnie, a od problemów aż się roi. Weźmy taką podstawę programową. Sama ambasadorka akcji zbierania podpisów pod referendum w sprawie nieposyłania do szkoły sześciolatków, uroczą i uwielbianą przede mną Joanna Brodzik, przyznaje, że w wieku pięciu lat biegle czytała (str. 6). Tymczasem jej dzieci tej wiedzy nie otrzymają ani w przedszkolu, ani w zerówce. Podstawa programowa, celowo równająca poziom nauczania w dół, zapewniła, że alfabetu i liczenia w zakresie do 10 (!) dzieci uczą się dopiero w pierwszej klasie szkoły podstawowej. W wieku sześciu lub, jak niektórzy by woleli, siedmiu lat. Nauczycielki mają z roku na rok coraz więcej papierkowej roboty, czyli proporcjonalnie mniej czasu, by zająć się dziećmi (w każdym wieku), których w klasach przybywa. Nic dziwnego, że rodzice szukają alternatywy. Choć bohaterowie reportażu o domowym nauczaniu (str. 12) podają różne powody, dla których zdecydowali się na taką formę edukacji, łączy ich przekonanie, że dla ich dziecka (tego najbardziej ukochanego) szkoła nie jest odpowiednim miejscem. Pytanie, czy dla czyjegokolwiek dziecka jest.



MARCIN PROKOP

Kiedy planowaliśmy ten numer „Przekroju” i zawarty w nim tekst o zaraźliwym bacylu biegania (str. 42–49), tysiące zawodników szykowało się do udziału w Maratonie Bostońskim. Ani my, ani oni nie podejrzewali, że najstarsza tego typu impreza na świecie będzie miała taki finał. Do niedawna bieganie wydawało mi się najmniej efektywnym, najnudniejszym sportem na świecie. Dopiero kiedy sam go spróbowałem, zacząłem odrobinę rozumieć ducha maratonu. Bo to apoteoza życia w najczystszej postaci. Triumf determinacji nad lenistwem. Woli nad ograniczeniami. Jedności nad podziałami. Piękna sprawa. Miałem okazję obserwować z bliska kilka maratonów. Nigdy nie kojarzyły mi się z imprezą sportową, gdzie wyczuwa się stres rywalizacji, skupienie na wyniku i dramat przegranych; bardziej z luźnym rodzinnym piknikiem, gdzie jedynym z bardziej wzruszających obrazków jest widok całych kibicujących rodzin, czekających na mecie na swoich najbliższych. Niestety, w Bostonie kilkuletni chłopiec, zamiast paść w ramiona swojego ojca, padł nieżywy na ziemię po eksplozji. Jeszcze tego samego dnia na całym świecie, również w Polsce, spontanicznie zorganizowano kilkadziesiąt biegów solidarności z uczestnikami bostońskiej masy, nie zważając na ostrzeżenia, że na jednym ataku może się nie skończyć. Nawet w obliczu tragedii i bezsensownego zła duch maratonu zwyciężył strach. A to już coś więcej niż zwykły sport.

NA POCZĄTEK

W tym tygodniu nie piszemy...

...o tym, że amerykański Senat odrzucił ponadpartijną ustawę o zwiększeniu kontroli kupujących broń palną. Barack Obama, który po masakrze w Newtown był orędownikiem zaostreżenia przepisów, powiedział: „To dzień wstydu dla Waszyngtonu”. Nic dodać, nic ująć.

...o tym, że zniesienie wiz dla Polaków wjeżdżających do USA coraz bliżej. Zobaczymy – uwierzmy.

...o modernizacji polskich banknotów. Obowiązująca obecnie wersja jest w obiegu od 1995 roku i ponoć jest przestarzała. NBP obiecuje, że różnicę będziemy w stanie dostrzec gołym okiem. Najważniejsze, żeby w portfelach nie było golo. I żeby nie zabrali nam Chrobrego.

...o Piotrze Tymochowiczu. Były doradca do spraw wizerunku Andrzeja Leppera nawiązał ścisłą współpracę z SLD. Rzecznik partii oświadczył, że to znak „nowego otwarcia”. Nowego? A nam się wydaje, że to wydeptane dawno ścieżki.

...o tym, jak Janusz Korwin-Mikke został gwiazdą światowych mediów. Gdzie? Na pogrzebie Margaret Thatcher. Polski polityk bardzo przeżywał, że wzmianka o nim pojawiła się w „The Daily Telegraph”. Donosił o tym na Facebooku. Nie ma to jak pogrzebowy lans.

RACZKOWSKI





AKTUALNOŚCI

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Intuicja kontra system O społecznej akcji Ratuj Maluchy z Joanną Brodzik rozmawia Zuzanna Ziomecka
- 12 → **EDUKACJA** Szkoła w domu Anna Sańczuk

GRUBE SPRAWY

- 26 → **ŚWIĘTOWANIE** Pomarańczowa rewolucja Julia Lachowicz
- 30 → **GŁOŚNA WARSZAWA** Wiele hałasu o ciszę Olga Świącicka
- 34 → **HISTORIA HAŁASU** Gwałty mierzone w decybelach Franciszek Barwiński
- 38 → **PIENIĄDZ** Złoto, które się nie świeci Grzegorz Siemionczyk
- 42 → **MARATONY** Największe lęki maratończyka Z Henrykiem Szostem, najlepszym europejskim długodystansowcem, rozmawia Krzysztof Rawa

- 46 → **MARATONY** Moc jest z nami Paulina Nowosielska
- 50 → **PODRÓŻE** Sacrum zamiast spa Anna Wittenberg
- 54 → **PODRÓŻE** Noc jak marzenie Patryk Chlewicki
- 58 → **PODRÓŻE** Fallusy, włosy, kicz Michał Cessanis
- 62 → **PODRÓŻE** Długi cień apartheidu Wodzisław Kiciński

KULTURA

- 66 → **KINO** Mój pitbull nazywa się Greta Garbo Z Udo Kierem rozmawia Barbara Hollender

RACZKOWSKI



- 70 → **SZTUKA** Znikająca dziewczyna Stach Szablowski
- 74 → **SZTUKA** Sztuka erotycznej ekstazy Z Witoldem Kaczanowskim, malarzem i rzeźbiarzem, rozmawiają Bartosiak & Klinke
- 80 → **ARTVOLVER** Trzy strzały
- 84 → **FILMY** Recenzuje Dorota Chrobak
- 86 → **MUZYKA** Recenzują Angelika Kucińska i Bartek Winczewski
- 88 → **LITERATURA** Wykłady z Batmana Marcin Kube

ROZMAITOŚCI

- 90 → **DESIGN** Proste przyjemności Korespondencja Wandy Modzelewskiej z mediolańskich targów Isaloni
- 92 → **FANTY I FETYSZE** Wybierają Beata i Paweł Konarscy Barbara Redo
- 94 → **PO-PATRZ** Bajki dla prawie dorosłych Kuba Dąbrowski
- 96 → **WINA** Napijmy się razem Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 21 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Republika policyjna
- 23 → **MAX CEGIELSKI** Wieszczy szumi
- 25 → **GRZEGORZ PIĄTEK GOŚCINNIE** Syndrom modliński
- 82 → **MACIEJ NOWAK** Co następnym razem?

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.prze-kroj.pl,
e-mail: doredakcji@prze-kroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarniecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Wojciech
Mikotuszko, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szablowski, Mike Urbaniak,
Jerzy Ziemiacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar
Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoodycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnocka
Korekta: Dominika Stepien,
Agnieszka Ujma

Strona internetowa: KRC Media.pl
Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektor
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;
Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencji i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:

prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefonicznie Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydanie:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.rp.pl
Dostęp na stronie www i wersje na iPad
Prenumerata na iPad przez App Store
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,
rok – 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł
Informacje: serwisy@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Zdjęcie na okładce:
Kuba Dąbrowski

PRZEKROJ numer 161

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl / zakupy

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA, ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

Intuicja kontra system

Pięć lat temu **Joanna Brodzik** urodziła bliźniaki. Od tej pory o wiele mniej pracuje przed kamerą i poświęca czas rodzinie. Niedawno jednak jej nazwisko pojawiło się na liście ambasadorów akcji „**Ratuj Maluchy**”, która promuje referendum w sprawie wysyłania sześciolatków do szkoły. Wypytałismy ją więc o macierzyństwo made in Poland i mankamenty systemu oświatowego.

Ciężko było zdecydować się na dzieci?

Decyzja o posiadaniu dziecka to bardzo prywatna sprawa... Dzisiaj z perspektywy ostatnich pięciu lat życia mogę powiedzieć, z odrobiną ironii, że nie była to trudna decyzja, bo nie wiedziałam, w co się pakuję! To jest chyba najbardziej uczciwa odpowiedź, na jaką mnie stać. Nie mieliśmy pojęcia, ja i mój partner, co oznacza bycie rodzicami. A co dopiero rodzicami bliźniaków!

Trudną decyzję, o której mówisz, podejmuje coraz mniej osób.

Jeśli w ogóle zadają sobie jakiegokolwiek pytania na temat egzystencji, to tak. Świadomi ludzie mają z tym problem. Myślę, że to wynika ze splotu wielu czynników. Na pierwszym miejscu jest sytuacja zawodowa, niepewność związana z tym, co będzie się działo za 5, 10, 15 lat. Większość osób w Polsce nie może liczyć na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz, oprócz rodziców, jeśli ich mają. Nie ma realnego socjału w naszym kraju. Z dużym zdziwieniem i jednocześnie zrozumieniem obserwowałam wzrost dzietności Polek po wyjeździe na Wyspy Brytyjskie, gdzie wsparcie państwa jest na o wiele wyższym po-

ziomie. Tak. Okoliczności zaproszenia na świat nowego człowieka w Polsce są coraz trudniejsze. Niestety, najbardziej odczuwają to właśnie ci ludzie, którzy mogliby zostać fajnymi, świadomymi rodzicami.

Masz na myśli sytuację ekonomiczną. A społecznie? Relacje damsko-męskie są inne, niż były w okresie naszej największej dzietności.

Wiesz, stare chińskie przekleństwo brzmi: obyś żył w ciekawych czasach, i trochę tego dziś doświadczamy. Ostatnio usłyszałam, że w historii Polski właściwie nie było tak długiego okresu bez czynnych działań wojennych czy zaangażowania w jakiś konflikt. To wszystko zmienia. Wcześniej w każdym pokoleniu Wielka Sprawa wyciągała mężczyzn z domu, a kobietom narzucała czuwanie nad domostwem, opiekę nad rosnącymi łanami, potomkami i zarządzanie tym całym bałaganem.

A teraz, w czasach pokoju, z braku laku rzuca się sobie nawzajem do gardel. Człowiek to jednak klótliva bestia.

Pierwszy raz w historii mamy do czynienia z taką możliwością, że młodzi mogą spokojnie dorosnąć, wykształcić się, po-

tem usiąść razem przy stole i zastanowić się, co dalej. Nikt nie musi chwycić za szablę, lecieć z kimś walczyć, a przynajmniej nie w taki sposób, który by determinował losy całego pokolenia. Więc możemy, dziewczyny i chłopaki z pokolenia pokoju, skupić się na budowie tego, co w innych społeczeństwach funkcjonuje od dawna, a u nas dopiero pączkuje. To naturalne, że związki międzyludzkie ulegają przeobrażeniom. Jakkolwiek bolesne by to było – jestem za! Widzę mnóstwo par, które dzielą się obowiązkami w sposób, który jeszcze 20–30 lat temu był niemożliwy na wielu poziomach – psychiki, gotowości, świadomości. Ojcowie, którzy są zaangażowani w proces wychowania, mnie zachwycają. Oczywiście to nie jest jakaś nowość typu nanotechnologia, takie przypadki zdarzały się w historii cywilizacji. Ale to super, że my, Polki możemy tego doświadczać z naszymi mężczyznami. Nie martwi mnie, że to jakiś kryzys męskości. To jest po prostu zmiana wynikająca z nowych możliwości i z czynników historycznych.

Przyznaję, że kierunek jest dobry. Ale droga za to wyboista. Podczas naszej małej rewol-



ucji obyczajowej mężczyznom zabrano brzemień odpowiedzialności za rodzinę. Nie muszą już być jej głową. W związku z tym czasem wybierają bawialnię zamiast gabinetu i cały obowiązek dbania o byt i szczęście rodziny łąduje na barkach naszej nowej, wspaniałej dziewczyny. Fajne to?

Nie demonizowałabym... Jeśli kobieta pozwala sobie na to, żeby zwolnić partnera z odpowiedzialności za wspólne życie, to potem sama musi się męczyć. Gdyby ktoś codziennie przygotowywał ci śniadanie, a twoje ubrania cudownym zrządzeniem zjawiały się na półkach pachnące i wyprasowane, to nie zgodziłabyś się na to w podskokach? I zadawałabyś sobie pytanie, kto poszedł po bułki? To tkwi w naszej naturze, myślę, że winę w dużej mierze ponoszą kobiety, które tak bardzo chcą być kochane, perfekcyjne, tak bardzo chcą, żeby ich partnerzy czuli się dobrze w związku, że biorą na siebie zbyt wiele.

Ciekawe, dlaczego się takie zrobiliśmy.

Głównym czynnikiem jest tu chyba wychowanie. No, ale kiedy stajemy się dorośli, to my decydujemy o tym, co z tego wychowania bierzemy, a czego nie, prawda?

Zależy, na ile jesteśmy świadomi.

Być może jest tak, jak mówią socjologowie, że mężczyźni wychowywani przez samotne mamy są przyzwyczajeni do tego, że kobieta ma rolę kierowniczą w domu, której się trzeba poddać, i jak powie: „Wyrzuć śmieci”, to wyrzuci, ale już nie zauważy, że trzeba pranie do pralki włożyć, a kubek odstawić na miejsce.

Teraz mówi się „samodzielne” matki i jest ich na pęczki, w porównaniu z pokoleniem naszych rodziców.

Nie wiem, czy masz podobne spostrzeżenia, ale wydaje mi się, że pary teraz mają wielką łatwość w rozstawianiu się. Mówię o tym z perspektywy kogoś, kto ma za sobą w związku długi staż i wie, co to znaczy, kiedy



przechodzi się przez tzw. wielką próbę. Pojawienie się dziecka czy dwójki dzieci jednocześnie, jak w naszym przypadku, jest w moim pojęciu doświadczeniem granicznym. Tracisz wówczas resztki sił i musisz się uporać z naprawdę ekstremalną sytuacją. Obserwuję dookoła rozpadające się pary, na różnych etapach bycia razem. Mam wrażenie, że niewiele osób zadaje sobie trud uczciwej pracy nad związkiem. I nie mówię tu o pójściu do terapeuty, głównie po to, żeby nakarmić swoje ego. Terapia jest często traktowana jak elegancki obowiązek podczas „rozstania w przyjaźni”. Ja tego nie kupuję. Moim zdaniem, jeśli dorośli ludzie będący parą z jakiegoś powodu przechodzą kryzys, to nie traktują tego trudnego momentu jako pretekstu do odpuszczenia i zarzucenia grzywą w poszukiwaniu następnego partnera. Jak jest problem, siadają naprzeciwko siebie i mówią: „Słuchaj, to i to nam nawala, musimy to naprawić”. Tylko do tego potrzeba dwojga ludzi. O podobnym poziomie chęci...

JOANNA BRODZIK

rocznik 1973. Absolwentka warszawskiej PWST (1996). Szerszej publiczności znana z seriali (m.in. „Kasia i Tomek”, „Magda M.” oraz „Dom nad rozlewiskiem” i jego trzech kontynuacji).

„RATUJ MALUCHY”

Celem akcji jest odwołanie przez rząd reformy obniżenia wieku szkolnego. 8 stycznia rozpoczęto zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum. Akcję, oprócz Joanny Brodzik, wspiera m.in. Marcin Dorociński. Więcej informacji na www.ratujmaluchy.pl.

To jest niby oczywiste, ale jednak mało powszechne.

No bo to jest cholernie trudne! Trzeba odłożyć żale, ego, gdzieś je przytrzymać pod twardym obcasem i po prostu zadać sobie nawzajem pytanie: „Co jest ważniejsze?”.

Moja babcia mówi, że dzieci są najważniejsze.

A ty byś chciała żyć w domu, w którym rodzice pozostali ze sobą dla dobra dziecka? Ja nie. Mam wrażenie, że to bywa wymówka – ludzie żyją w niewiści pod jednym dachem nie dla dobra dzieci, tylko dlatego, że nie mają odwagi się naprawdę skonfrontować z problemem w związku. Wybierają tkwienie przy sobie lub ucieczkę. Byle nie spojrzeć sobie naprawdę w oczy. Dziś jest tak łatwo wejść z jednego związku w drugi, tak łatwo mieć rodzinę patchworkową, że stało się wręcz trendy, żeby mieć siedem mamusi. Wszyscy się kochają, wysyłają sobie świąteczne SMS-y, podrzucają swoje i przyszywane dzieci do szkoły. Rozumiem, że takie sytuacje mogą mieć miejsce. Życie różnie nam się układa. Natomiast łatwość,

z jaką ludzie opuszczają związek, kiedy pojawia się jakiś problem, mnie dziwi.

Może tradycyjna rodzina jako forma społeczna się po prostu zdezaktualizowała?

Nie wierzę w to! Forma jest dobra, ale to nie znaczy, że jest łatwa w obsłudze. Często problemy rozwalające związki są do rozwiązania, tylko obie strony muszą chcieć podjąć się tej pracy i się jej nie bać. Bliska mi osoba przyznała ostatnio, że przez kilkanaście lat swojego związku bała się wywołać jakąkolwiek sytuację konfliktową. Mimo że bywała niezadowolona, że jej się różne rzeczy nie podobały, milczała ze strachu przez odrzuceniem. Miała takie wyobrażenie, że szczęśliwy związek musi być permanentnie „shiny”. Że nie mogą się w nim zdarzać sytuacje konfliktowe, kiedy „z wyszczerzonymi kłami rzucasz się do gardła partnerowi i masz ochotę przegryźć mu tętnicę”, bo tak bardzo jesteś na niego na nią wściekła. Sztuka polega na tym, by taką sytuację razem przeżyć i pokonać, by móc sformułować zrozumiałe zarzut drugiej stronie. A ta druga strona

musi być dzielna i nie uciekać, tylko odpowiedzieć na ten atak konstruktywnie, zadając sobie pytanie: „Skoro ona się na mnie wścieka, to może robię coś nie tak?”. Ta bliska mi osoba nie zrobiła ani jednego ruchu w tym kierunku. Związek się rozpadł.

Ale to ta osoba miała jakieś nierealne wyobrażenie na temat związków.

Wzór rodziny wynosimy z domu, z matki, z kobiecych magazynów, seriali, filmów. Ludzie biorą te wzory za najlepsze i chcą, żeby ich życie tak właśnie wyglądało.

To nie koniec. Dochodzą jeszcze kurioza współczesnego rodzicielstwa. Dzieci pchane do udziału w kinder-wyścigu szczurów, traktujemy dzieciństwo naszych maluchów jako pole do spełnienia naszych zaległych marzeń z dzieciństwa w PRL-u. Nowa Matka Polka wychowuje według wymagającej teorii bliskości, a Ojciec Polak miewa tremę przed wejściem w nową rolę.

Ale wiesz, że mówisz o jakiejś kompletnie oderwanej od średniej populacji grupie ludzi? Nie czytywałam się w książce o wychowywaniu w bliskości. Nie znam tego trendu od strony teoretycznej, ale instynktownie wiem, że nie da się dobrze wychować dzieci bez bliskości. My na przykład nosiliśmy dzieci w chustach, bo mieliśmy świadomość, że chłopaki jako wcześniaki potrzebują więcej bliskości niż dzieci donoszone. To pomagało im i nam nadrobić zaległości w przytulaniu, które mieliśmy z powodu nagłego pojawienia się synków na świecie. A poza tym chusta jest nieporównanie wygodniejsza niż ogromny wózek dla bliźniaków!

Śpicie z dziećmi?

To jest intymna rzecz związana z trybem życia rodziny, temperamentami rodziców, ich zwyczajami, nawykami. Nikt nikomu nie powinien dyktować żadnej powinności w tej sferze. Członkowie rodziny potrafią znaleźć miliony sposobów na okazanie sobie bliskości i nie uważam, żeby jedynym właściwym było pakowanie całej drużyny piłki nożnej do łóżka.

Mówisz o używaniu intuicji. Po co nam intuicja, skoro dziesiątki eksperckich poradników w księgarniach tłumaczą dokładnie, jak robić wszystko, by wychować asa?

Bo tylko ja wiem, czuję i widzę, kim są członkowie mojej rodziny, i tylko na tej podstawie mogę budować z nimi relacje. Rodzina składa się z różnych ludzi i to, że mama czy tata wymyślą sobie, że będziemy jeździć na grzyby albo że będziemy skakać ze spadochronem, nie oznacza, że wszyscy w rodzinie są na to gotowi i powinni się do tego przystosować. Nawet jeśli noblista stwierdzi, że to jest najlepszy pomysł, ja tego nie zrobię. Za nic nie przywiązałabym sobie prześcieradła do pleców i nie skoczyła z samolotu, jeśli nie byłoby zagrożenia życia. Tymczasem dla innych osób to wspaniała przygoda. Nie chciałabym, żeby moi rodzice zmuszali mnie do czegoś, co by się kłóciło z moją konstrukcją, i nigdy bym nie chciała takiego przymusu stosować wobec swoich dzieci. Bliskość w rodzinie powinna być oparta na słuchaniu człowieka, który jest jej członkiem, i podążaniu za jego potrzebami.

Świadomość i gotowość, żeby wziąć na siebie trud przestrzegania zasad panujących w szkole, są zupełnie inne u sześciolatka niż u siedmiolatka. Wiedzą o tym np. Finowie, którzy posyłają dzieci do szkoły w wieku siedmiu lat i mają wspaniałe wyniki w edukacji.

A jeśli rodzice potrzebują zabiegu in vitro, to powinni mieć refundację od państwa?

Tak. Państwu zależy przecież na tym, żeby rodziło się w Polsce jak najwięcej dzieci. Na zabieg in vitro decydują się ludzie, którzy dają komunikat: „Bardzo chcemy mieć dziecko. Jesteśmy na to gotowi, jesteśmy gotowi ponieść koszty psychiczne, fizyczne, materialne, każde, żeby powołać na świat dziecko”. Nie twierdzą, że metoda in vitro jest doskonała, bo nie jest, natomiast przez

szacunek dla determinacji tych ludzi uważam, że powinna być przynajmniej częściowo refundowana, bo jest bardzo droga i wielu na nią nie stać.

Państwo powinno w tym pomagać, jeśli mówi, że prowadzi politykę prorodzinną. Sądziś, że pary jedнопłciowe mogą być dobrymi rodzicami?

Myślę, że każdy powinien mieć możliwość adoptowania dziecka. Oczywiście musiałby przejść przez zbudowaną przez specjalistów procedurę kwalifikacyjną, mieć stałą pracę, być szanowany w swoim środowisku, być najzupełniej w świecie fajnym człowiekiem, dobrym obywatelem. Jeśli dojrzała, zdrowa i świadoma osoba deklaruje, że chciałaby dziecku, które zostało pozbawione rodziny, taką rodzinę stworzyć, to powinno się zrobić wszystko, żeby jej to umożliwić. A nie odwrotnie.

Osoby o orientacji homoseksualnej też?

To nie ma żadnego znaczenia. Jeśli dorośli człowiek, który jest dobrym obywatelem, dobrym człowiekiem, nadaje się do tego, żeby zostać rodzicem, spełnia takie warunki, państwo powinno zrobić wszystko, żeby mu to umożliwić, dlatego że nie ma większego nieszczęścia dla dziecka niż brak rodziny.

Porozmawiajmy o obniżeniu wieku, w jakim polskie dziecko miałyby pójść do szkoły. W Wielkiej Brytanii dzieci lądują w szkole już w wieku czterech lub pięciu lat. W Polsce próby obniżenia wieku szkolnego przez MEN z siedmiu na sześć lat spotykają się z oporem. Między innymi twoim. Dlaczego?

A widziałaś primary school w Wielkiej Brytanii? Widziałaś, jak wygląda? Zupełnie inaczej niż polska podstawówka. I to, że można tam posłać dziecko czteropięcioletnie, które rozpoczyna edukację, nie oznacza tego samego, co posłanie go do polskiej podstawówki. Konstrukcja pierwszych trzech lat edukacji na Zachodzie opiera się na najnowszych badaniach dotyczących rozwoju psychoruchowego dziecka. System edukacyjny bierze pod uwagę rosnącą, ale ciągle niewielką zdolność do skupienia uwagi i przystosowuje do tego pro-

gram oraz warunki zewnętrzne, przygotowując dziecko do kolejnych kroków w edukacji. A my mówimy o czymś zupełnie innym! Polska władza doszła do wniosku, że fajnie będzie wyglądało, jak sobie pójda na lunch w Brukseli i powiedzą: „A nasi też chodzą do szkoły od szóstego roku życia!”. No i co z tego, kiedy polskie szkoły nie są na to gotowe! Mówimy o tym, że się bierze dzieci na różnym poziomie rozwoju i każe siedzieć w ławkach przez pięć godzin dziennie, spełniając obowiązek ucznia. Co z tego, że nie ma ocen, kiedy schemat szkoły, schody, ubikacje, korytarze nie są w ogromnej większości przygotowane na przyjęcie sześciolatniego malucha!

Jest kilka powodów, które by przemawiały jednak za tym, żeby sześciolatki poszły do szkoły...

No, na przykład szybciej pójda do pracy i zaczną płacić podatki, prawda?

Na przykład fakt, że jest ponad 500 gmin w Polsce, w których nie ma przedszkoli. W ogóle. Zmiana podstawy programu szkolnego, który przeniósł naukę czytania i pisanie z przedszkola do pierwszej klasy, był między innymi plasterkiem na tę ranę. Skoro nie ma przedszkoli, to zamiast je wybudować, zrobimy tak, żeby każde dziecko, nawet bez wczesnej edukacji, mogło wskoczyć w system podstawówki i być mniej więcej na tym samym poziomie wiedzy.

Mówimy o problemie dotyczącym gmin, a nie mówimy o globalnym problemie dotyczącym całego pokolenia sześciolatków i konsekwencjach wrzucenia do systemu edukacji małych ludzi, którzy nie są na to gotowi.

Ale czy problemem jest to, że dziecko sześciolatnie nie jest gotowe, żeby nie być w przedszkolu, czy że nasz system edukacyjny nie jest gotowy na sześciolatka?

Zdaniem pedagogów, specjalistów i naukowców z całego świata, również brytyjskich rozpoczynanie edukacji szkolnej w wieku sześciu lat bywa katastrofalne dla ich rozwoju, szczególnie dla chłopców. Tymczasem posłanie dzieci do szkoły rok później, kiedy goto-

wość psychomotoryczna przesuwają się na inny etap, pozwala rozpocząć edukację w znacznie lepszym momencie. I wychować mądrzejszego, zdrowszego człowieka!

Przecież w przedszkolu jest psycholog, który pozwoli zidentyfikować niegotowe dzieci i dać im możliwość przeczekania. Mówimy o rzetelnym systemie obsługi wyjątków, który jest niewątpliwie potrzebny, ale nie podważa ogólnoswiatowej oceny, że sześciolatki są zlaknione wiedzy i mają niesamowity potencjał poznawczy, który szkoda marnować w poczekalni, jaką jest obecna zerówka.

Ale pomiędzy „niezdolne” a „gotowe” jest bardzo szeroka przestrzeń do manipulacji, przeoczeń i nadużyć. A poza tym ten test gotowości szkolnej wykonywany jest w przedszkolu, w bezpiecznej, znanej dobrze i oswojonej przestrzeni, w której dzieci są „u siebie”! Tymczasem w podstawówce połączonej z gimnazjum, gdzie galopują 13-latkami, sześciolatki nie czują się tak bezpieczne i gotowe. Tego, niestety, już nikt nie bada...

Poszłam do szkoły, kiedy już bardzo dobrze czytałam i pisałam, ponieważ zaczęłam czytać w wieku pięciu lat – byłam już na etapie „Króla Maciusia” i „Potopu”.

Oczywiście. Jednak gotowość placówek jest poprawiana od lat. Większość już spełnia minimalne wymogi MEN, a wiele poszło dalej. Oczywiście tu też się znajdują wyjątki, ale to wciąż nie jest dla mnie przekonujący argument. Zastanawiam się, w czym tak naprawdę problem, bo referendum, czy sześciolatnie dzieci powinny pójść do szkoły, jest dość ekstremalnym podejściem do propozycji, która sama w sobie, co pokazuje przykłady ze świata, nie jest zła. Jak zmienić system, by działał dla dobra dzieci?

Moim zdaniem szkoły nie są przygotowane, o czym głośno alarmują pedagodzy. Ba, nawet program nie jest odpowiednio skonstruowany, żeby przyjąć

dzieci, które np. nigdy nie miały doświadczenia z edukacją.

Program już został pod nie zmieniony. Skutek jest taki, że przedszkolom nie wolno uczyć dzieci alfabetu, w zerówce utrwalają wiedzę przedszkolną, a dopiero w pierwszej klasie uczą się literki i operacji matematycznych w zakresie do 10. Dzięki temu dzieci, które nie były w przedszkolu, mają szansę na średnią ocenę w tym programie.

Mój stosunek do tego problemu w najmniejszym stopniu dotyczy tego, czy dzieci uczą się liter czy nie. We mnie wzbudza opór to, że poziom stresu, budynki szkolne i sposób nauczania nie są odpowiednie dla dziecka sześciolatniego. W opinii naukowców sześciolatek nie jest gotów, żeby przekroczyć ten próg bez szkody dla dalszego rozwoju.

W Polsce. Bo w Anglii, Belgii, Grecji, Portugalii, Bułgarii, Nowej Zelandii i w Ameryce jest.

I dzisiaj w wielu tych krajach obserwacja dzieci zaczynających edukację szkolną w wieku sześciu lat zmusza do dyskusji i weryfikacji tej tezy.

Ja chodziłam do podstawówki w Ameryce. Wchodziłam tym samym wejściem co ósmoklasiści. Być może nie ma sensu porównywać Ameryki do Polski, ale zastanawiam się, na ile przemawia przez was lęk, żeby w ogóle puścić dzieci do szkół. Być może mamy przekonanie, że polskie szkoły w ogóle nie są dobrym środowiskiem dla dzieci.

Świadomość i gotowość, żeby wziąć na siebie trud przestrzegania zasad panujących w szkole, są zupełnie inne u sześciolatka niż u siedmiolatka. Wiedzą o tym np. Finowie, którzy posyłają dzieci do szkoły w wieku siedmiu lat i mają wspaniałe wyniki w edukacji.

To dlaczego tak znaczna część rozwiniętego świata się na to zdecydowała?

Być może dlatego, że w odróżnieniu od np. ludów pierwotnych w rozwiniętym świecie tak mało się słucha dzieci i ich potrzeb. One muszą funkcjonować w społeczeństwie, które im wyznacza rolę sześciolatków idących do szkoły.



We wszystkich kulturach dzieci były odłączane od grona kobiet i zaczynały edukację w wieku siedmiu lat. Przechodziły inicjację i zaczynały poznawać zasady rządzące światem zewnętrznym. Niezależnie od kręgu kulturowego. Mówimy o dzieciach Aborygenów, dzieciach wychowywanych przez plemiona afrykańskie, indiańskie.

Ale te dzieci nie szły w ogóle do szkoły.

Zależy, co nazwiemy szkołą. Jeśli nazwiemy szkołą wyjście do dżungli i naukę, jak rozpoznawać ślady zwierząt, jak nauczyć się roślin, jest to szkoła przeżycia.

Jak wspominasz własną podstawówkę?

Pierwsze trzy klasy, ze względu na reżim rejonizacji, chodziłam do szkoły, do której musiałam pół godziny iść pod górę. Tymczasem miałam inną szkołę, dosłownie 200 m od domu. Ta moja szkoła była zbiorcza. Przyjeżdżały do niej dzieci z okolicznych wiosek. To było dla mnie, wychowanej na rynku, dosyć fajne, bo poznałam kolegów, którzy mieli kury, kaczki, krowy i inne żyjątka. Nie miałam wcześniej szansy poznać wiejskiej strony życia. Ale pamiętam głównie tę trasę ze szkoły i do szkoły, te długie wędrówki.

Byłaś pilną uczennicą, dobrze sobie radziłaś?

Tak, poszłam do szkoły, kiedy już bardzo dobrze czytałam i pisałam, ponieważ zaczęłam czytać w wieku pięciu lat i byłam już na etapie „Króla Maciusia” i „Potopu”. Może dlatego nie bardzo te klasy 1–3 przeżyłam. Dopiero od czwartej klasy szkoła mnie bardziej zainteresowała. Ale szybko dotarło do mnie i do moich mądrych nauczycieli, że matematyki ze mnie raczej nie będzie, więc pozwalano mi na czytanie pod ławką.

To nietypowe jak na polski system. A co byś przeniosła z tamtej podstawówki do szkoły twoich synów?

Na pewno bardzo bym chciała, żeby trafili na ludzi, którzy potrafią zarządzać potencjałem oraz szanować i dostrzegać to, że każde dziecko przychodzi

na świat z jakimś talentem. Ja miałam to szczęście, że na takich ludzi trafiłam i że mój profesor w liceum, który był jednocześnie dyrektorem, wiedział, że nie rozwiązę ani jednego zadania z matematyki, a mimo to dopuścił mnie do matury, bo wiedział, że z polskiego będę miała szóstkę. Takiej atmosfery i takich nauczycieli życzyłabym wszystkim dzieciom. Zresztą to chyba jest bardzo bliskie myśleniu amerykańskiej edukacji, czyli edukacji, która tworzy wielu ludzi utalentowanych i zmieniających świat na lepsze.

Czego najbardziej się obawiasz? Poza wiekiem szkolnym?

Agresji, przemęczonego nauczyciela, który nie jest w stanie sensownie i kreatywnie działać, bo ma zbyt wiele dzieci w klasie i za dużo papierkowej roboty.

Ale tak bardziej systemowo? Czy uważasz, że jest wystarczająco dużo egzaminów? Może powinno być więcej?

A wiesz, że może tak! I wprowadziłabym jeszcze jeden etap. Żeby poza podstawówką, gimnazjum i liceum była jeszcze... przeprowadzka. I najlepiej żeby trzeba się było przeprowadzić do innego miasta. I żeby jednego dnia musiały chodzić do szkoły na szóstą, a drugiego na siedemnastą. Jak przyzwyczajając małolatki do stresu, to na całego!

Przydałoby się też więcej sklepików z junk foodem.

Tak. I z napojami gazowanymi też!!!

Bo to uczy dzieci zarządzać pieniędzmi.

Jeśli chodzi o zarządzanie pieniędzmi, to dobrze by było, gdyby do szkół wprowadzono jednoręcznych bandytów. O! I ten WF to by trzeba było raczej zlikwidować!

Może w przeciągu roku, który dzieli twoich synów od pójścia do szkoły, MEN się z tym wszystkim wyrobi?

Mam wielką nadzieję, że uda się nam, rodzicom, zwrócić uwagę na fakt, że posyłając dzieci do szkoły za wcześnie, determinujemy losy całego pokolenia.



9-letnia Hania Potocka miała kłopot ze zwykłą szkołą: zadawała nauczycielkom pytania, na które nie dostawała odpowiedzi. Teraz uczy ją mama. Chodzi też na judo, basen i na języki z grupą innych dzieci.

kie zioła i rośliny w jakich proporcjach), Olek będzie zgłębiał zagadnienia z historii sztuki. Tak wyglądają „lekcje” dzieci, które prawie rok temu zrezygnowały ze szkoły systemowej, by uczyć się w warunkach domowych.

Nauka wolności

Inicjatorkami tego „skoku na głęboką wodę” było kilka zaprzyjaźnionych mam, w tym Marianna Kłosińska, prezeska Fundacji Bullerbyn i matka trójki dzieci, z których najstarsza córka studiuje, średnia zdecydowała się zostać w społecznym gimnazjum, a najmłodszy Olek dołączył do grupy edukacyjnej, która w dużym stopniu opiera się na zasadach unschoolingu Johna Holta.

– Chciałyśmy dać dzieciom szansę wyjścia spod nieustannej presji. Jedzenie na dzwonek, odpoczynek na dzwonek, uczenie się odtąd dotąd. Są badania, które pokazują, że na 45 minut lekcji szkolnej nauczania efektywnego są najwyżej 4 minuty, kolejne 4 są neutralne, a cała reszta to działanie destrukcyjne. Atutem szkoły na pewno jest kontakt z przyjaciółmi, duża społeczność, ale wprowadzająca też nierzadko sztuczne podziały – tłumaczy Marianna.

Małgorzata Corvalan, mama Maćka i Misi, dodaje: – Szkoła oficjalna się usztywnia. W kółko tylko testy, testy, testy. A to nie przystaje do dzisiejszego świata, w którym nikt nikomu pracy już nie gwarantuje i który wymaga przedsiębiorczości, inwencji, tworzenia sobie tej pracy samemu. Polska szkoła jest wobec tego bezradna, tkwi w schematach

ANNA SAŃCZUK, ZDJĘCIA JAKUB OSTAŁOWSKI

Szkoła w domu

Rodzice, którzy wybierają dziecku szkołę, toczą niekończące się dyskusje o wyższości szkół publicznych nad społecznymi i spierają się, czy sześciolatki powinny zasiąść w szkolnych ławach czy też nie. Jednak wiele rodzin nie zwraca sobie głowy takimi dylematami. To ci, którzy **uczą swoje dzieci w domu**. Ich liczba stale rośnie.

Swiętochów koło Warszawy, placówka Fundacji Bullerbyn (organizują m.in. warsztaty dla rodziców i wakacje dla dzieci). Wokół las, w domu przy buzującym kominku trójka dzieciaków: Olek i Maciek (szósta klasa) oraz Misia (pierwsza klasa gimnazjum), brakuje jeszcze jednego chłopca, który tego dnia nie mógł dojechać. Oglądają z meksykańskim wolontariuszem Sergiem atlas ptaków. Porównują, które ptaki można spotkać w Polsce, a które w Meksyku (biologia i geografia), rozmawiają o tym po angielsku i hiszpańsku (języki obce). W pewnym momencie ktoś pyta, czy w Polsce można legalnie hodować w domu sowę, i wszyscy rzucają się do Internetu, żeby to sprawdzić. Czuwa nad nimi Ania Pękała, z zawodu nauczycielka historii i WOS-u, tutaj jako mentorka wspierająca dzieciaki w ich własnej ścieżce nauczania. Dziś czeka ich jeszcze wspólny posiłek, spacer po lesie, gra w ping-ponga. Potem każdy zajmie się tym, co go interesuje. Maciek historią mieczy, Marianna sposobami na uzyskanie najlepszej mieszanki paszowej dla koni (ja-

W pewnym momencie ktoś pyta, czy w Polsce można legalnie hodować w domu sowę, i wszyscy rzucają się do Internetu, żeby to sprawdzić. Czuwa nad nimi Ania Pękała, z zawodu nauczycielka historii i WOS-u, tutaj jako mentorka wspierająca dzieciaki w ich własnej ścieżce nauczania. Dziś czeka ich jeszcze wspólny posiłek, spacer po lesie, gra w ping-ponga. Potem każdy zajmie się tym, co go interesuje. Maciek historią mieczy, Marianna sposobami na uzyskanie najlepszej mieszanki paszowej dla koni (ja-

rodem z XIX w. Wszystko jest ustrukturyzowane, dzieci nie mogą podjąć samodzielnie żadnej decyzji, a później nagle mają wybrać, jaki będą mieć zawód. I kompletnie nie wiedzą, o co im chodzi, idą jak stado baranów na kierunki typu zarządzanie. I co, wszyscy wszystkimi będą zarządzać?

– Każdy homeschooler ma własną metodę – wyjaśnia Marianna. – U nas wygląda to tak, że w poniedziałek i wtorek (z nocą włącznie) dzieci są w Świątobrowie z Anią Pękałą, w pozostałe dni zajęcia odbywają się po kolei w naszych domach. Biorą też udział w warsztatach w kręgu osób prowadzących edukację domową, jeżdżą na basen i na tenis. Ania wspiera ich w zgłębianiu podstawy programowej i w rozszerzaniu jej. Głównie w kierunkach humanistycznych, ale ponieważ nauka oparta jest na myśleniu projektowym, rzadko się zdarza, żeby byli skupieni tylko na jednej ścieżce.

W razie potrzeby rodzice kontaktują się z korepetytorami, pasjonatami z danej dziedziny. Małgosia: – Przychodzi pan ze skrzyniami pełnymi odczynników do doświadczeń i robi z nimi eksperymenty z fizyki i chemii. I to w sposób tak fascynujący, że są absolutnie zwariowani na tym punkcie. Ostatnio pewna pani robiła warsztaty z astronomii, chodzili też do pani kartograf i uczyli się robić mapy w terenie.

Wyjście z systemu

Agnieszka i Jerzy Potoccy oraz ich rodzina to nieco inny wariant homeschoolingu. Mieszkają w Józefowie pod Warszawą, gdzie wychowują trójkę dzieci, z których najmłodsza Antonina ma dopiero półtora roku, a dwójka starszych uczy się w domu: sześcioletni Janek (formalnie zapisany jeszcze do przedszkola, gdzie pojawia się raz w tygodniu) i dziewięcioletnia Hania. Inspiracją do zabrania Hani z prywatnej, starannie wybranej szkoły stał się... jej brat.

– Okazało się, że Janek ma tzw. specyficzne zaburzenie językowe, które dotyczy ok. 7 procent dzieci przedszkolnych – wyjaśnia Agnieszka. – Dzieci te uczą się języka polskiego jak obcego. Zaczynają mówić późno i niewyraźnie,



Dzieci z grupy edukacyjnej, której patronuje Fundacja Bullerbyn, uciekły przed nieustanną presją zwykłej szkoły: uczenia się, jedzenia i odpoczywania na dzwonek. W Bullerbyn nauka opiera się na zasadach unschoolingu Johna Holta: uczniowie mogą wreszcie wybierać to, co ich interesuje.



w sposób niegramatyczny, nie rozumie liczb, rodzajów, idiomów, mylą przykłady i jeśli się tego nie ćwiczy, nie wystają z tego. U Janka dodatkowo przyłąła się niedosłuch, uznaliśmy więc, że przejdziemy do nauczania domowego. Wiedzieliśmy już, że tzw. system nie poradzi sobie z naszym dzieckiem. Z kolei Hania, zdolna i odważna, miała taki kłopot ze szkołą, że zadawała nauczycielom pytania, na które nie dostawała odpowiedzi. Poszła do szkoły w wieku sześciu lat i niby wszystko było w porządku, ale dopiero niedawno przyznała, że zwała się nieszczęśliwa, kiedy „zostawialiśmy ją samą” w szkole. Dziś wiem, że to było dla niej zbyt wielkie obciążenie. Choć więc nasze odejście ze szkoły było pierwotnie reakcją na problem, nie na system, to jestem szczęśliwa, że z tego systemu odeszliśmy. Całe to ocenianie, naginanie dzieci do schematów to nieporozumienie. Nawet jeśli to nie są prawdziwe oceny, ale jakieś słoneczka, a przecież dzieci szybko się orientują, to jakie słoneczko oznacza.

Agnieszka uważa, że choć dzieci przychodzą z różnych środowisk, w szkole przykłada się do nich jedną miarę, zamiast doceniać postęp, jaki robi konkretne dziecko. Pozostają pod wieczną presją i tracą naturalną ciekawość, nie są też uczone współpracy, bo przecież liczy się „moja” ocena.

Na własną rękę

Zgodnie z polskim prawem, aby dziecko mogło uczyć się w domu, musi być zapisane do konkretnej szkoły, np. rejonowej, której dyrektor wyda zgodę na edukację domową i w której będzie zdawać egzamin z tzw. podstawy programowej (chcę edukacji domowej trzeba zgłosić do 31 maja). Oprócz tego niezbędna jest opinia poradni psychologiczno-pedagogicznej o dziecku oraz oświadczenie o przydatności mieszkania do nauki. Są szkoły szczególnie otwarte na domowy model edukacji, np. placówki Montessori, są i takie, które wyspecjalizowały się we wspomaganie uczących domowo (jest ich kilkanaście w różnych miejscach Polski). Należy do nich działający od kilku lat warszawski Salomon, pro-

wadzony przez Marzenę i Pawła Zakrzewskich. Państwo Zakrzewscy, rodzice siódemki dzieci, sami wyrosli w rodzinach z tradycjami edukacji pozaszkolnej i je kontynuują. Paweł Zakrzewski: – Szkoły Salomon – podstawówka, gimnazjum i liceum – to wynik wielu lat doświadczeń z poznawaniem edukacji alternatywnej na świecie i współpracy z różnymi placówkami. Działamy nie tylko w Polsce. Ostatnim naszym „nabytkiem” jest szkoła w Kolumbii, którą wraz z miejscowym stowarzyszeniem przejęliśmy od lokalnej wspólnoty żydowskiej i w której blisko połowa uczniów jest objęta edukacją pozaszkolną.

Warszawski Salomon wspomaga rodziców w przebrnięciu przez formalności, przeprowadzając egzaminy, organizując warsztaty i dysponując bazą edukatorów, którzy mogą wesprzeć na-

wiązane z nowymi nurtami pedagogicznymi. Część dzieciaków jest nauczana tak po prostu, w realnym świecie, bez zbędnego administracyjnego narzutu, np. poprzez podróżowanie – mówi Marzena Zakrzewska. – Poziom wiedzy jest ogólnie wysoki. Prowadzimy badania na ten temat i myślę, że pod koniec roku będziemy mieli pierwsze miarodajne dane dotyczące wyników i metod nauczania polskich domowych edukatorów.

Dotąd szczegółowe statystyki nie były dostępne. W Salomonie i innych placówkach, z którymi współpracują państwo Zakrzewscy, zapisanych jest ok. 900 dzieci edukowanych domowo. Szacują, że w Polsce mogą być ich nawet 2 tysiące. Za granicą szkoła w domu jest bardziej popularna. Na przykład w USA nawet 2 miliony dzieci uczą się poza szkołą.

Samouczenie

Potoccy przez pierwszy rok próbowali stosować klasyczny homeschooling, czyli przeniesienie programu szkolnego do domu: podręczniki i plan lekcji, ale teraz dają dzieciom więcej wolności.

– Odłożyłam podręczniki na dwa miesiące i okazało się, że nic złego się nie stało. Hania wpadła po uszy w czytanie, a kiedy czyta, uczy się ortografii i składni. Ma wielką pasję ornitologiczną i robi co chwila prezentacje na temat ptaków. Wie, gdzie szukać informacji, co skserować, jak otworzyć Wikipedię. Ma komputer, którego o dziwo nie nadużywa – mówi Agnieszka Potocka. Na razie rodzice głównie uczą dzieci sami, choć wiele rzeczy robią też poza domem. Dzieci chodzą na judo, basen, a Hania na angielski i francuski ze szkolną grupą. Jeśli tylko jest ładna pogoda, biegają dużo po podwórku, przez co nabywają świadomości swojego ciała. Uczą się też w przydomowym ogrodzie i w lesie. To się sprawdza, bo już w kwietniu Hania miała bez trudu opanowaną całą podstawę programową i zdała egzaminy trzecioklasisty, by bez stresu wyjechać na narty.

Takie myślenie bliskie jest wyznawanej przez Mariannę Kłosińską, pre-

- <http://website.szkolosalomon.pl/>
- <http://www.edukacjadomowa.pl/>
- <http://sei.org.pl/>
- <http://edukacjademokratyczna.pl>
- <http://www.bullerbyn.pl/>
- <http://www.ineida.pl/>
- <http://www.trampolina.szkoła.pl/>
- <http://www.old.usawickich.pl>

uczanie dzieci. Chociaż panuje dość powszechny pogląd, że w Polsce na naukę domową najchętniej decydują się ortodoksyjnie religijne rodziny katolickie, by ustrzec dzieci przed niepożądanymi wpływami świata zewnętrznego, według Pawła Zakrzewskiego to mniejszość, a środowisko homeschoolersów jest o wiele bardziej zróżnicowane. Są w nim rodziny (albo grupy edukacyjne) protestanckie, muzułmańskie, buddyjskie, żydowskie i ateistyczne. Pojawiają się też rodzice dzieci z różnymi dysfunkcjami, które powodują, że nie ma dla nich miejsca w systemie. I wciąż rośnie grupa ludzi, którzy decydują się na homeschooling, ponieważ szkoła jest według nich instytucją anachroniczną.

– Rodzice uczą dzieci klasycznie, podręcznikowo lub poprzez pomysły

zeskę Fundacji Bullerbyn, idei unschoolingu: – Stawiamy nie na to, że dzieci są nauczane, ale że się uczą. Same. I robią to z wewnętrznej motywacji, nie dla ocen czy dlatego, że ktoś dorosły im każe. Póki nie uwierzmy jako rodzice w to, że nad dzieckiem nie trzeba stać, żeby się uczyło, trudno sobie wyobrazić, że to jest możliwe. A okazuje się, że one mają własne potrzeby rozwojowe i je realizują. Ale trzeba też mieć w sobie zgodę na sytuację, że dziecko może np. chcieć grać na ukulele, zamiast zgłębiać gramatykę – tłumaczy Kłosińska.

Maciek, syn Małgosi Corvalan (uwielbia ukulele i nie rozumie, po co ma się uczyć o przydawce), który przysłuchuje się naszej rozmowie, dodaje:

– Dostaliśmy dokument z tematami, które musimy umieć do testu. Sprawdzamy to w podręczniku i żeby się lepiej tego nauczyć, robimy różne rzeczy: malujemy plakaty, szukamy informacji, oglądamy filmy. Nie tak jak w szkole – „Czytajcie teraz z podręcznika rozdział, a potem go omówimy i będzie klasówka za tydzień”. To nie ma sensu, bo ja się uczę do klasówki, a potem to zapomina.

Obie mamy przyznają, że rozwiązania, które wybrały, nie jest dla każdego. Kłopotem bywa już sama organizacja – zebranie większej grupy na lekcję muzealną, dojazd. Mogą sobie na to pozwolić tylko rodzice, którzy, tak jak one, mają elastyczny czas pracy: Marianna kieruje fundacją, Małgosia prowadzi portale internetowe MiastoDzieci.pl i Stressfree.pl. Założyły sobie, że domowa edukacja nie będzie ich kosztowała więcej niż czynsze w szkole społecznej, czyli 1000–1500 zł miesięcznie. I to się udaje.

Integracja rodzinna

Także Agnieszka Potocka ma świadomość, że domowa edukacja nie jest rozwiązaniem dla każdego. Przyznaje, że ma teraz znacznie mniej czasu na pracę (jest architektem wnętrz), bo to ona głównie czuwa nad procesem edukacyjnym, choć Jerzy zwykle jest pod ręką, jako że też głównie pracuje w domu (prowadzi firmę rekrutacyjną). Śmieje się, że czasem cała rodzina „odrabia

swoje lekcje” przy kuchennym stole. Agnieszka widzi siebie bardziej jako przewodnika niż nauczyciela swoich dzieci: – Jest takie powiedzenie: „Jak mi powiesz, to zapomnę, jak mnie nauczysz, to może zapamiętam, jak mi pozwolisz zrobić, to wreszcie zrozumie i zapamiętam”. Nasze dzieci nie zadają zbyt wielu pytań, ale główkują, kombinują, same szukają odpowiedzi w różnych źródłach.

Rodzice uczący dzieci w domu potrafią wymienić więcej korzyści płynących z homeschoolingu. Agnieszka uważa, że wspaniale służy on poznaniu swego dziecka, a w ich przypadku ważna była też jeszcze jedna jego zaleta: – Dwójka z trójki naszych dzieci jest adoptowana i nie tworzą ze sobą naturalnych więzi jak rodzeństwo biologiczne. Dzięki wspólnej nauce w domu mamy szansę zbudować i pogłębić między nimi relację. W szkole dzieci są w grupach wiekowych, co ma głównie ułatwić pracę nauczycielom, a tu dużo uczą się poprzez bycie razem. Hania wie, że trzeba Jankowi troszkę pomóc, więc wymyśla zabawy o liczeniu, o literkach, o rysowaniu. I on dużo chętniej robi to, co ona mu podpowie, niż to co ja.

Kontaktów z dziećmi im nie brakuje, bo Potoccy regularnie, raz w tygodniu, spędzają czas w towarzystwie znajomych homeschoolersów, idą razem na basen, zajęcia chóralskie, jedzą wspólny posiłek albo organizują lekcje muzealne.

SŁOWNICZEK

→ **Homeschooling**, czyli edukacja domowa. Model nauczania starszy niż idea szkoły, która pojawiła się w znanej nam formie dopiero na przełomie XVII i XVIII w. Homeschooling w najprostszej postaci polega na przeniesieniu nauki szkolnej do domu rodzinnego. Zwykle nauczaniem zajmuje się jedno z rodziców, choć wariantów i rozwiązań może być wiele.

→ **Unschooling**: idea „odszkolnienia” edukacji rozpropagowana w latach 70. XX w. przez amerykańskiego pedagoga Johna Holta. Postulował on zlikwidowanie instytucji szkoły i powrót do nauczania w domu. Skupił się na samej idei uczenia się, którą uznał za naturalną potrzebę młodego człowieka. Zgodnie z postulatami unschoolingu uczenie się opiera się na potrzebach i zainteresowaniach ucznia – on sam wybiera to, czego potrzebuje.

Edukacja na miarę

Edukacja domowa to także alternatywa dla dzieci, którym w systemie trudno znaleźć miejsce. – Nasza młodsza córka Marysia ma zespół Downa i zupełnie inne potrzeby niż dzieci całkowicie zdrowe: wymaga bardzo bliskiego kontaktu, szybko się rozprasza – wyjaśnia Konrad Kolański. Jest tatą dorosłej już Wery, która przeszła przez edukację w szkołach społecznych i publicznych, oraz 11-letniej Marysi z zespołem Downa (poziom trzeciej klasy), którą razem z żoną Dorotą od roku uczą w domu. – Gdyby nie jej specyfika, pewnie byśmy się nie zdecydowali, bo jednak szkoła ma znaczenie integracyjne, socjalizuje z grupą, tego nie da się zastąpić domem – mówi Konrad.

Kiedy rozmawiamy, posilając się bułeczkami z domową konfiturą, Marysia ma przerwę w nauce, rysuje i bawi się lalkami. Dotąd jej edukacja przebiegała w placówkach Montessori. Najpierw przedszkole, gdzie rok dłużej została w zerówce, potem szkoła, w której każdy idzie indywidualnym torem. Marysia otrzymała program szkolny dostosowany do niej, na którym zresztą rodzice opierają się do dziś. Dlaczego więc ostatecznie podjęli decyzję o zabraniu dziecka? Konrad: – Dzieci mniej wiącej do ósmego roku życia niespecjalnie zwracają uwagę na różnice pomiędzy sobą. I dla nich Marysia może być tylko troszkę bardziej ekscentryczna. Teraz zaczęło się to zmieniać, mogłaby być spychana na margines klasy, a nie chcemy, żeby nasze dziecko tak się czuło. Jej najbliższą przyjaciółką w szkole była dziewczynka z inną dysfunkcją rozwojową. Trzymały się we dwie, co pokazuje, że integracja nie wychodzi tak, jakby rodzice sobie tego życzyli.

Kolejny powód? Kolańscy poczuli, że potrzebują w życiu odmiany. Rzucając pracę w bankowości, bo zajmowała tyle czasu, że umykał im kontakt z Marysią, i postanowili założyć pensjonat na Mazurach, do czego się powoli przygotowują:

– Uznałiśmy, że domowa edukacja będzie tam najlepszym wyjściem – mówi Dorota. – Może uda się nawiązać



Marysia Kolańska ma zespół Downa i wymaga więc bardzo bliskiego kontaktu z rodzicami. Szybko się rozprasza, dlatego jej rodzice postanowili uczyć ją w domu. Dotąd jej edukacja przebiegała w placówkach Montessori, ale dzieci powyżej ósmego roku życia zaczęłyby zwracać uwagę na jej różnicę. Rodzice chcieli jej tego oszczędzić.

kontakt z jakąś miejscową szkołą i korzystać z niektórych zajęć, a kilka razy w roku wpadać na konsultacje i egzaminy do szkoły Montessori.

Przecieranie szlaków

Marysia jest zapisana do szkoły Montessori, gdzie zdaje roczne egzaminy i uczestniczy we wszystkich zajęciach dodatkowych, takich jak wyjścia do kina i do muzeum. – A w domu uczymy się przez zabawę, nie ma typowych lekcji – opowiada Dorota. – Zaczynamy po śniadaniu i staramy się, żeby to były bloki 15–20-minutowe i nie więcej niż dwie–trzy godziny dziennie, bo potem Marysia się nudzi. Gramy w gry, robimy dużo plastycznych działań. W soboty chodzimy na zajęcia do filharmonii. Konrad: – Marysia nas uczy spokoju, wyciszenia, tolerancji dla jej potrzeb. Spędzając z nią pół dnia, wreszcie możemy dokładnie poznać, co jest jej potrzebne, i to jej dać. Ćwiczymy więc uparcie pisanie, czytanie, podstawowy rozbiór zdania, sprawy matematyczne – też w podstawowym zakresie. Natomiast pozostałe rzeczy, typu przyroda, geografia, raczej na zasadzie ciekawostek, filmów, wizyt w Centrum Nauki Kopernik, bo na razie to dla niej zbyt abstrakcyjne dziedziny.

Domowe nauczanie się sprawdza. Marysia tak to lubi, że sama czasem zagania rodziców do ćwiczeń. – W szkole zdarzały się ciężkie dni, kiedy lekcje ją przerastały. Chętnie uczestniczyła w zajęciach, na których miała pomoc psychologa czy logopedy, bo wtedy była

osoba tylko dla niej. Natomiast kiedy pracowała w grupie z rówieśnikami, czasem doprowadzało ją to do frustracji. Przychodziła zła, że nie rozumie albo że dzieci się z niej śmieją, bo źle mówi. Teraz wszystko przebiega spokojniej – opowiada Konrad. Kolańscy nie wiedzą jeszcze, jak edukacja Marysi ma wyglądać w przyszłości. Przecierają szlaki, bo każde dziecko z zespołem Downa jest inne, ma inny poziom upośledzenia i możliwości poznawczych. – Dla takich dzieci jak Marysia system jest niewystarczający – uważa Konrad. – Ciężar edukacji takiego dziecka spoczywa więc na rodzicach i oni muszą wymyślić, jak to zrobić najlepiej.

Od unschoolingu do szkoły demokratycznej

Małgosia i Marianna po roku prowadzenia domowej edukacji mają bardzo pozytywne odczucia. – Mam wrażenie, że oni uczą się permanentnie, z powietrza – mówi Marianna. – Jemy serek grecki z rysunkiem kolumny na opakowaniu i to jest pretekst do rozmowy o starożytnych stylach. Z egzaminów przynoszą 5 i 6, choć nam wystarczyłyby 3. Małgosia: – Mój syn w szkole walczył z dysleksją, ledwo sobie dawał radę z polskim, a tu nagle się okazało, że zaczął pisać poezję i książkę, a nawet – to już jest cud – zaczął robić mniej błędów!

Teraz czas na kolejny etap: wciągnięcie innych rodziców do wspólnego przedsięwzięcia, jakim ma być tzw. szkoła demokratyczna w Warszawie. – Takie szkoły, działające w podobnym duchu

jak unschooling, funkcjonują w wielu miejscach na świecie. W Polsce rozkręca ten ruch Michał Jankowski z Poznania. Podobne inicjatywy pojawiły się też w Łodzi, na Pomorzu – wyjaśnia Marianna. Jak mówi, pierwszą taką szkołą była działająca do dziś brytyjska placówka Summerhill, założona przez nauczyciela Alexandra Sutherlanda Neilla w 1921 r. Szkoła demokratyczna zakłada, że każdy członek społeczności ma jeden głos, niezależnie od tego, czy jest pracownikiem dorosłym, czy dzieckiem. I ta pełna partycypacja dotyczy wszystkich obszarów życia szkoły, czyli np. nie ma czegoś takiego jak obowiązkowe lekcje. Myśl o założeniu szkoły demokratycznej w Warszawie pojawiła się, kiedy dzieciaki zaczęły mówić, że wszystko super, tylko trochę brakuje im rówieśników. W tej chwili działa grupa inicjatywna rodziców, która pracuje nad zorganizowaniem placówki. Działalność rozpoczyna we wrześniu. – Szkoła demokratyczna nie jest szkołą w rozumieniu kuratorskim, bo te dzieci uczą się w systemie pozaszkolnym i obowiązuje je to samo prawo co w homeschoolingu, ma raczej formę klubu. Po prostu dzieciaki będą się spotykać w większym gronie, od pierwszoklasistów po nastolatki. Filarami naszej placówki mają być: świadome uczenie się z własnej woli i wolność zarządzania swoim czasem oraz społeczność równych praw i wzajemnego szacunku – mówi Marianna Kłosińska.

Organizatorzy zakładają, że na dziecięciorko dzieci będzie przypadał co najmniej jeden dorosły „mentor”, a czynsze nie przekroczy 1500 zł miesięcznie. Powstanie Wolnej Szkoły Demokratycznej oprócz Fundacji Bullerbyn wspiera Stowarzyszenie na rzecz Innowacyjnej Edukacji „Ineida”, prowadzone przez pasjonatów: psycholog Aleksandrę Olszańską i nauczyciela Andrzeja Wójcika. Będą oni w czasie wakacji, razem z Bullerbyn, przygotowywać pierwszych pracowników szkoły. Terminy spotkań dla zainteresowanych szkołą demokratyczną w Warszawie: 27 kwietnia i 5 maja w godzinach 10–13. Informacje na temat miejsca spotkań na www.bullerbyn.pl.



MIEJSCE
Polski Maltby Street Market

Dawna Hala Koszyki przy stacji metra Politechnika w Warszawie już niebawem w pełni ożyje na nowo. W pełni – bo częściowa reaktywacja właśnie się rozpoczęła. Od kilku zaledwie dni we wschodniej części Koszyków działa bazar. Ale nie jakiś tam bazar! To miejsce niezwykle – i nie jest przesadą twierdzenie, że to przestrzeń na miarę londyńskiego Maltby Street Market, Farmer's Market w San Francisco czy weekendowych targów spożywczych we Francji i Hiszpanii. Za przedsięwzięciem tym stoją nazwiska, które gwarantują sukces, jak właścicielki słynnej już warszawskiej Charlotte przy placu Zbawiciela, czyli Justyna Kosmala i jej siostra, oraz Filip Katner, były menedżer warszawskiego Planu B i Powiększenia. Ich koncepcja jest prosta: 3 w 1, czyli połączenie w spójną całość bazaru, baru bistro i baru z drinkami. To miejsce dość kameralne, zaledwie na 20 stoisk. Jednocześnie to przestrzeń z produktami bez marketingowej ściemy – sztucznych konserwantów czy cu-

kru glukozy-fruktozowego. Bez ściemy mówi o nich także Justyna Kosmala: – Nie nazywamy ich ekologicznymi, bo na pewno nie wszystkie będą miały certyfikaty. Chodzi o to, żeby były świeże, smaczne i dostępne na co dzień. Będzie tu można kupić dobre mięso, świeże ryby, sezonowe warzywa, owoce i zioła. Oprócz tego będą kwiaty, owoce morza, najlepszy wybór serów, kaw i wina. Podczas zakupów będzie można także przekąsić coś w bistro, a gdy gwar targowy ucichnie – skosztować wybornych trunków w barze z drinkami. Bazar będzie działał przez blisko rok – do momentu startu w tej części obiektu prac budowlanych nad nową halą. Ostateczne oddanie miejsca do użytku jest zaplanowane na 2015 r., a bazar to jedynie przedsmak eksplozji dźwięków, obrazów, myśli, sztuki i idei, które wypełnią to miejsce już niebawem... → kw

Bazar Koszyki czynny jest od wtorku do piątku w godzinach 10-20, w soboty 9-20, w niedziele 9-17. Bar Koszyki – codziennie od 10 do 3 (nad ranem!). Więcej na www.magazynsmak.pl

MOTORYZACJA
Elektryczny z Polski

Rozpędza się do 110 kilometrów na godzinę i nie pali nawet grama benzyny. Prototyp polskiego elektrycznego samochodu zaprezentowała Mielecka Agencja Rozwoju Regionalnego. Zaprojektowanie i zbudowanie go zajęło w sumie trzy lata. Rezultatem tych prac jest nowoczesnie wyglądające czteroosobowe auto miejskie o długości niecałych 3,9 metra. Po pełnym naładowaniu litowo-polimerowych akumulatorów (co ma zajmować ok. 6 godzin), samochód przejeżdża 150 km (pod warunkiem, że toczymy się z prędkością 50 km/h). Przedstawiciele MARR twierdzą, że koszt energii to ok. 4 zł na 100 km. Nie wiadomo, czy auto wejdzie kiedykolwiek do produkcji. → peka



GOSPODARKA
Owczy pęd na rynku złota

Obecny spadek cen złota jest pozornie niezrozumiały. Zazwyczaj gorsze dane dotyczące (które) ważnej światowej gospodarki (tak było w przypadku Chin) powodują rosnące zakupy złota, które jest uważane za bezpieczną lokatę na niepewne czasy. Tym razem spadek cen złota był spowodowany kilkoma czynnikami, m.in. ucieczką od inwestycji w metale oraz pogłoskami, że Cypryjczycy, ratując swoją gospodarkę, zamierzają wyprzedawać rezerwy kruszcu. Ostatecznie w poniedziałek ceny złota spadły o 13 proc. i znalazły się na poziomie niewiele ponad 1,3 tys. dol. za uncję.



Ten spadek nie jest jednak prognozowany na długo. Bo Hindusi zachęcani niższymi cenami już zaczęli kupować złoto, a Indie to największy światowy rynek zbytu na ten metal. → dw



BADANIA
Niepokojące odpowiedzi

Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie zleciła badania „Warszawscy uczniowie o powstaniu w getcie”. O ich wynikach z dr. Michałem Bilewiczem, psychologiem społecznym, kierownikiem Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego i jednym z autorów ankiet rozmawia Katarzyna Czarnecka.

Jak pan ocenia odpowiedzi uczniów liceów i techników?

Jeśli chodzi o wiedzę – raczej pozytywnie. Jestem zaskoczony, że młodzież generalnie dobrze identyfikuje datę powstania czy nazwisko jego przywódcy. Z analizą faktów jest już gorzej. Na pytanie „Kto bardziej ucierpiał w czasie II wojny światowej?” 44 proc. odpowiedziało, że Polacy i Żydzi tak samo. Czyli uczniowie nie zdają sobie sprawy ze skali Holocaustu, nie widzą jakościowej odmienności krzywd. Kolejna kwestia: pomoc Polaków dla Żydów. Ponad połowa uczniów sądzi, że była wystarczająca, dalsze 20%, że za duża. To zadziwiające i niepokojące. Szczególnie że w ten sposób odpowiadali też uczniowie z piątkami z historii! Podobna tendencja daje się zauważyć w punkcie ankiety „Czy byłbyś zadowolony, gdyby...”.

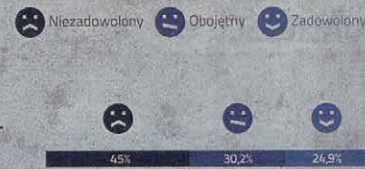
Mam wątpliwości, czy to pytanie było trafne.

W badaniach dorosłych zwykle pytamy „Czy byś akceptował, czy nie, gdyby...”. Tym razem sformułowaliśmy je prościej, a opcje „obojętny” i „zadowolony” wskazywały brak uprzedzeń. Tymczasem okazało się, że młodzi ludzie są bardziej uprzedzeni do Żydów niż dorośli

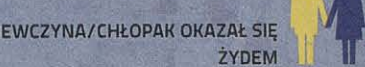
CZY BYŁBYŚ ZADOWOLONY, GDYBY...



OKAZAŁO SIĘ, ŻE W TWOJEJ RODZINIE JEST OSOBA POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO?



TWOJA DZIEWCZYNA/CHŁOPAK OKAZAŁ SIĘ ŻYDEM



DO TWOJEJ SZKOŁY ZACZĘŁOBY CHODZIĆ KILKORO DZIECI ŻYDOWSKICH



ŻYDOWSKA RODZINA WPROWADZIŁA SIĘ DO TWOJEGO SĄSIEDZTWA



(18% dorosłych nie chciałoby żydowskiego sąsiada – dla porównania: we Francji sprzeciwia się 2%, w Szwecji 3%, ale już na Litwie 28%).

Czy użyłby pan tu określenia „antysemityzm”?

Mam opory przed używaniem tego słowa. Antysemitą jest ktoś, kto wierzy w spisek żydowski, bądź w porwanie dzieci na macę. Ale niechęć do Żydów w otoczeniu to może po prostu być odbicie ogólniejszych uprzedzeń. Co do uczniów, to raczej jest właśnie takie ogólne uprzedzenie. Młodzież deklaruje przecież niechęć również do Niemców. To wszystko jest powiązane z ich orientacją historyczną. Uczniowie za najważniejsze wydarzenia w historii stolicy uznali powstanie warszawskie, bitwę warszawską 1920 roku, powstanie listopadowe, styczniowe... Demonstracje 1968 r. czy Okrągły Stół są na szarym końcu tej listy, a powstanie w getcie jest traktowane jako obce, nieistotne wydarzenie. Z tego wynika, że mają oni świadomość historyczną zbudowaną na narodowych zrywach wojskowych, które zresztą w dużej mierze niesłusznie

uznają za zwycięskie. Odrzucają zaś wszystko, co się nie mieści w nacjonalistyczno-martyrologicznej narracji.

Co pana zdaniem mogłoby ten stan zmienić?

Powinno się skończyć z edukacją opartą na traumach i wpajaniem uczniom zasady rywalizacji w cierpieniach. A przede wszystkim uczyć nie tylko faktów, ale i ich interpretacji – pokazywać różnicowanie, dawać konteksty. Dobrym przykładem jest tu kłopot z oceną wsparcia dla Żydów. Szkoła uczy, że Polacy doskonale się spisali. Trzeba uświadamiać, że większość ludzi nikogo nie ratowała, a „Sprawiedliwi” to ludzie unikatowi, bo postawy heroiczne są rzadkie. I wtedy stawiać ich za wzór, ale też zainspirować młodzież do zadania sobie pytania: „Jak ja bym się zachował w takiej sytuacji?”. Nazwałbym to nauką rozumiejącej historii.

Mam nadzieję, że nasze badania pomogą w takich zmianach. Tym bardziej że o przeprowadzenie podobnych proszą nas już instytucje edukacyjne z innych miast – np. z Kielc, gdzie po wojnie miał miejsce pogrom Żydów.

KRS: 0000097123

11%

... bo jutro

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

mnie nie będzie



OBYCZAJE

Prawie jak Londyn

W ramach krzewienia wolności słowa i demokracji władze Moskwy otworzyły w stolicy Rosji Hyde Park. A właściwie – to wszak kraj romantyków – za jednym zamachem dwa. Jeden w parku Gorkiego, drugi w parku Sokolniki. Naiwny jednak, kto myśli, że można tak po prostu wkroczyć na któryś z wskazanych parkowych placików i rozpocząć płomienną przemowę przeciw putinokracji albo nawet – jeśli ktoś sobie życzy – ku jej chwale. O nie, to mimo wszystko Rosja. Każdy więc, kto chciałby w sposób spontaniczny i nieskrępowany przemawiać w Hyde Parku à la russe, musi uprzednio wysłać listownie podanie do administracji wybranego parku. Najpóźniej na trzy dni przed planowanym wystąpieniem. Urzędnicy podanie rozpatrzą – i albo wydadzą zgodę, albo odpowiedzą „niełzia”. Wot, głośno. → kw

SZTUKA

Polski Plakat nad Zatoką Meksykańską

Polska jest gościem honorowym tegorocznego prestiżowego Festiwalu Plakatu w Hawanie. Festival del Cartel 2013 jest największym tego typu wydarzeniem organizowanym nad Zatoką Meksykańską. To zaszczyt dla nas tym większy, że znaleźliśmy się tam jako jedyne państwo z Europy. Oprócz polskich plakatów w Hawanie pokazane zostaną prace z Meksyku, Kostaryki, USA czy Kanady. Jak zapowiedziała Agata Szydłowska, kuratorka polskiej części festiwalu, wystawa w sposób przewrotny pokaże życie po życiu polskiego plakatu. Zamiast wskrzeszenia lub oddawania hołdu tradycji polskiej szkoły plakatu, pokaże, jak młode pokolenie grafików odnosi się do lubianego lub

MUZYKA

Stonesi mają gorzej niż garage bands

Miała być nowa płyta studyjna, ale nie będzie. Fani Stonesów jednak to przeżyją. Co więcej – może nawet z pewną ulgą, jeśli wierzyć temu, co mówi stary Jagger. Jak się bowiem okazuje, legendarni Rolling Stones nawet chcieliby nagrać coś nowego. Ale chwilowo się powstrzymają. Dlaczego? Bo... są legendą i w związku z tym mało kto oczekuje od nich w ogóle jakichkolwiek nowych kawałków. Fani nawet na koncertach nie przepadają za nowościami. Woleliby raczej słuchać w kółko „Satisfaction”. „Nasi słuchacze nie lubią, gdy na koncercie gra się premierowe utwory” – wyznał ostatnio „USA Today” cokolwiek sfrustrowany Mick Jagger. A co się dzieje, gdy Rolling Stones próbują się przebić z czymś nowym? „Patrzą na nas ponuro i tylko odliczają minuty do końca” – skonstatował Jagger. Ta przykra rzeczywistość kazała zespołowi porzucić prace nad nowym krążkiem. Zamiast tego pojeżdżą trochę po świecie, pograją utwory z lat 70. Swoje pewnie zarobią. → kw



KABARET

PAKA śmiechu

Śmiech to zdrowie – przekonują nie tylko naukowcy, ale i artyści kabaretowi. I szykują nam zastrzyk pozytywnej energii. 24.04 w Krakowie rusza 29. edycja Przeglądu kabaretów PAKA.

Jak mówią organizatorzy, będzie to święto nie tylko dla fanów, ale także ciekawe doświadczenie dla kabaretowych sceptyków. Organizatorzy oprócz typowych kabaretów przewidują bowiem eksperymenty: wizualne koncerty w rozmaitych przestrzeniach scenicznych i – w ramach PAKA OFF – happeningi i flash moby w plenerze, m.in. na Rynku Głównym, na Kazimierzu i w Miasteczku Studenckim. Na tych, którzy cenią aktywny styl życia, czeka joga śmiechu, na sportowców – kibiców – wielka „Bitwa o Kraków”, a na tych z alternatywnym poczuciem humoru – wieczór suchego żartu. Najmłodszych warto zabrać na poranek z bajkami czytany przez kabareciarzy i aktorów. → kw Więcej informacji znajdziecie na www.paka.pl. Festiwal potrwa do 28 kwietnia.



Mariusz Ziomecki

Republika policyjna



FRANEK MAZUR

Obywatele nie powinni być poddawani tresurze przez mundurowych. Kto w końcu ma służyć komu: my im czy oni nam, podatnikom?

- Czerwone światło!

Przecież wiem, że czerwone. Nie oglądam się, idę dalej energicznym krokiem, stukając kijkami. Kobieta krzyczy powtórnie za moimi plecami.

Może jednak coś się dzieje, a ona próbuje mnie ostrzec? Patrzę w lewo: uliczka jest jednokierunkowa, aż do skrzyżowania kilkaset metrów dalej widać tylko zaparkowane pojazdy. Poza tym pusto jak w supersamie za Gierka. Zero zagrożenia.

- Czerwone światło!

W jej głosie pojawia się wysoki, histeryczny ton. Nie lubię przerywać treningu, jednak przystaję po drugiej stronie jezdni, by rzucić okiem na mojego wychowawcę. Postawna, w średnim wieku. Władcze spojrzenie, oczy błyszczą złością.

Widzę, że czerwone – mówię spokojnie. – Nie jestem daltonistą.

Pan łamie prawo!

Przecież nic nie jedzie.

Czerwone światło, ty łobuzie!

W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że to emerytowana pracownica MSW. Albo nauczycielka. W każdym razie ktoś nawykły, że ludzie wykonują polecenia. Jednak wcale nie muszę mieć do czynienia z byłą funkcjonariuszką aparatu represji. U nas najwykleszy obywatele chętnie się pouczają w miejscach publicznych, wychowują i stawiają do pionu. To prostactwo jest chyba częścią dziedzictwa komuny. W Moskwie bywało gorzej: tam czujny obywatel potrafił podejść i wskazując oskarżycielsko palcem czerwone spodnie studenta z Polski, oświadczyć: maładoj czielowiek, krasnych trusow nosit' nie lzja!

Nie chodzi się na czerwonym świetle... Polska policja tresuje w tym zakresie obywateli z zamordystycznym, mechanicznym uporem. Gdy kilka miesięcy temu, w niedzielny ranek, ośmieliłem się przekroczyć puścusięnką ulicę kilka metrów obok pasów, stojący nieopodal radiowóz poderwał się z piskiem opon i zajechał mi drogę na chodniku. Rezultat: mandat na pięć dych i groźba zawieszenia pyskującego (tuwaga: bez agresji i obelgi!) przestępcy na komisariat.

Nie w mówicie mi, że tak poprawia się bezpieczeństwo. Mieszkałem i pracowałem w kilku bezpiecznych, poukładanych krajach i wiem, że tam policja nie poluje na obywateli w taki sposób. W żadnym znanym mi kraju unijnym, poza Polską,

przechodnie nie czekają na zmianę świateł na mało ruchliwych ulicach – jeśli nic nie jedzie. Nie zauważyłem czegoś takiego w Berlinie ani w uporządkowanym do bólu Zurychu, ani w Paryżu. A na zatłoczonym Manhattanie gliniarz na koniu najwyższej pogrozi ci placem, jeśli zbyt ryzykownie nawigujesz między rzędami aut na Times Square. Turyści z Zachodu już zauważyli tę polską osobliwość i ostrzegają się: w Polsce nie zachowuj się normalnie na ulicy. Rób to, co miejscowi – inaczej możesz mieć idiotyczne przykrości.

Policja lubi funkcjonować w taki sposób, bo to sposób, by pompować statystyki „walki” z przestępczością, nie mówiąc już o realizacji sławetnych „planów mandatów”. Obywatele znoszą grandę pokornie, więc rząd niedawno ogłosił... eskalację represji. Odtąd ma być zero tolerancji również dla pieszych, nie tylko dla kierowców, którzy przekraczają absurdalnie zaniżone limity prędkości. Oczywiście – wszystko to dla naszego dobra.

Jak ta polityka działa w praktyce, przekonali się właśnie rodzice uczennicy z Rzeszowa, która przebiegła jezdnię na czerwonym, żeby złapać autobus. Policjanci byli nieubłagani, a sprawczyni nieletnia, więc sprawa jej „przestępstwa drogowego” trafiła do sądu rodzinnego. A ten, w zgodzie z istniejącymi regułami gry, z całą powagą przystąpił do badania stopnia „demoralizacji” nieletniej, nakazując przeprowadzenie wywiadu środowiskowego. Jest przestępstwo, musi być demoralizacja; jasne jak słońce, prawda? Na koniec w sprawie tej wstrząsającej zbrodni wyrok wyda sąd z orłem na szyi. Piętnastolatka i jej rodzina i tak mogą mówić o szczęściu, bo przecież skasowaliśmy w Polsce karę śmierci.

Powiedzmy to wprost: ta sprawa to granda, nadużycie władzy. Dziewczynka rozejrzała się, zanim podbiegła, nie nadjeżdżała żaden pojazd. Nie wywołała żadnego zagrożenia ani nawet zakłócenia ruchu. Obywatele nie powinni być poddawani tresurze przez mundurowych. Kto w końcu ma służyć komu: my im czy oni nam, podatnikom?

W demokratycznym kraju sposób egzekwowania prawa nie może urągać zasadom rozsądku, proporcjonalności i zwykłej przyzwoitości. Gdy policja zachowuje się jak armia okupacyjna, która pastwi się nawet nad dziećmi, nie ma szans na faktyczną poprawę nicyjnego bezpieczeństwa. Jest tylko rozbój na drogach: po prostu stoją niebiescy jak zbójcy i zabierają ludziom kasę. ☹

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



KULTURA

Centrum kultury zamiast dworca

Odwiedzający Karpacz mogą obejrzeć unikalną, jedyną w Polsce kolekcję zabawek, która ukazuje przekrój zabawkarstwa obejmujący około 200 lat (od XVIII-wiecznych figurek szopkowych poprzez lalki z XIX w. aż po zabawki typowe dla wieku XX). Wystawę można obejrzeć w Centrum Kultury i Turystyki, które dzięki inicjatywie mieszkańców i pieniądзом europejskim mieści się w byłym dworcu kolejowym w Karpaczu, który nie pełnił swej pierwotnej funkcji od 2000 r. Poza centrum swe miejsce w odrestaurowanym budynku znalazły m.in. właśnie Miejskie Muzeum Zabawek (ze zbiorów Henryka Tomaszewskiego), sala tradycji kolei karkonoskiej i punkt informacji turystycznej. Dzięki dotacji z UE poszerzono ofertę kulturalną Karpacza i uratowano zabytkowy budynek. → 05a

ZDROWIE

Sprzęt dla dentystów in spe

Od lat głównym problemem Akademii Medycznej im. Piastów Śląskich we Wrocławiu (obecnie Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich) był przestarzały sprzęt medyczny i informatyczny, na którym uczyli się studenci Wydziału Lekarsko-Stomatologicznego (jeszcze do niedawna służyły do tego wyłącznie fotele stomatologiczne z lat 60. i 70. XX w.). Dopiero dzięki unijnej dotacji udało się kupić nowoczesny sprzęt medyczny, m.in.: mikroskopy zabiegowe, unity stomatologiczne, autoklawy, urządzenia do kriochirurgii, aparat do odlewania stopów, piaskarki, frezarki, lasery i aparat RTG. → 05a

Więcej o funduszach UE na Dolnym Śląsku: www.umwd.dolnyślask.pl/fundusze-europejskie, www.mapadotacji.gov.pl, www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

SZKOLNICTWO

Geocentrum pomiędzy dwoma rzekami

Usytuowany pomiędzy korytami Odry i Oławy budynek Geocentrum Politechniki Wrocławskiej to jeden z najlepiej zaprojektowanych i wyposażonych oddziałów uczelni w Polsce. Użytkują go jednocześnie trzy wydziały Politechniki Wrocławskiej skupione wokół problematyki nauk o Ziemi – Wydział Budownictwa Lądowego i Wodnego, Wydział Geoinżynierii, Górnictwa i Geologii oraz Wydział Mechaniczno-Energetyczny. Dzięki dofinansowaniu unijnemu z dolnośląskiego programu regionalnego w nowym budynku powstały znakomicie wyposażone sale wykładowe i laboratoria, w których studenci zajmują się m.in. badaniami nad kopalinami Dolnego Śląska i urządzeniami energetyki odnawialnej. Cały obiekt przystosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych. → 05a

KULTURA

Dolnośląskie Centrum Filmowe



27 kwietnia, 25 maja i 29 czerwca w Dolnośląskim Centrum Filmowym (DCF) we Wrocławiu będzie można obejrzeć ostatnie trzy filmy z cyklu „Kino chińskie”. Otwarte we wrześniu 2011 r. Dolnośląskie Centrum Filmowe powstało dzięki dotacji unijnej na miejscu dawnego wrocławskiego kina Warszawa. Projekcje odbywają się w czterech nowych salach, które łącznie mogą pomieścić blisko 600 widzów. DCF to jedno z najnowocześniejszych kin studyjnych w Polsce, wyposażone w nowe projektory analogowe i cyfrowe, nagłośnienie Dolby Digital Surround EX, klimatyzację i wygodne fotele. Kino posiada też udogodnienia dla niepełnosprawnych (wyznaczone miejsca w każdej sali, podjazdy, toalety i windę). Poza codziennymi seansami odbywają się tu spotkania z twórcami, pokazy specjalne, premierowe i przedpremierowe, projekcje festiwalowe i przeglądy tematyczne. → Artur Osiecki

Max Cegielski

Wieszcz szumi



KRZYSZTOF SAKODOWSKI

Od ponad 100 lat Polacy usiłują żywcem pogrzebać Pana Adama, a ten zombi się broni.

Żum wiosny w głowach i na miejskim śmietniku, na którego sprzątnięcie zabrakło pieniędzy, żum medialny, informacyjny i zgiełk rocznic. Na szczęście tydzień temu oficjalnie otrąbiono koniec pseudoafery z „homolobby” i zrobiło się ciszej, wszyscy poszli na piwo w ciepłe, acz brudne miasta. Po paru szotach na łonie urbanistycznej natury aż chce się zacząć wszystko od początku. A nawet zbuntować się i dokonać rewolucji, jadąc następnego ranka rowerem do korporacji. Inni wagarują, ale na ławce w parku przypomina im się, że matura za pasem.

Wszystkim proponuję wykonać mentalnego twista i na nowo przeczytać Słowackiego z Mickiewiczem. Zaszokujecie znużone towarzystwo bardziej niż nowymi okularami przeciwsłonecznymi, które i tak wszyscy mają, o doniczee od Szwedów nie wspominając. Chcesz zabłysnąć w klasie lub na potańcówce? Wykorzystaj fragmenty z wieszczów wybrane do „Encyklopedii Polskiej Psychodelii” przez Kamila Sipowicza. Wersy cytowane tendencyjnie, ale skoro Rymkiewicz może pisać esej o kolczykach hrabiego z „Pana Tadeusza”, to czemu Sipowicz nie może analizować narkotycznie brzmiących fraz? Pan Pimko zblednie, słysząc o haszyszu w „Beniowskim” czy bieluńcu w „Dziadach”, ale podrywana dziewczyna wreszcie zmieni lub piękny kolega ujawni swoje ukryte oblicze. Krasieński w oparach eteru oszołomi babcię i pozwoli wreszcie dopiąć sprawę spadku. Teraz już pełna poważka: znany z antysemitycznych poglądów autor „Nie-boskiej komedii” ma najlepiej udokumentowaną słabość do eteru i opium, co powinno służyć za przestrożę, że narkotyki nie każdemu otwierają umysł.

Trzech muszkieterów romantyzmu było, jak każdy z nas, po prostu ludźmi, a nie jak teraz żywymi skamieniałościami. Dzięki emigracji trafili z prowincjonalnych włości swych rodzin do rodzącej się wtedy w bólach nowoczesnej Europy, gdzie wraz z wolnością umysłową kosztowano także coraz bardziej perwersyjnych używek. Udowodnienie też Sipowicza pisanych często w trybie przypuszczającym: „może”, „brzmi jak”, „znał kogoś, kto palił opium”, „powszechne wówczas w Paryżu”, wymaga gruntownych badań, ale jest ważnym kulturowym

tropem. Kto podejmie ślad, skoro wieszczów skazaliśmy na pomniki i nic nowego wiedzieć po prostu nie chcemy?

Szczególnie Adam z Juliuszem zrobili wiele, by burzenia ich posągów domagali się konserwatywni radykałowie. Ci zresztą wyczuli jak zwykle spisek i piszą piękne fantasmagorie o żydowskim pochodzeniu Adasia. W szkołach uczą co prawda o „Księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego”, ale o dzieleniu się partnerkami w kręgu towiańczyków mówi się już niechętnie. Dlatego to Węgier, a nie Polak, musiał napisać świetną powieść „Mesjasze”, rekonstruując szaloną atmosferę popowstaniowej emigracji w Paryżu. Z trudem znalazła wydawcę książka Krzysztofa Rutkowskiego „Stos dla Adama”, traktująca o tym, jak Polacy Mickiewicza okrzyknęli heretykiem. Autor „Ody do młodości” rzeczywiście zagroził samemu Watykanowi i Częstochołowie, widząc w Towiańskim mesjasza. Armand Levy, „żyd, mason, komunista”, w roli sekretarza i zaufanego powiernika poety też jest niewygodny, więc dzieci wieszczą robiły wszystko, by wymazały go z kart historii. A Mickiewicz, zamiast kornie paść na kolana przed polskością z własnego poematu, szalał intelektualnie coraz bardziej. Pojechał do Imperium Osmańskiego organizować „legion żydowski”, który miał oswojzić Polskę. Prasa emigracyjna w 1855 r. przemilczała temat, od ponad 100 lat Polacy usiłują żywcem pogrzebać Pana Adama, a ten zombi się broni.

Tekst z tomu J.M. Rymkiewicza „Głowa owinięta koszulą” o otruciu Mickiewicza w Stambule świetnie służy za punkt wyjścia do pisania kryminalnych opowiadań. Jeśli nowy wieszcz XXI w. z Milanówka ma rację, to ja stawiam na morderców z Polski, którzy uznali, że autor „Pana Tadeusza” będzie lepszy martwy niż żywy i kompromitujący ojczyznę. Jeśli więc szukacie nowej wiosennej mody, to proponuję metahipsterski styl dandyś z końca XIX w., głęboko mistyczne przeżycia zamiast masowej konsumpcji i działalność Mickiewicza jako sztandar przeciwko krajowemu konserwatyzmowi. Sukces towarzyski oraz intelektualny i narodowy gwarantowany. Wieszczę, że Lacan ani Žižek w tym sezonie nie będą już en vogue. ☞

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaikę. Śladami Rechowiczów”.



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach: www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty



ANITA BŁASZCZAK

Młode talenty

Kilkadziesiąt miejsc na letnich stażach w Programie Kariera to w skali kraju niewiele. Ale organizator przedsięwzięcia, Polska Rada Biznesu, jest elitarną organizacją przedsiębiorców. I chce, by jego staże też były elitarne.

Pałacyk Sobańskich w Alejach Ujazdowskich w Warszawie przyciąga uwagę. Nie tylko dlatego, że mieści się tam jedna z najlepszych restauracji w mieście. Także dlatego, że to siedziba Polskiej Rady Biznesu, organizacji, która zrzesza wybrane 80-osobowe grono znanych przedsiębiorców. Chętnych do członkostwa w PRB nie brakuje, ale proces selekcji przechodzi niewielu.

Podobnie jest w prowadzonym od dziesięciu lat Programie Kariera – dwu-, trzymiesięcznych, płatnych stażach dla studentów i absolwentów (do 30 lat). Program z jednej strony ma budować wizerunek polskich firm jako pracodawców, a z drugiej – ułatwić im dotarcie do tak poszukiwanych nawet w kryzysie talentów.

W rezultacie, choć członkowie PRB oferują co roku ponad 80 staży, to i tak uczestniczy w nich nie więcej niż 50 osób. W tym roku firmy – w tym m.in. Adamed, Bakalland, Kulczyk Holding, PZU – przygotowały prawie 90 miejsc.

**BIZNES
WSPIERA
MŁODYCH**

„Biznes wspiera młodych” – to hasło rozpoczętej w marcu tego roku akcji „Rzeczpospolitej”, nad którą patronat objęła Polska Rada Biznesu. „Rz” wspólnie ze środowiskiem biznesowym chce wypracować rekomendacje, jak efektywnie walczyć z bezrobociem wśród młodych ludzi i jak zatrzymać ich emigrację.

Jednak Marian Owerko, wiceprezes PRB i szef Bakallandu, przewiduje, że liczba uczestników, podobnie jak w poprzednich latach, nie przekroczy 50. Nie kryje, że poprzeczka w rekrutacji celowo jest zawieszona wysoko.

– Zależy nam, by trafiali do nas wyjątkowi ludzie. Na tyle dobrzy, by móc z nami pracować – podkreśla. W zeszłym roku 43 uczestników Programu Kariera wybrano spośród 543 kandydatów, których przyciągnęła możliwość płatnej praktyki w renomowanej firmie.

– Przyznaję, że nie jest to program dla wszystkich. Bardzo jasno określamy też, co młody człowiek powinien umieć – podkreśla Jarosław Grzesiak, partner zarządzający kancelarii Greenberg Trauring Grzesiak, która od czterech lat uczestniczy w Programie Kariera. Co roku oferuje dla jego uczestników dwa–trzy miejsca. Jak jednak przyznaje Grzesiak, rzadko się zdarza, by tylu kandydatów przeszło selekcję

do programu i spełniało też konkretne oczekiwania kancelarii, która obsługuje duże transakcje największych polskich przedsiębiorstw, krajowe i zagraniczne. – A to oznacza długie godziny pracy, często w języku obcym. Poza studiami prawniczymi młody człowiek musi się też interesować ekonomią, rozumieć procesy biznesowe, świetnie znać angielski – wlicza mec. Grzesiak. Podobne wymagania kancelaria ma wobec wszystkich stażystów. Ale to ci z Programu Kariera mogą liczyć na specjalne (choć nie ulgowe) traktowanie.

Szefowie firm przystępujących do programu deklarują, że poświęcą jego uczestnikom więcej uwagi. I większość dotrzymuje słowa. – Nieczęsto zdarzają się sytuacje, gdy młoda osoba przychodząca do firmy na dwumiesięczny staż jest od razu tak eksponowana wobec zarządu jak stażysta Programu Kariera. Jeśli więc wykorzysta swoją szansę, potrafi się zaprezentować, to na pewno ma większe możliwości, by firma zobaczyła w nim przyszłego pracownika – twierdzi Jarosław Grzesiak.

Tomasz Denko – laureat 9. edycji PK w kancelarii Greenberg Trauring Grzesiak, a dziś jej pracownik – twierdzi, że dla stażystów, szczególnie tych planujących założenie własnych biznesów, bardzo inspirującym doświadczeniem był kontakt z czołowymi przedsiębiorcami, członkami PRB. – Tym bardziej że wielu z nich odgrywało rolę mentorów dla stażystów w swoich firmach oraz uczestniczyło w dniu wykładowym – dodaje Denko.

Co zrobić, by po stażu dostać ofertę pracy? Szefowie i uczestnicy Programu Kariera są tu zgodni: najważniejsze jest zaangażowanie stażysty, jego chęć rozwoju i kreatywność. Tomasz Denko zaznacza, że bardzo ważny jest wybór firmy, w której chce się odbywać staż. Warto więc postarać się jak najlepiej poznać miejsce, do którego się aplikuje. Dobry dobór firmy zapewni pracę, którą się lubi i do której jest się przygotowanym. – Wówczas motywacja jest wysoka, co przekłada się na dobre efekty – podsumowuje młody prawnik.

Grzegorz Piątek

Syndrom modliński



MIKOŁAJ DRUGOZ

Spektakularne fiasco jest czasem potrzebne, by stracić złudzenia i dostrzec, jak interes publiczny mylony jest z interesem władzy czy instytucji.

Port lotniczy w Modlinie stoi od ponad trzech miesięcy. I co? I nic. Lotnisko Chopina przejęło modlińskie połączenia i się od tego nie zapchało, a pasażerowie cieszą się, że nie lądują w kapuście i nie muszą się martwić, jak bładym świtem się z niej wydostaną. Wygląda na to, że 382, może 454 miliony utopiono w projekcie, którego równie dobrze mogłoby nie być. Syndrom modliński odczuła już boleśnie blairowska Brytania czy nasterydowane środkami unijnymi i kompleksem periferii Hiszpania i Portugalia, ale my nie uczymy się na ich błędach.

Objawem syndromu jest wymienne stosowanie logiki rynku i logiki służby publicznej. Inwestycje prowadzą spółki, których udziałowcami są instytucje czy samorządy. Publiczna użyteczność uzasadnia przepompowywanie publicznych pieniędzy, formuła spółki – rozmytą odpowiedzialność wobec obywateli, mniejszą transparentność, przy wyższych premiach i pensjach. Kiedy trzeba – mówią do nas jak do obywateli, kiedy indziej – jak do konsumentów, uczestników rynkowej gry.

Zaczyna się od znalezienia potrzeby – raczej wyimaginowanej bądź luksusowej, zawsze jednak popartej pseudo-ekonomiczną retoryką. W ten sposób wymyślono, że Warszawa i Mazowsze potrzebują drugiego lotniska. Nic to, że według analiz Okęcie zatka się dopiero około 2030 r. Nic to, że miliardy poszły i pójdą w jego rozbudowę i modernizację, na połączenie kolejowe, na rozbudowę dróg. Ktoś mimo to zdecydował, że jest sens wydać te – mówiąc językiem dygnitarzy – „pół dużej bańki” na Modlin i kolejne ćwierć na linię kolejową i stację, które dowiozą tam ludzi.

Taki wydatek trzeba zrationalizować. Mówiono więc, że lotnisko ożywi niedoinwestowany region, a marszałek Struzik powtarzał, że każdy milion pasażerów to 1000 miejsc pracy. Powstało ich jednak kilkaset (z czego ponad 100 na samym lotnisku). Również hotele i restauracje w okolicy nie zarobiły kokosów, które im obiecano. Nic dziwnego – gdyby pasażerowie tanich linii mieli dodatkowe pieniądze, to zamiast na hotel i kolację wydawaliby je na droższy lot z Okęcia.

Wmawiano nam, że konkurencja między lotniskami będzie dla nas dobra. A dobra okazała się tylko dla linii lotniczych, które zyskały realną możliwość targowania się o obniżenie opłat lotniskowych oraz lądowania i startowania przez całą dobę (uwielbiamy nocę na lotnisku, prawda?).

Rzut oka na strukturę własnościową spółki Mazowiecki Port Lotniczy Warszawa Modlin sp. z o.o. podpowiada, czyje (oprócz tnących koszty linii lotniczych) „problemy” miała rozwiązać inwestycja. Dla PSL-owskich władarzy Mazowsza (30,37 proc. udziałów) Modlin jest prezentem dla ich wyborczego bastionu – Płocka i północno-wschodniej części regionu. Również Nowy Dwór Mazowiecki (4,81 proc.), na którego terenie leży lotnisko, mógł się pochwalić proinwestorską polityką, obiecać ożywienie gospodarcze. Agencja Mienia Wojskowego (34,43 proc.) rozwiązała problem przyszłości dawnego wojskowego lotniska, liczyła też na podniesienie atrakcyjności pobliskiej zabytkowej twierdzy, której zbycie od lat ją przeraża. Zagadką pozostają dla mnie intencje i kalkulacje Państwowego Przedsiębiorstwa Porty Lotnicze (30,39 proc.) – właściciela Okęcia. Oficjalne komunikaty mówiły, że lotniska będą wobec siebie „komplementarne”. Ale w swoim pierwszym półroczu Modlin tylko zabrał Okęciu pasażerów i przewoźników. Gdyby oba lotniska były naprawdę prywatne – ich problem. Ale to spółki należące do nas. W razie problemów poproszą o kieszonkowe rząd czy region (a więc nas). Mazowsze dostrzykiwało zresztą już Modlin dodatkowymi pieniędzmi w trakcie budowy.

Może powinniśmy pielęgnować nadzieję, że każdy, nawet najbardziej bezsensowny projekt publiczny się uda, choćby po to, byśmy nie musieli do niego dopłacać. Z prowincjonalnych lotnisk odlecą chmury samolotów, na trybunach stadionów będą komplety, a wszystko to cudownie rozmnoży miejsca pracy. A jednak uważam, że spektakularne fiasco jest czasem potrzebne, by stracić złudzenia i dostrzec, jak interes publiczny mylony jest z interesem władzy czy instytucji, jak wielkie inwestycje nie są ze sobą zgrane i wykwitają dzięki przyplwowi woli politycznej, skuteczności lobbystów, kaprysom dygnitarzy. To z kolei uświadamia nam koszty, jakie ponosimy przez brak strategii oraz niedowład planowania przestrzennego.

Autor jest krytykiem architektury i kuratorem, współtwórcą fundacji Centrum Architektury.

Gdy 28 stycznia 2013 r. królowa Beatrix wystąpiła w holenderskiej telewizji publicznej i zapowiedziała abdykację, nie stanęły samochody na autostradzie, nie spadły notowania na giełdzie, nikt nie wybuchnął płaczem, a Arno de Vreng, nauczyciel z Amsterdamu, nie przestał nawet gotować obiadu. Jak twierdzi, sprawy monarchii nie wpływają w żadnym stopniu na jego życie, dlatego nie widział powodu, by jakkolwiek zmienić plan swojego dnia. Poza tym wiadomość o rezygnacji Beatrix dla nikogo nie była zaskoczeniem. Od kilku lat mówiło się już o tym, że zgodnie z holenderską tradycją w sędziwym wieku usunie się w cień i przekaże władzę najstarszemu synowi. W tym roku królowa kończy 75 lat, było to więc bardzo prawdopodobne.

Niech żyje król!

Chwila konsternacji przysła kilka godzin później. Gdy do Holendrów dotarło, kim będzie następca tronu. I nie chodzi o to, że najstarszy syn Beatrix, Willem-Alexander, nie poradzi sobie na tym stanowisku. Ma przecież wszelkie predyspozycje, by godnie reprezentować naród: wykształcenie, obycie, doświadczenie, piękną żonę i trzy córki, a także odpowiedni dystans do siebie, co udowodnił podczas zeszłorocznych charytatywnych zawodów rzucania toaletą na odległość. Informacja, która rzeczywiście poruszyła Holendrów, dotyczyła urodzin królowej, czyli najważniejszego święta w kraju, które obchodzą od 1891 r. Od następnego roku ma być przemianowane na Dzień Króla (po niderlandzku Koningsdag) i odbywać się trzy dni wcześniej, czyli 27 kwietnia.

– Dla mnie Dzień Króla brzmi kosmicznie. Ledwo co przechodzi przez usta. Jakby ktoś zabrał mi moje ulubione święto – mówi Laura Bos, doktorantka na uniwersytecie w Groningen. Wtórkuje jej wielu rodaków, którzy równie krytycznie podchodzą do zmiany daty

JULIA LACHOWICZ

Pomarańczowa rewolucja

Dzień Królowej w Holandii to święto narodowe, podczas którego od patriotycznych przemówień i oficjalnych parad bardziej liczy się dobra zabawa do rana.



święta. – Zawsze Dzień Królowej, czyli 30 kwietnia, był początkiem długiego weekendu, bo 1 maja jest u nas wolny. Teraz dni świąteczne będą poszatkowane. Szkoda – tłumaczy Laura.

Najazd na Amsterdam

Konsternacja trwała w Niderlandach jednak tylko chwilę. Holendrzy już następnego dnia zamiast rozwodzić się nad tym, co czeka ich w 2014 r., zaczęli się zastanawiać, jak spędzić ostatni Dzień Królowej w tym roku. Ceny biletów lotniczych datowanych na okolice 30 kwietnia w ciągu kilku dni się podwoiły. Oprócz ciekawskich turystów do tegorocznych obchodów zdecydowali się dołączyć holenderscy ekspaci. Między innymi mieszkający w Norwegii Steffan Daniel Bos. – To ostatni Dzień Królowej i do tego ceremonia abdykacji w jednym. Gdyby nie to, nie planowałbym wyjazdu do Amsterdamu, bo właśnie urodził mi się syn. Ale takiej podwójnej okazji nie chcę przepuścić. Szykuje się dobra impreza – opowiada. Przyjazd do stolicy zapowiedziało też wielu mieszkańców z innych holenderskich miast. Na nic zdały się prośby burmistrza stolicy Eberharda van der Laana, który w obawie przed kompletnym paraliżem Amsterdamu zasugerował, by prowincjusze zostali w rodzinnych miejscowościach i tam świętowali. Każdy tego dnia chce być jak najbliżej wydarzeń. Organizatorzy obchodów spodziewają się nawet miliona przyjezdnych, o kilkaset tysięcy więcej niż zazwyczaj.

Targowisko pod gołym niebem

Świętowanie zacznie się normalnie, czyli 29 kwietnia, w tak zwaną noc królowej. I polegać będzie po prostu na dobrej zabawie do rana. Żadnych manif, pochodów, górnołotnych przemówień. Wszyscy planują tej nocy

30 kwietnia Holendrzy obchodzą Dzień Królowej. Tak było od 1891 r., ale od następnego roku święto zostanie przemianowane na Dzień Króla, bo królowa Beatrix abdykuje na rzecz syna.

LEX VAN LIESHOUT/AFP



NELSON PERERA/EMOTIX/CORBIS

wyjście do klubów, a piwo zacznie się lać strumieniami. Następnego dnia będzie przecież wolne. – Choć Dzień Królowej to święto narodowe, większość osób traktuje je głównie jako powód do niezłej dwudniowej imprezy i nie ma w tym większych patriotycznych pobudek – komentuje Arno de Vreng.

Nad ranem 30 kwietnia Amsterdam wygląda zwykle jak wielkie schronisko dla bezdomnych, przez które właśnie przeszło tornado. Na ulicach, zwłasz-

cza wzdłuż kanałów, śpi sporo „wczorajszych” ludzi. Niektórzy przychodzą tu prosto z całonocnej imprezy w klubie. Ale zamiast udać się do domu, siadają na chodniku i tam zaczynają drzeć. Obok nich legowiska rozkładają osoby, które właśnie wstały z domowych łóżek i przyszły nad kanał zaklepać sobie miejscówkę. Od rana Amsterdam i inne holenderskie miasta zamienia się bowiem w olbrzymie targowiska. Na tak zwanym vrijmarkcie każdy może tego

W Dzień Królowej do Amsterdamu ma w tym roku zjechać nawet milion gości. Wszyscy ubiorą się na pomarańczowo – oficjalną królewską barwę, a na placach będzie się lało piwo.

dnia za darmo i bez żadnych formalności sprzedawać swoje dobra na ulicy. O ile w mniejszych miastach ta garażowa wyprzedaż ma charakter bardziej rodzinny (dzieciaki traktują to jako dobry sposób dorobienia do kieszonkowego), o tyle w Amsterdamie to poważny biznes. Dlatego wiele osób już o święcie postanawia zająć strategiczne miejsce. – Kupić tego dnia można dosłownie wszystko. Od niepotrzebnej łapki na muchy czy ubrań od światowych projektantów po przytulenie, komplement czy zakład, że ktoś w ciągu minuty nie ułoży kostki Rubika – mówi Laura i dodaje, że znalezisko, z którego jest najbardziej dumna, to oryginalny marokański czajnik za 3 euro. Wszystko jest tu bowiem tanie i nigdy nie wiadomo, co się trafi. – Dlatego turystom zawsze radzę, by na wszelki wypadek wzięli ze sobą sporo drobnych monet. Każdy coś w końcu kupi – dodaje.

Pomarańczowe szaleństwo

Przyjezdni nie powinni też zapomnieć o założeniu czegoś pomarańczowego. Choć kolor ten wyszedł w tym sezonie z mody i nie jest zbyt twarżowy, Holendrzy nic sobie z tego nie robią. I dosłownie wszyscy ubierają w tę oficjalną barwę rodziny królewskiej. – To największa pomarańczowa impreza w kraju – zapewnia Janneke Hendriks, pracownik Izby Turystyki. Oranjegekte (czyli pomarańczowe szaleństwo) przejawia się też w innym zwyczaju. – Nie ma ofi-

cjalnie dania czy napitku związanego z Dniem Królowej, ale fajnie, żeby były pomarańczowe. Uważamy więc, że barwa piwa wystarczająco przypomina ten kolor. by stać się tradycyjnym trunkiem tego dnia – śmieje się Laura Bos.

Po południu jaskrawy tłum powoli zaczyna się przesuwać w kierunku placu muzeów, gdzie co roku odbywają się największe koncerty (a w tym dodatkowo pojawi się mnóstwo telebimów, na których pokazywana będzie relacja z ceremonii abdykacji i koronacji). Ci, którzy wolą bardziej kameralne imprezy, udają się na plac Noordermarkt, na którym grają didżeje, lub na prywatne imprezy. Szczególnie oblegane są te na barkach pływających przez cały dzień po kanałach. Zabawa znowu potrwa do rana.

Zjednoczeni w zabawie

W tym roku po raz ostatni nikt nie będzie śpiewał „100 lat” królowej ani darował jej urodzinowych prezentów. W rzeczywistości Beatrix świętuje urodziny 31 stycznia, a kwietniowa data to pozostałość po jej mamie Julianie. Podczas koronacji 33 lata temu Beatrix zdecydowała, żeby nie przenosić obchodów tego dnia i tym samym uhonorować królową matkę. Za rok obchodzone już będą jednak prawdziwe urodziny króla, który przyszedł na świat 27 kwietnia. Jak zapowiada rzecznik monarchii, oprócz daty niewiele ma się zmienić w samych obcho-

dach. Willem-Alexander, tak jak do tej pory jego matka, ma co roku odwiedzać dwa holenderskie miasta i tam bawić się razem z ludźmi. Ma być tak jak dotychczas – wesoło i pomarańczowo. W tych kwestiach monarchia wydaje się bardzo konserwatywna. Od tej tradycji nie odwiódł ich nawet incydent z 2009 r., gdy pewien szaleniaczek wjechał w pomarańczowy tłum i próbował zaatakować królową. Zabił przy tym siedem osób.

– Monarchia w czasach kryzysu jest coraz mniej popularna wśród Holendrów, którzy z natury są dość skąpi. Więc jeżeli oni mają zaciskać pasa, to wkurza ich, że na tę spełniającą jedynie oficjalne obowiązki instytucję idzie tyle pieniędzy – mówi Dagmara Płonka, która przez cztery lata pracowała jako audytor w Utrechcie. Jednak ich krytyka nie jest na tyle silna, by odmówić sobie świętowania w ten dzień. Demonstracje przeciwko polityce rządu czy królowej zdarzają się sporadycznie i nie zakłócają obchodów święta narodowego. W tym roku wyjątkowo, z powodu abdykacji, spodziewane są pojedyncze protesty republikanów i lewaków. – Ale są oni na tyle mało zorganizowani, że pewnie nie będzie to nic wielkiego – komentuje Arno de Vreng. Dobra zabawa w to największe narodowe święto jest tu zdecydowanie ważniejsza niż manifestacja poglądów. Agresywne pochody, nadęte przemówienia, bójki czy obrażanie kogoś są nie do pomyślenia. Od krytyki Holendrów mają po-



ROBIN UTRECHT/AFP

Willem-Alexander, następca tronu, będzie się bawić razem z ludźmi – na pomarańczowo i z dystansem do siebie.

zostałe dni w roku. Szczególnie że nikt w Holandii nie może już pamiętać takiej zmiany, jaka nastąpi w wyniku abdykacji królowej w tym roku. Nawet 111-letnia, najstarsza Holenderka Egbertje Leutscher-de Vries od zawsze pamięta na tronie jedynie królowę. Dlatego i ona zamierza hucznie świętować. Jak podsumowuje Arno de Vreng: – Może nie jesteśmy największymi patriotami, ale wiemy, co to dobra zabawa. I ona, a nie polityka, łączy nas tego dnia.

Jak świętują inni

1. Grito de Dolores, Meksyk, 16 września

Nawoływanie Dolores. Tak nazywa się największe święto narodowe w Meksyku. Wspomnienie walki o niepodległość w XIX w. jest dla Meksykanów doskonałym powodem do zbiorowej fiesty. Najważniejsze obchody mają miejsce w mieście Meksyk. W wigilię wydarzenia, 15 września o 23, prezydent republiki odgrywa tu scenę, jaka miała miejsce podczas powstania w 1810 r. Bije w dzwony, zwraca się do ludzi słowami przywódcy, księdza Miguela Hidalgo, który wzywał mieszkańców Dolores do walki, i odczytuje deklarację niepodległości. Następnie trzy razy wykrzykuje „Viva Mexico!” i zaprasza wszystkich do zabawy, która trwa przez cały następny dzień. Na stół wjeżdżają wtedy typowe potrawy. Pozole, rodzaj kukurydzianego rosolu z kurczaka, chi-

le en nogada, nadziewane papryczki polane śmietaną i posypane owocami granatu czy mole poblano, mięso w sosie z owoców kakaowca. Wszystkie mają dwie wspólne cechy. Są piorunsko pikantne i ich kolory mają przypominać narodową flagę Meksyku.

2. National Day Parade, Singapur, 9 sierpnia

Wszystkie wysiłki w przygotowaniu obchodów singapurskiego dnia niepodległości skierowane są na narodową paradę. W tym roku odbędzie się ona na the Float at Marina Bay, największej pływającej scenie świata! Co roku parada odbywa się pod innym, patriotycznym hasłem: „Świętowanie ducha Singapuru” czy „Żyj marzeniami pod flagą Singapuru”.

3. Songkran, Święto Wody, Tajlandia, 13-15 kwietnia w 2013 r.

Data tego święta nie jest związana z obchodami ustanowienia niepodległości Tajlandii, ale z urodzinami Buddy (choć dokładna data jego narodzin nigdy nie została ustalona) i początkiem nowego roku. Tradycyjnie w ten dzień buddyści szli do świątyni i obmywali wodą posąg Oświeconego. Jednak przez lata ta tradycja ewoluowała na ulicach polewają się wodą. A że święto to przypada na najbardziej upalne dni w roku, nikt się za to nie obraża ani nie chowa się w domu. Wręcz przeciwnie, uliczny prysznic jest przez wszystkich bardzo oczekiwany.

4. Dzień Niepodległości, Vanuatu, 30 lipca

Mieszkańcy tego niewielkiego państwa w Oceanii co roku nucznie świętują wyzwolenie się spod rządów brytyjskich i francuskich w 1980 r. Bardzo popularne tego dnia są wyścigi łodzi i kanu pomiędzy wyspami. Cały kraj składa się bowiem aż z 83 wysp! Ci mniej wysportowani wolą uczestniczyć w pokazach plemiennych tańców ludności tubylczej. Każdy, kto tego dnia znajdzie się w Vanuatu, musi spróbować też kawy: napoju z korzenia, który rośnie na wyspach i znany jest z odkażających właściwości. Mieszkańcy Vanuatu zapewniają, że ten specyfik zapewni zdrowie na cały kolejny rok.

5. Hanami, Japonia, marzec/kwiecień

Najbardziej kwieciste święto narodowe na świecie. Nigdy nie wiadomo dokładnie, kiedy się zaczyna, dlatego już na początku kwietnia do Japonii przybywają tysiące turystów. Pierwsze kwitnące wiśnie zawsze można zobaczyć w mieście Okinawa. Podczas festiwalu Hanami ważne jest nie tylko podziwianie tych delikatnych kwiatów, ale też relaksowanie się pod nimi. Tradycyjnie Japończycy rozkładają ogromne pikniki, gdzie kosztują lokalnych wspaniałości. Ci, którzy nie planują w tym czasie podróży do Japonii, zawsze mogą się zastanowić nad wyjazdem do amerykańskiego Waszyngtonu. Tam na brzegu Tidal Basin rośnie ok. 3 tysięcy wiśni. To dar japońskiego rządu dla Amerykanów z 1912 r. Do dziś pięknie kwitną.

6. Naadam, Mongolia, 11-13 lipca

To największe narodowe święto Mongolii jest zarazem największym sportowym wydarzeniem w kraju. Główne obchody odbywają się na stadionie narodowym w stolicy kraju – Ułan Bator. Najlepsi śmiatkowicze w kraju rywalizują w zapasach, strzelaniu z łuku i wyścigach konnych, czyli tradycyjnych sportach, które były uprawiane na tych ziemiach już za czasów Chyngis-chana. Ci, dla których sport jest mniej porywający, też się nie nudzą podczas Naadamu. Mogą się szkolić w tradycyjnym gardłowym śpiewie czy mongolskich tańcach.

Nie chcę pić wódki w bramie” – mówi uroczą blondynka z bigłem w oku. Jej kolega odpowiada: „Warszawa potrzebuje takich miejsc”. W tle słychać jeszcze inne głosy: „Lubię tu przychodzić, bo czuję się bezpiecznie”, „Przyjechałem tu, bo ludzie potrafią się tu bawić” i „Miasto powinno żyć nocą”. Krótki film pod tytułem „Zostawcie nasze Powiśle” pojawił się w Internecie latem zeszłego roku i był odpowiedzią na liczne interwencje straży miejskiej w tej stołecznej dzielnicy. Wystarczył miesiąc, by działalność klubów, które animowały tę część

znana pani architekt, która zamieszkała w okolicy klubu, i Plan B z placu Zbawiciela, który latem przeżywa oblężenie nie tylko ze strony gości, ale także służb miejskich.

Efektom letnich burz było spotkanie wiceprezydenta Warszawy Michała Olszewskiego z przedstawicielami klubokawiarni. Miasto przez dziewięć zimowych miesięcy rozmawiało z animatorami życia miejskiego i szukało rozwiązania, które pomoże dogadać się skonfliktowanym stronom. Czwartego kwietnia w ratuszu odbyło się spotkanie, podczas którego podsumowano

blem ciszy nocnej elektryzuje i trzeba go jak najszybciej rozwiązać. Pytanie, które spędza sen z powiek zarówno właścicielom klubów, jak i urzędnikom i mieszkańcom, brzmi niewinnie: jakim cudem?

Trójkąt bermudzki: urzędnik, właściciel i mieszkaniec

– Padamy ofiarą swojej popularności – mówi Michał Borkiewicz, współwłaściciel modnych klubów takich jak Plan B czy Powiększenie. – Łatwo z tego wysnuć wniosek, że im więcej miejsce ma do zaoferowania i więcej

niszczą chodnik. Kiedy jednak chcemy odmalować elewację i zadbać, by otoczenie klubu jakoś wyglądało, nie dostajemy na to zgody. Rok temu z własnej inicjatywy naprawiliśmy bruk niedaleko wejścia do klubu, a nasz sąsiad wezwał straż miejską, bo robiliśmy to bez zezwolenia wspólnoty. Nie mogliśmy dłużej czekać, bo dziura powiększała się i była niebezpieczna zarówno dla mieszkańców, jak i naszych klientów. Trudno się porozumieć w takiej atmosferze – żali się współwłaściciel.

Podobna sytuacja miała miejsce na Chłodnej 25. Mimo licznych media-

decyzję. Zdają sobie zresztą sprawę ze swoich błędów. Na początku naszej historii przeginaliśmy i teraz musimy ponieść tego konsekwencje. Żałuję tylko, że wtedy, gdy jeszcze dało się coś z tym zrobić, nikt nie przyszedł do mnie i nie powiedział „Synu, ogarnij się”. W kontakcie z mieszkańcami i z miastem brakuje mi jasnych reguł. Liczę na to, że nasze spotkania z wiceprezydentem odmienią tę sytuację – twierdzi Lewandowski.

Problem jest wielowarstwowy i ciężko przedstawić go jednoznacznie. W mediach najczęściej pojawia się czarno-bia-

i mieszkańcom i sektorowi kreatywnemu, powinno zależeć na znalezieniu słusznego rozwiązania. Zamiast się dzielić, zjednoczmy siły – mówi wiceprezydent Olszewski.

Sąsiada się nie wybiera

W Warszawie krąży legenda o panu Zielińskim, który był na wakacjach i wzywał straż miejską – skarżył się na nadmierny hałas dobiegający z klubu. Takich historii właściciele lokali znają więcej. Michał Borkiewicz przyznaje, że większość zarzutów padających pod ich adresem, pochodzi od mieszkań-

OLGA ŚWIĘCICKA

Wiele hałasu o ciszę

Niedawno media obiegła wiadomość o wprowadzeniu w Warszawie stref nieobjętych ciszą nocną. W mieście zawrzało. Temat w sezonie wciąż powraca. Tym razem ratusz i przedstawiciele klubokawiarni postanowili rozprawić się z nim na dobre. Czy sprawa w końcu ucichnie?



miasta, stanęła pod znakiem zapytania. Przyczyną były konflikty z mieszkańcami. Hałas, bałagan i brak kontroli nad gośćmi klubów to niektóre z argumentów, które padały ze strony wspólnot mieszkaniowych. Narastający przez lata konflikt stanął na ostrzu noża. W czasie kiedy Powiśle walczyło o swoje prawa, podobne sytuacje rozgrywały się również w innych dzielnicach. Jednej z pierwszych klubokawiarni w mieście, Chłodnej 25, odebrano koncesję na alkohol. Kłopoty miał też popularny Cud nad Wisłą, z którym w szranki stanęła

rezultaty kilkumiesięcznych rozmów. Efekt spotkania przerósł oczekiwania jego organizatorów. Nie zdążyli jeszcze na dobre przedstawić swoich pomysłów, kiedy media obiegła wiadomość, że miasto chce wyznaczyć strefy, w których nie będzie obowiązywała cisza nocna. Znowu zawrzało. Tylko że tym razem zupełnie bez powodu, bo wbrew temu, co możemy przeczytać w gazetach, ratusz jest jak najdalej od takiego rozwiązania. Niezależnie jednak od tego, jak przedstawiana jest ta sprawa w mediach, jedno jest pewne. Pro-

ludzi przyciąga, tym bardziej naraża się okolicznym mieszkańcom. Niestety, często też urzędnikom niższego szczebla, dla których skarga sąsiada bywa równoznaczna z orzeczeniem winy. Najczęściej dostajemy mandaty za hałas, który generują ludzie przed klubem, na który realnie nie mamy wpływu. Według wspólnoty mieszkaniowej jesteśmy winni całemu zlu na placu Zbawiciela. Często dochodzi na tym polu do wręcz kuriozalnych sytuacji. Mieszkańcy oskarżają nas o to, że nasi klienci dewastują budynek czy

zmięty, zmiany charakteru miejsca i sposobu jego funkcjonowania klub zostanie zamknięty. Po kilku latach borykania się z sąsiadami i próbach znalezienia kompromisu klub szuka nowego adresu.

– W końcu zrozumieliśmy, że w tym miejscu nic więcej nie da się już zrobić – mówi Grzegorz Lewandowski, właściciel Chłodnej 25. – Zrobiliśmy chyba wszystko, by móc tworzyć miejsce na Chłodnej. Wspólnota, wbrew obietnicom, odmawia rozmowy o przyszłości. Sąsiedzi mają prawo do własnego zdania, a ja muszę zaakceptować ich

Okoliczni mieszkańcy zarzucają warszawskim klubom hałas i brak kontroli nad gośćmi. Problemy ma m.in. popularny Cud nad Wisłą, który naraził się ostatnio znanej pani architekt, mieszkanki modnego apartamentowca z sąsiedztwa.

ły obraz sytuacji, który opowiada o złych urzędnikach, wrednych mieszkańcach i biednych animatorach kultury. Rzeczywistość jest o wiele bardziej złożona, więc wszelkie uogólnienia mijają się z celem. – W Polsce często zamiast rozmawiać o istocie problemu, zajmujemy się wzajemnym obwinianiem i szukaniem sprawców. Wierzę, że przy dobrej woli każdy problem można rozwiązać. Tylko zamiast mnożyć oczekiwania, trzeba nauczyć się rozmawiać. Dobro miasta to nasz wspólny interes. Wszystkim, zarówno urzędnikom, jak

ców, którzy nigdy nie byli w ich klubie. – Nad Planem B. zamieszkał pan, którego osobistą misją jest zniszczenie klubu. Nieważne, jak bardzo byśmy się starali, on jest wiecznie niezadowolony – opowiada. Olszewski przyznaje, że rzeczywiście często problem lokali ma tło personalne. – Wiem, że są takie miejsca w Warszawie, gdzie nie da się dogadać. Konflikt urósł tam do poziomu, którego nie da się przeskoczyć. To kwestia obyczajowości – mówi wiceprezydent. Podobnego zdania jest Lewandowski. – Nasze miasto przez

długi czas było zamrożone społecznie. Jesteśmy krajem na dorobku i każdy dba tu o swoją własność. Każdy strzeże własnego interesu i trudno o spokojną dyskusję o przestrzeniach wspólnych. Łatwo powiedzieć do drugiej strony, klubu albo sąsiada: „Macie się wyprowadzić”, ale przecież to nie rozwiązuje problemu. Jeśli mój tata wszedłby do lokalu, w którym nie ma miejsc, to pewnie poszukałby innego, ja raczej stanę pod wejściem i dalej będę rozmawiać ze znajomymi, popijając rozcieńczone piwo. Nic nie poradzimy na to, że wyrosło pokolenie, które lubi pić piwo z papierowego kubka na brudnym placu czy trawniku. Zamiast to zmieniać, zastanówmy się, w jakim stopniu miasto należy również do młodych – opowiada.

Medal ma oczywiście dwie strony. Mieszkańcy są w stanie wiele zrozumieć, ale chcieliby też dostać coś w zamian. – Problemem warszawskiej Starówki jest brak jednoznacznych relacji społecznych – mówi Marek Chocianowicki, prezes wspólnoty mieszkaniowej. – Mieszkańcy są sfrustrowani, bo czują się opuszczeni przez miasto. Kupcy natomiast niewiele mogą im zaoferować, bo sami są traktowani po macoszemu, choćby w kwestii wykupu lokali użytkowych. Myślę, że mieszkańcy mogliby zaakceptować niedogodności, gdyby dostali gwarancję, że z faktu bycia sąsiadem lokalu będą płynąć jakieś korzyści. Chodzi nawet o drobne rzeczy, takie jak odremontowanie elewacji, stworzenie stanowiska pracy czy dołożenie się do remontu. Kiedyś Starówka była miejscem wyróżnionym, dziś nikt o nią nie dba. Nie dziwne więc, że mieszkańcy są rozgoryczeni i nie chcą współpracować. Inną sprawą jest fakt, że to starzejąca się dzielnica. Jeżeli ktoś przez pół życia miał ciszę i spokój, to ciężko mu zaakceptować fakt, że to się zmieniło – opowiada prezes.

Cisza nocna nie istnieje

– W Polsce przyjęło się, że z sąsiadami komunikuje się za pomocą stukania w rury czy wzywania policji. Cisza nocna to pojęcie umowne. O ile w prawie funkcjonują przepisy dotyczące pozio-



MICHAŁ WARGIN/FEAST NEWS

KRYSZTOF MAJ/REPORTER

mu hałasu, który generuje transport czy przemysł, to nie ma norm, które regulują poziom ludzkiego gwaru. To, co jedni odbierają jako wrzask, dla innych jest głośną rozmową – mówi Olszewski. Wtórkuje mu Lewandowski: – Istotą tego konfliktu nie jest cisza nocna, bo przecież nie można odebrać ludziom prawa do snu, ale rozmowa o dokonującej się na naszych oczach olbrzymiej zmianie miasta – opowiada. Podobne postulaty wysuwa Michał Borkiewicz: – Uważam, że na placu Zbawiciela powinien stać patrol straży miejskiej i dbać o bezpieczeństwo. Oczywiście nigdy o to nie zawioskuję, bo wiem, że to sprawdziłoby się do wypisywania mandatów za głośne rozmawianie czy siedzenie na schodach, czyli zwykłe nękanie ludzi, którzy nikomu nie szkodzą. Nie zmienia to faktu, że jestem absolutnym przeciwnikiem wandalizmu, bezsensownego darcia się na ulicy i śmiecenia. Problem polega tylko na ocenie sytuacji i interpretacji przepisów, a niestety w tej kwestii na funkcjonariuszy nie ma co liczyć i obawiam się, że minie sporo czasu, zanim się to zmieni. Dla mnie spotkanie się po 22 pod klubem, czyli de facto w przestrzeni publicznej, w centrum miasta nie jest zakłócaniem porządku publicznego, tylko właśnie tym porządkiem, czyli tzw. normą.

Obie strony stwierdzają niezależnie, że podłożem konfliktu jest nasza mentalność i wynikający z niej brak tolerancji dla jakiegokolwiek odmienności. Zarówno ze strony klubokawiarni, które powinny zrozumieć fakt, że niektórzy naprawdę potrzebują snu i ciszy, jak i ze strony mieszkańców, którzy muszą zdać sobie sprawę, że miasto w swojej naturze jest po prostu głośne. Pytanie tylko, jak pogodzić obie strony i nauczyć je rozmawiać. Wiadomo już, że wyznaczanie głośnych stref mija się z celem. – To stygmatyzacja przestrzeni. Poza tym ciężko mi sobie wyobrazić, które części Warszawy miałyby zostać objęte takim prawem. Siłą stolicy jest fakt, że jest zdecentralizowana. Nie mamy, tak jak Wrocław, jednego miejsca, które stanowi centrum. Życie towarzyskie kwitnie w wielu dzielnicach.

Dla gości Powiśla spotkanie się po 22 pod klubem, czyli w przestrzeni publicznej, nie jest zakłócaniem porządku, ale normą, tym bardziej że w polskim prawie nie istnieją zapisy regulujące poziom ludzkiego gwaru.

Plan B z placu Zbawiciela dostaje mandaty za hałas, który generują goście stojący przed klubem. Michał Borkiewicz, właściciel klubu, narzeka, że większość zarzutów, które padają pod jego adresem, pochodzi od mieszkańców, którzy nigdy nie byli w środku.

Jest to wartość, którą trzeba wspierać – mówi Olszewski.

Rozwój vs. komfort

Do tej pory urzędnikom i klubokawiarniom udało się ustalić dwie rzeczy. Po pierwsze, powstanie kodeksu dobrych praktyk, który będzie rodzajem umowy społecznej zawartej między klubami a mieszkańcami. Po drugie, zostanie rozpoczęta dyskusja publiczna, której celem będzie znalezienie odpowiedzi, gdzie w Warszawie gwar jest dopuszczalny i na jakich zasadach mają funkcjonować „głośne miejsca”. – Zdaje sobie sprawę, że na efekty tych rozmów trzeba będzie poczekać kilka lat. To trudna i pionierska droga, a jak wiadomo, pionierów poznaje się po dziurach w plecach. Warto jednak zwrócić uwagę nie tylko na niedogodności, jakie generują klubokawiarnie, ale też na korzyści, które przynoszą. Wokół tych środowisk zbiera się sektor kreatywny, który z punktu widzenia miasta jest bardzo cenny i rozwojowy. Wychodzę z założenia, że państwo nie powinno zabijać rynku. Skoro są osoby, które chcą tworzyć taką przestrzeń, to trzeba stwarzać im do tego warunki. Państwo jest lewiantem. Gdyby chciał, mogłoby stworzyć własną sieć klubokawiarni. Pytanie tylko, czy ludzie chcieliby do nich przychodzić – żartuje Olszewski.

Rozmowy, które toczą się między ratuszem a klubami, to sytuacja wyjątkowa. Do tej pory miasto nie poświęcało większej uwagi tej przestrzeni, czego konsekwencją były chociażby wydarzenia zeszłego lata na Powiślu. – Przez długi czas miastu brakowało spójnej wizji. Teraz nadszedł moment, w którym trzeba sobie odpowiedzieć, dla kogo jest Warszawa i co możemy z nią zrobić – mówi Lewandowski. – Nie podoba mi się, kiedy mówi się o nas i naszych klientach jak o jakiejś wykolejonej grupie społecznej, która tylko konsumuje i zatruwa życie „normalnym” ludziom. Nasz program jest skierowany do różnych grup społecznych. Przychodzą do nas artyści, studenci, prawnicy, lekarze, ludzie w różnym wieku i o różnych zainteresowaniach. Łączy ich to, że wolą

spotykać się z ludźmi i brać udział w organizowanych przez nas wydarzeniach, niż siedzieć w domu przed telewizorem. Mamy ogromny wkład w rozwój miasta – przede wszystkim kulturalny i społeczny, ale też odprowadzamy do budżetu ogromne pieniądze i przyciągamy turystów. Mówię to w imieniu wielu miejsc działających na takiej zasadzie jak Powiększenie i Plan B, a jest ich w Warszawie coraz więcej. Płacimy krocie za wynajem lokali i terenu, dajemy zatrudnienie wielu ludziom i zostawiamy mnóstwo kasy w ZUS-ie i urzędzie skarbowym. Do tego sami finansujemy nasz program kulturalny z pieniędzy ze sprzedaży alkoholu. Program bogatszy i na wyższym poziomie niż niejednej utrzymywanej z publicznych pieniędzy instytucji kultury. Oczywiście tego rodzaju działalność bywa uciążliwa dla okolicznych mieszkańców, ale w miarę możliwości staramy się tę uciążliwość ograniczać – mówi Borkiewicz.

Celem rozmów jest kampania społeczna, która ma uświadomić mieszkańców w tej kwestii. Warszawa jest jedną z europejskich stolic. Szkoda by było, żeby jej potencjał się marnował tylko dlatego, że od rozwoju bardziej liczy się dla nas własny komfort. Akcję „Zostawmy nasze Powiśle” poparli nie tylko młodzi bywalcy klubów, ale też starsi mieszkańcy. W Internecie można znaleźć film z ich wypowiedziami. – Polacy najlepiej działają wtedy, kiedy mają negatywną motywację. Nad tym też trzeba popracować. Problemem naszego miasta jest kiepska komunikacja. Nie ma czegoś takiego jak wredny mieszkaniec czy zły urzędnik. Mam wrażenie, że wszyscy tak naprawdę chcemy tego samego. Zamiast więc szukać agresywnych rozwiązań, jakim niewątpliwie byłaby zmiana prawa, trzeba poszukać pola dialogu – mówi Olszewski. Michał Borkiewicz przez pewien czas mieszkał w Śródmieściu. Przeszkadzał mu hałas, więc wyprowadził się na Bielany. Lewandowski z kolei miał mieszkanie nad klubem. – Jak było głośno, dzwoniłem do właścicieli i prosiłem o ściszenie muzyki. Zwykle działało – opowiada. Czasem po prostu wystarczy odrobina dobrej woli. Z obu stron. ☐

FRANCISZEK BARWIŃSKI, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Gwałty mierzone w decybelach

Szum, huk, pisk, wrzask, świst. Dudnienie, buczenie, szuranie, chłopot, chrzęst. Hałas towarzyszy nam codziennie w najróżniejszych postaciach. I szkodzi. By zwrócić uwagę na ten problem, **25 kwietnia obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Świadomości Zagrożenia Hałasem**. Wyobrażacie sobie dobę w zupełnej ciszy?

Tegoroczna zima była stanowczo za długa. Dopiero od kilku dni możemy się cieszyć pierwszymi oznakami wiosennego przebudzenia. Słońce. Pąki na drzewach. Bociany w gniazdach. Przeciągające się niedźwiedzie, które otworzyły oczy po kilkumiesięcznej drzemce. Ale wraz z misiami obudzili się też inni miłośnicy dłuższych i cieplejszych dni. Motocykliści wsiedli na swoje maszyny, by sprawdzić, czy po długiej zimie wciąż potrafią w centrum miasta rozpędzić się do stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Osiedlowi audiofile rozpoczęli wiosenne testy głośników. Na ławki powróciły kluby smakoszy piwa oraz stowarzyszenia enologów, żeby degustować nowe trunki i o nich pogawędzić. Z godnym pozazdroszczenia zaangażowaniem i ekscytacją.

Na place zabaw znów wybiegły stada radosnych dzieciaczków (podobno mamy niż demograficzny!!!), a do roboty na całego zabrali się budowlańcy. Wkrótce dołączą do nich miłośnicy krótko przystrzyżonych trawników. Wszystkich ich łączy jedno: ciężko się z nimi negocjuje. Doświadczył tego Adaś Miauczyński, bohater „Dnia świra”, który próbował dogadać się z ekipą robotników wyposażonych w młot pneumatyczny („Czy panowie muszą

tak napierdalać od bladego świtu?”) i grającym mu pod oknem muzykiem z akordeonem.

Ludzie lubiący ciszę nie spotykają się z wyrozumiałością. Nie mogą na nią liczyć nawet 25 kwietnia, w Międzynarodowy Dzień Świadomości Zagrożenia Hałasem. Święto ustanowiła w 1995 r. amerykańska Liga Niedosłyszących, a pięć lat później do Polski sprowadziło je Towarzystwo Higieny Akustycznej. Mało kto o nim słyszał, a jeśli nawet, to raczej nie zapamiętał niezbyt wpadającej w ucho nazwy. Poza tym MDŚZH musi konkurować m.in. z Międzynarodowym Dniem Malaria. Wtedy też rozpoczyna się Tydzień Wolności Korei Północnej. A że ostatnio marszałek Kim Dzong Un głośno dopomina się o uwagę światowej opinii publicznej, fetującym MDŚZH trudno będzie go przekrzyczeć.

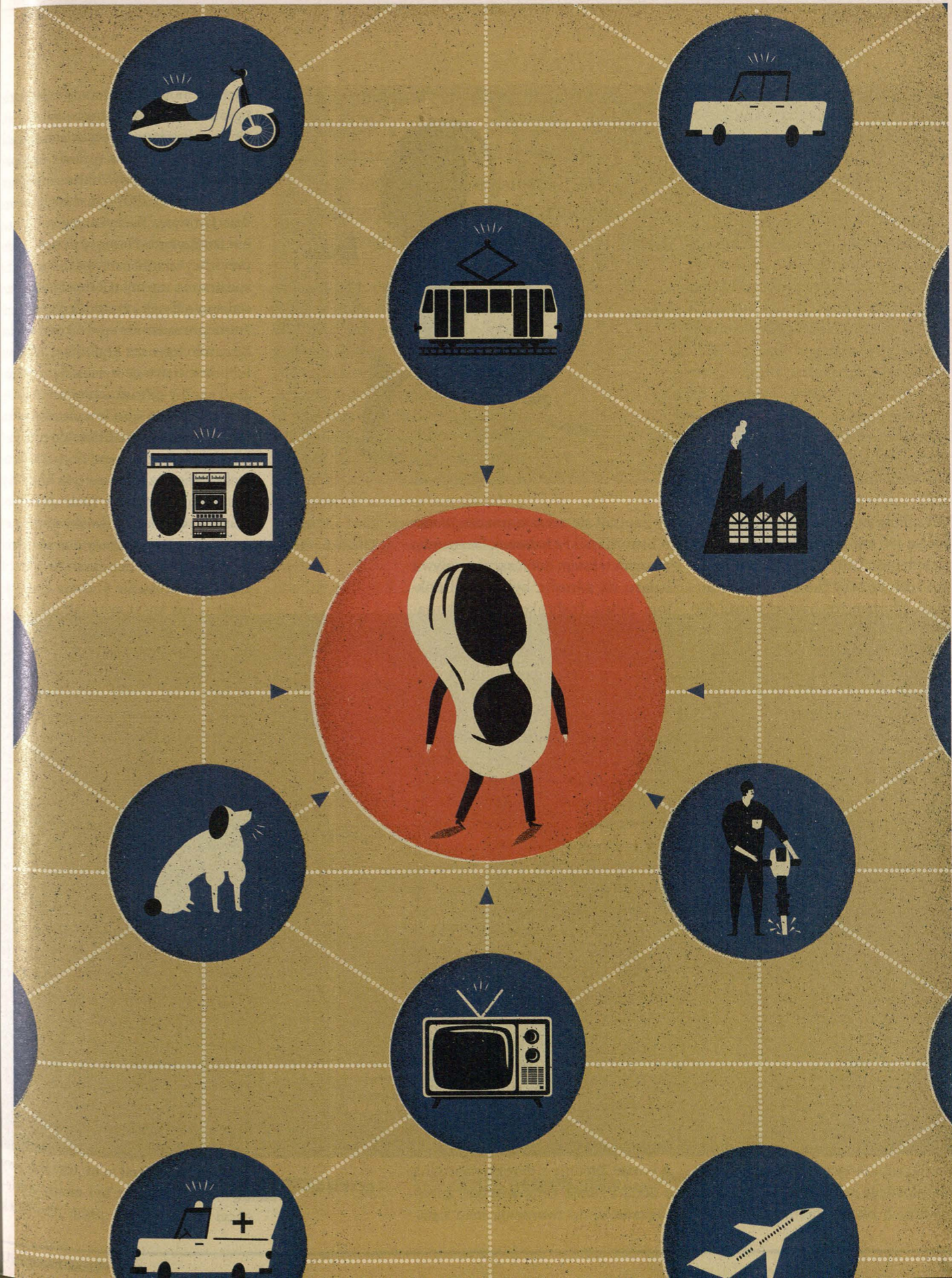
Rihanna może zabić

A przydałoby się, bo niepożądane dźwięki nie tylko denerwują. – Długotrwała ekspozycja na hałas może sprzyjać rozwojowi nadciśnienia tętniczego – ostrzega dr Kama Pierzgalska ze stołecznego Instytutu Psychiatrii i Neurologii. Psychiatra wskazuje również, że hałas może być odpowiedzialny za przyspieszenie procesów starzenia,

problemy gastryczne, stres czy utratę koncentracji. Czym to się może skończyć – nietrudno zgadnąć.

Dotyczy to bodźców dźwiękowych o natężeniu ok. 70–75 decybeli. Jeśli będziemy narażeni na hałas powyżej 85 dB, grozi nam poważne uszkodzenie narządu słuchu, a nawet całkowita głuchota. Ale spokojnie. 85 decybeli dostarczy nam przejeżdżający w pobliżu TIR. Żeby jednak całkowicie ogłuchnąć, musielibyśmy stać przy naprawdę ruchliwej drodze przez co najmniej kilkanaście lat osiem godzin dziennie. Albo pracować tuż przy lotnisku bez odpowiednich zabezpieczeń (startujący odrzutowiec to ok. 120 dB). Albo nieostrożnie obsługiwać dręczący Adasia Miauczyńskiego młot pneumatyczny (mniej więcej 105 dB).

W podobny sposób na nasze samopoczucie i zdrowie może wpłynąć Rihanna. Rozkręcanie głośników na maksa, by uważnie wśluchać się w „Loud” i poznać się nad sąsiadami, przy okazji może i nam narobić szkody. Jeszcze groźniejsze od głośników są słuchawki. Zwłaszcza gdy podróżujemy pociągiem lub autobusem (w granicach 75–80 dB) i chcemy, żeby nasz sprzęt grający „przekrzyczał” dobiegający zewsząd hałas. Nieco łaskawsze dla uszu są samochody, zwłaszcza limuzyny.





W kabinie poruszającego się z prędkością 130 km/h BMW 730d zmierzono jedynie 62 dB, w leksusie LS 600 hL to 65 dB, ale żeby cieszyć się takim audiokomfortem, trzeba mieć ponad 400 tys. zł. Ale już przy tej samej prędkości miejski citroen C1 atakuje nasz narząd słuchu aż 77 decybelami.

W obronie bębenków

O uszy obywateli prawodawcy dbają, bagatela, od ponad 2,5 tys. lat. Pierwszy znany akt prawny dotyczący hałasu pochodzi z Grecji. Już w szóstym wieku przed Chrystusem rada prowincji Sybaris wprowadziła szereg zakazów. Garnarczom, kołodziejom, kowalom i innym rzemieślnikom nakazano przenieść się poza mury miejskie. Ich los podzieliły również zakłócające sen radców piejące koguty.

W 44 r. p.n.e. Juliusz Cezar zabronił hałasować woźnicom. W rzymskim terenie zabudowanym nie można się było poruszać wozem przez 10 godzin po zachodzie słońca.

Pod koniec XVII w. o prawo do ciszy upomnieli się włodarze Londynu. Na mocy wprowadzonej ustawy mieszczanom zabroniono m.in. śpiewania, wrzasków na służbę, uprawiania głośnego seksu i bicia żon przy otwartych okiennicach. Londyńczy-

cy zapisali się zresztą jeszcze nieraz w historii walki z hałasem. Pierwszym znanym tekstem dotyczącym wpływu hałasu na zdrowie był artykuł doktora Johna Fosbroke'a opublikowany w 1831 r. w czasopiśmie „Lancet”. Dowodził on, że głuchota angielskich kowali jest skutkiem warunków, w jakich pracują. Z kolei w 1864 r., po szeroko zakrojonej kampanii społecznej, którą poparł m.in. Charles Dickens, władze ustanowiły „Act for the Better Regulation of Street Music in the Metropolis” (Ustawę dotyczącą lepszego uregulowania kwestii muzyki ulicznej w metropolii). Nad Tamizą w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. powstało też pierwsze na świecie Towarzystwo Zwalczenia Hałasu. Pierwszymi wrogami szacownej instytucji byli posiadacze coraz częściej wyjeżdżających na ulice samochodów, zwłaszcza ci nadgorliwie korzystający z klaksonów.

O ciszę postanowili też zawalczyć Amerykanie. W 1957 r. w Chicago wprowadzono pierwsze na świecie rozporządzenie określające dopuszczalny poziom hałasu w metropolii.

Nadgorliwość kosztuje

A u nas? Zgodnie z dyrektywą unijną z 2002 r. kraje członkowskie zobowiązane są do tworzenia map hała-

su wszystkich aglomeracji miejskich i głównych szlaków transportowych. Normy określone w decybelach ogłasza w rozporządzeniu w sprawie dopuszczalnych poziomów hałasu minister środowiska. W 2007 r. funkcję tę w rządzie Jarosława Kaczyńskiego obejmował Jan Szyszko. Na mocy podpisanego przez Szyszkę 14 czerwca dokumentu zaostroszono normy tak drastycznie, że staliśmy się najcichszym krajem Unii. To rozporządzenie sporo kosztowało. Zmieniło też nasz krajobraz. Wszystko przez stawiane masowo przy drogach ekrany dźwiękochłonne. Zostały nimi szczelnie obudowane nie tylko centra miast i obwodnice, ale również biegnące przez szczerne pola autostrady (być może zyskali na tym hodowcy pasących się wzdłuż nich „wyciszonych” krów, które dzięki audialnemu komfortowi zaczęły dawać więcej mleka). Producenci ekranów zaczęli zarabiać kokosy, ale budowa dróg stała się u nas kosztowna jak nigdy dotąd. W latach 2009–2012 wydaliśmy na zbędne ekrany niemal 1,5 mld zł. W zeszłym roku minister środowiska Marcin Korolec podpisał się pod nowym, „luźniejszym” rozporządzeniem, dzięki czemu ekranów nie będzie przybywać jak dotąd, a my – wg doniesień „Dziennika Gazety Prawnej” – oszczędzimy w ciągu najbliższych czterech lat 1,8 mld zł. Co można za to wybudować? Trzy–cztery w pełni wyposażone szpitale na ok. 400 łóżek.

Gwałt na uchu

Kochający się przy otwartych okiennicach sąsiad lub wrzeszcząca na służbę sąsiadka może uprzykrzyć życie. Albo przygłuchy nastolatek testujący sprzęt hi-fi. Doświadczył tego na własnych uszach Witold Lutosławski. Jeden z naszych najwybitniejszych kompozytorów (w tym roku z okazji setnych urodzin artysty obchodzimy Rok Lutosławskiego), by móc pracować w spokoju, specjalnie wygłuszył swoje mieszkanie (zainstalował m.in. trzy warstwy szyb). Kompozytor był znany z niechęci do hałasu. Jak pisał: „Człowiek

został wyzuty z jednego z elementarnych praw – prawa do ciszy. Prawa tego nie chronią ustawy, nie uznają go również sami ludzie w swym codziennym postępowaniu”. W tym samym tekście konstataował też gorzko: „Słuch ludzki jest zmysłem upośledzonym, ponieważ jest zupełnie bezbronny. Możemy zamknąć oczy, jeśli nie chcemy widzieć, możemy nie jeść, jeśli nam nie smakuje, możemy nie dotykać, jeśli nas parzy. Natomiast nie pomoże zatykanie uszu, a nawet zalepianie ich woskiem, jeśli nie chcemy słyszeć. Dźwięk dochodzi do nas poprzez czaszkę. Słuch nasz jest bezbronny i pod tym względem jesteśmy niewolnikami otaczającego nas świata” (Cytaty pochodzą z książki „Witold Lutosławski. O muzyce. Pisma i wypowiedzi”, Towarzystwo im. Witolda Lutosławskiego i wydawnictwo słowo/obraz terytoria, 2011).

Lekarze ostrzegają przed długotrwałą ekspozycją na hałas, która może sprzyjać rozwojowi nadciśnienia tętniczego. Hałas może być też odpowiedzialny za przyspieszenie procesów starzenia oraz problemy gastryczne.

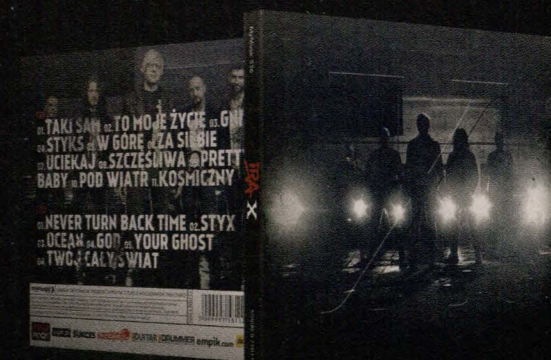
Kompozytor należał do Międzynarodowej Rady Muzycznej UNESCO. W 1969 r. rada przyjęła zainicjowaną przez Lutosławskiego uchwałę, która potępiała pogwałcenie wolności osobistej i przyznawała każdemu człowiekowi prawo do ciszy. W uchwale znalazła się również prośba o rozpoczęcie odpowiednich badań, które stałyby się podstawą do „przyjęcia ustalonych norm, które położą kres temu bezprawiu”.

Trudno sobie wyobrazić, że w rozmowie z nadekspresyjnymi enologa-

mi z osiedlowej ławki powołujemy się na postulaty Witolda Lutosławskiego. A jeszcze trudniej pomyśleć, że użyjemy zrozumienie i przyjmujemy wyrazy skruchy. Cisza należy do spraw mniejszego kalibru, małej codzienności, jak na przykład segregowanie śmieci, którego wciąż nie możemy systemowo ogarnąć. Albo jak powracający każdej wiosny, zwłaszcza w prasie lokalnej, temat upstrzonych psimi odchodami trawników. Nas, Polaków, nie za bardzo obchodzą małe sprawy. Wolimy wielkie słowa i bohaterskie idee przemawiające raczej do serca niżli głowy. Widział kto bohatera pochylającego się z workiem nad psią kupą? Na ciszę musimy jeszcze trochę poczekać. Nie załatwią nam jej dźwiękochłonne ekrany ani trzywarstwowe szyby. Potrzebna jest odrobina szacunku dla tego, co wspólne. Ale o tym na razie cicho sza.

REKLAMA

PO BLISKO CZTERECH LATACH OD MOMENTU WYDANIA ZŁOTEJ PŁYTY „9”



PREMIERA PŁYTY
16.04.13

DŁUGO WYCZEKIWANY, NAJNOWSZY ALBUM „X” TO WIELE GODZIN PRACY,
KTÓRE ZAOWOCOWAŁY NIECODZIENNĄ,
DWUPLYTOWYM WYDAWNICTWEM ZESPOŁU

eska ROCK cgm.pl SUKCES muzodajnia.pl GUITAR DRUMMER empik.com INTERIA.PL

GRZEGORZ SIEMIONCZYK, ILUSTRACJE ALEKSANDRA WOLDAŃSKA

Złoto, które się nie świeci

Nie jesteśmy już skazani na coraz mniej pewne – szczególnie po tym, co zdarzyło się na Cyprze – papierowe pieniądze. **Mamy bitcoin:** w miarę bezpieczną walutę wirtualną, za którą nie stoi żaden rząd, korporacja ani bank. Wadą cyberpieniądza są jednak nagłe skoki i spadki jego wartości, dlatego nie brak głosów, że ma wadliwą konstrukcję, która skazuje go na rolę zabawki w rękach spekulantów.

W amerykańskim stanie Utah od dwóch lat złoto jest drugim obok dolara legalnym środkiem płatniczym. W kilkunastu innych stanach trwają prace nad wprowadzeniem podobnego pomysłu. W ten sposób konserwatywni politycy z amerykańskiego ruchu obywatelskiego Tea Party manifestują brak zaufania do papierowego pieniądza, którego wartością, według nich, manipuluje Waszyngton. Jak twierdzą, bezprecedensowe luzowanie polityki pieniężnej przez Rezerwę Federalną nie może się skończyć inaczej niż skokiem inflacji, która wprowadzi pomoże rządowi, kasując jego długi, ale równocześnie zdevaluje ich oszczędności.

Takie obawy nie są tylko domeną konserwatystów. Podzielają je też ludzie, którzy w większości innych kwestiach mają od nich poglądy biegunowo różne. Na przykład wszelkiej maści komputerowi zapaleńcy. A ci, jako bracia z natury postępowi, nie wzdychają do zamierzonych czasów, gdy pieniądzem były metale szlachetne. Dlatego wymyślili własne złoto: wirtualną walutę bitcoin.

Bitcoin bardziej bowiem przypomina surowiec niż dzisiejszy pieniądz papierowy. Tak jak złoto czy srebro bitcoiny są „wydobywane”. Każdy chętny może poświęcić moc obliczeniową swojego komputera na rozwiązanie

skomplikowanego zadania, którego wynikiem będzie 64-cyfrowa liczba. W zamian otrzyma pakiet 25 bitcoinów. To jednak swego rodzaju loteria, wymagająca szczęścia, bo tej samej liczby szuka jednocześnie wielu „górników”, w większości – dzięki specjalnym stronom internetowym – działających w zespołach. Gdy jedna liczba zostanie odkryta, ruszają poszukiwania kolejnej. Zadania stają się jednak coraz trudniejsze, a więc wymagają coraz większej mocy obliczeniowej. Tak jak złoża kruszców, stają się coraz mniej dostępne i przez to droższe w eksploatacji. Ten mechanizm gwarantuje, że liczba bitcoinów w obiegu rośnie coraz wolniej, aż ostatecznie – mniej więcej za dekadę – ustabilizuje się na poziomie 21 mln. W końcu ilość dowolnego kruszcu na Ziemi też jest ograniczona. Obecnie wirtualnych monet jest w obiegu około 11 mln. To oznacza, że przy maksymalnej wartości, jaką dotąd osiągnęły (266 dol.), łącznie mogą być warte niecałe 3 mld dol. Dla porównania, baza monetarna Polski, czyli nominalna wartość pieniądza wyemitowanego przez Narodowy Bank Polski, wynosi około 160 mld zł (blisko 51 mld dol.).

Krótkie życie bańki mydlanej

Bitcoin miał być walutą dla anarchistów, którzy nie wierzą ani rządowi, ani instytucjom finansowym, ani nawet firmom

informatycznym. Szybko jednak się okazało, że ta swoista waluta wirtualna też nie jest godna zaufania.

Niewielki rynek wirtualnego pieniądza przyciągnął tylu entuzjastów – a w ślad za nimi spekulantów – że dolarowa wartość jednej jednostki w ciągu zaledwie kilku tygodni wzrosła z ok. 15 do 266 dol. Bez dwóch zdań przyczynił się do tego podatek od depozytów bankowych, który pod presją Brukseli i Międzynarodowego Funduszu Walutowego wprowadził w marcu Cypr. Choć to w pewnym sensie uzasadnia nagły skok wartości bitcoinów, w takim tempie nie drożały nawet cebulki kwiatowe podczas XVII-wiecznej tulipanomanii, najbardziej niezwyklej bańki spekulacyjnej w historii. Ani kilka dekad później akcje Kompanii Mórz Południowych, dzięki którym najpierw się wzbogacił, a chwilę później splukal Isaac Newton. „Potrafię obliczyć ruch ciała niebieskich, ale nie ludzkie szaleństwo” – komentował później fizyk. Ale zanim zdążyliśmy opisać nowe szaleństwo, z bitcoinowej bańki spekulacyjnej uszło powietrze. Na początku kwietnia w ciągu kilku godzin wirtualna waluta straciła ponad 60 proc. wartości.

To oczywiście nie koniec historii bitcoinu. Nie można wykluczyć, że stanie się on uniwersalną, bezpieczną i wolną od rządowych ingerencji jednostką płatniczą, używaną powszechnie za-



równy w transakcjach wirtualnych, jak i realnych. A wtedy ogromna zmienność jej notowań okaże się tylko nieuchronnym etapem jej popularyzacji. Ale nie brak też głosów, że bitcoin ma wadliwą konstrukcję, która skazuje go na rolę zabawki dla spekulantów i cyberprzestępców. A to byłby kolejny argument dla licznych polityków, którzy po kryzysie finansowym uznali, że każda ludzka aktywność, a zwłaszcza ta związana z finansami, wymaga surowego nadzoru. Zamiast utopii, w której nawet pieniądz i inne kluczowe instytucje społeczne są oddolnymi projektami bazującymi wyłącznie na wzajemnym zaufaniu ich użytkowników, cyberanarchiści zgotowaliby sobie piekło: regulacje dosięgłyby Internetu, który dotąd dość skutecznie ich unikał. Od losów bitcoinu zależy więc dużo więcej, niż sugeruje jego krótka historia i wciąż niszowy status.

Tysiące linijek kodu i Silk Road

Wirtualną walutę do życia powołał w 2009 r. osobnik znany jako Satoshi Nakamoto (przypuszczalnie to pseudonim), podający się za japońskiego trzydziestoparolatka. Podobno 31 tys. linijek kodu, na których bazuje bitcoin, napisał w ponad rok w reakcji na kryzys finansowy. Zmęczyły go pieniądze, których wartość zależy od nieprzewidywalnych nieraz działań banków centralnych oraz spekulacji finansistów. „Podstawowy problem z konwencjonalnymi walutami polega na tym, że wymagają zbyt dużo zaufania, aby mogły funkcjonować. Musimy ufać bankom centralnym, że tych walut nie zdevaluują, a przecież historia jest pełna przypadków, gdy to zaufanie zostało naruszone. Musimy ufać bankom komercyjnym, że będą magazynowały nasze oszczędności i przesyłały je na nasze życzenie drogą elektroniczną, tymczasem banki zatrzymują jedynie ułamek tych pieniędzy, a resztę pożyczają, czym napędzają bańki kredytowe” – pisał Nakamoto w eseju tłumaczącym, dlaczego stworzył bitcoin. W 2011 r. słuch o nim zagiął. Niewykluczone, że pod pseudonimem krył się cały zespół ludzi. Kimkolwiek był, Nakamoto sięgnął po spraw-

dzony wzorzec: waluty kruszcowe. Bo bitcoiny można, jak już napisaliśmy, „wydobywać”, ale też po prostu kupić.

W krótkiej historii tej waluty powstało już kilkadziesiąt giełd umożliwiających wymianę kilkunastu konwencjonalnych walut (w tym złotego) na wirtualną. Najpopularniejszą taką platformą jest Mt. Gox. Używanie bitcoinów wymaga jeszcze specjalnego portfela: na własnym komputerze (telefonie) lub w sieci. Portfele, podobnie jak same jednostki płatnicze, są anonimowe: opatrzone są jedynie kodem. Transakcje nie przechodzą przez żadnego pośrednika: pieniądze płyną z jednego portfela do drugiego. Jednocześnie z technologicznego punktu widzenia bitcoiny są nadzwyczaj bezpieczne. Praktycznie nie da się ich podrobić lub wydać kilkukrotnie. Rejestr wszystkich transakcji – opisanych wyłącznie kodami kontrahentów i bitcoinów – jest publicznie dostępny i nieustannie monitorowany.

Bitcoinami można już płacić w sieci hoteli Howard Johnson, w chicagowskiej korporacji taksówkowej i w wielu sklepach w Finlandii. Istnieje nawet firma programistyczna, która w bitcoinach wypłaca wynagrodzenia.

Oprogramowanie, na którym waluta bazuje, też jest otwarte. Każdy może je ulepszyć, ale społeczność pasjonatów weryfikuje wszelkie zmiany. Zdarzają się natomiast przypadki kradzieży wirtualnych pieniędzy, i to spektakularne. W połowie 2011 r. hakerzy złupili 25 tys. bitcoinów z portfela niejakiego All InVain. Nagminne są też ataki piratów na bitcoinowe giełdy.

Zresztą wirtualna waluta ze względu na anonimowość transakcji od samego początku pociągała cyberprzestępców i innych eksploratorów najciemniejszych zaułków Internetu. O atrakcyjności bitcoinów długo przesądzała głównie możliwość kupna heroiny, LSD i innych nielegalnych substancji na „podziemnej” giełdzie Silk Road, określanej jako przestępczy Amazon lub eBay. Od tego czasu sporo się jednak zmieniło. Na stronie Bitcoin.it można

znaleźć listę miejsc, zarówno wirtualnych, jak i realnych, gdzie przyjmowane są płatności w tej walucie. W rejestrze są np. hotele sieci Howard Johnson, pizzerie, chicagowska korporacja taksówkowa, sklep ze skarpetami z wełny z alpaki, a nawet fiński dentysta. W Finlandii, gdzie bitcoiny cieszą się wyjątkową popularnością, pewna firma programistyczna oferuje pracownikom pensję w tej walucie.

Pojawiły się również pierwsze serwisy aukcyjne, na których płatności można wykonywać tylko w bitcoinach.

Cyberpieniądz zmienny jest

Szerokie zastosowanie wynalazku Nakamoto odróżnia go od innych wirtualnych jednostek płatniczych, których wykorzystanie ograniczone jest do gier komputerowych lub portali społecznościowych (najbardziej znane są dolary lindeńskie z gry Second Life). Kolejną różnicą jest to, że za bitcoinem nie

stoi żadna korporacja. Dzięki takim właściwościom ma on szansę stać się „lingua franca” handlu internetowego. Ale ten ogromny potencjał przy ograniczonej podaży cyberbilonu praktycznie gwarantuje wzrost wartości bitcoinów. To może wyglądać na zaletę nowej waluty, ale zdaniem dużej części ekonomistów jest jej największym mankamentem. Wzrost wartości pieniądza to bowiem nic innego jak deflacja: spadek cen towarów i usług, które można za niego kupić. A deflacja dość powszechnie uchodzi dziś za problem znacznie poważniejszy niż inflacja.

Skoro samochód, który dziś kosztuje 40 tys. zł, za tydzień będzie kosztował 30 tys. zł, to lepiej wstrzymać się z zakupem. Ale jeśli jednocześnie taką decyzję podejmą tysiące potencjalnych nabywców aut, ich producent będzie musiał wstrzymać produkcję

i zwolnić załogę. To jeszcze bardziej podkopie popyt na auta i inne produkty oraz przyspieszy ich przecenę. Taką deflacyjną spiralę, która wygląda na prostą drogę do gospodarczej zapaści, trudno powstrzymać. Dlatego banki centralne sprawujące pieczę nad walutami konwencjonalnymi robiły w ostatnich latach wszystko, aby nie dopuścić do spadku cen w gospodarce.

Deflacyjne właściwości miał jednak – zdaniem większości ekonomistów

nie reagują na wszelkie zmiany popytu na nią. Gwałtowne wzrosty i jeszcze ostrzejsze załamania jej kursu zdarzały się w jej krótkiej historii już wielokrotnie. Krach sprzed kilku tygodni, jak informuje Mt. Gox, był spowodowany wyjątkowo dużym ruchem na tej giełdzie. O ile w marcu przybyło jej 60 tys. użytkowników, o tyle w kwietniu każdego dnia pojawiała się 20 tys. nowych. To spowolniło działanie wirtualnej waluty i wzbudziło panikę wśród handlujących.

kie swoje oszczędności. Kilka miesięcy później, gdy kurs bitcoinów wyraźnie wzrósł, przyznał, że się ich pozbył z zyskiem. Dziś takich jak on są tysiące. A im więcej spekulantów na rynku, tym większa zmienność i tym mniej prawdziwych użytkowników. O ile bowiem w Polsce zmienność kursu złotego wobec innych walut nie powoduje problemów dla nikogo, kto nie musi prowadzić zagranicznych transakcji, o tyle w przypadku międzynarodowe-



– także standard złota, reżim walutowy popularny na świecie m.in. przed pierwszą wojną światową. Mimo to poza głównym nurtem ekonomii wciąż ma on zwolenników, którzy albo bagatelizują uciążliwość przewidywalnej deflacji, albo uważają, że wcale nie jest ona nieuchronnym efektem ograniczonej podaży pieniądza. Na gruncie teorii nadal można więc bronić bitcoinu i argumentować, że na dłuższą metę ustabilizuje on ceny. Ale na razie fakty mówią same za siebie: ograniczona ilość wirtualnej waluty sprawia, że jej notowania sil-

Zmienność kursu oraz graniczące z pewnością prawdopodobieństwo, że na dłuższą metę będzie on zmierzał w jednym kierunku, to idealne środowisko dla spekulantów. Pojawiły się już fundusze inwestycyjne, które zarabiają na wahaniami ceny bitcoinu. W spekulantów przekształcili się nawet niektórzy anarchiści, którzy początkowo wierzyli, że bitcoin przyniesie rewolucję. Na przykład Rick Falkvinge, założyciel szwedzkiej Partii Piratów, który w maju 2011 r. ogłosił, że przekonwertuje na wirtualny bilon wszyst-

go bitcoinu ta sama chwiejność staje się problematyczna. Sprzedawca części samochodowych w Finlandii (są tacy), który przyjmuje płatności w wirtualnej walucie, musi codziennie zmieniać ich bitcoinowe ceny, jeśli nie chce, żeby z dnia na dzień (w przeliczeniu na euro) były absurdalnie wysokie lub bezpodstawnie niskie.

Wygląda więc na to, że jeśli cyberpieniądz ma skutecznie pełnić swoją funkcję, anarchiści będą musieli przynajmniej podporządkować się prawom ekonomii. ☞

Masowych biegów, w których uczestniczy kilkadziesiąt tysięcy osób, nie da się w pełni zabezpieczyć, choć to, co zdarzyło się w Bostonie, bardzo boli – mówi maratończyk **Henryk Szost**, najlepszy z Europejczyków.

Czy kiedykolwiek bał się pan o swoje zdrowie lub życie podczas maratonu?

Nigdy nie przeszła mi przez głowę myśl, że mógłbym się stać celem ataku zamachowca. Wprawdzie na igrzyskach olimpijskich w Atenach nieźrównoważony psychicznie widz popchnął biegacza, ale maratończycy są z reguły szanowani za swój wysiłek, za ciężką pracę, którą wkładają w długie przygotowania. Gdy stają na starcie, zarówno amatorzy, jak i profesjonaliści, myślą jednakowo o tym, jak najlepiej pokonać dystans, jak zająć dobre miejsce i właściwie rozłożyć siły. Koncentrują się na swoim zadaniu i nie mają żadnych obaw przed otoczeniem.

Jednak podczas jednego z najstarszych maratonów świata, w Bostonie, ktoś podłożył bomby. Zginęli ludzie i byli ranni. Jak to się mogło stać?

Biegi maratońskie trudno powiązać z walką polityczną, konfliktami zbrojnymi lub tarciami społecznymi, więc najpierw oczywiście się zdziwiłem. Potem przyszła myśl, że to straszne, bo także ten rodzaj sportu nie ucieknie przed zamachami.

Tragedia z Bostonu nie zniechęci ludzi do biegania w maratonach?

Każdy z pewnością współczuje rodzinom ofiar zamachu w Bostonie, ale nie sądzę, by ten dramat wpłynął na postawę ogromnej większości biegaczy. Ja też będę śmiało startować dalej. Tę sytuację można chyba porównać do wybuchu bomby obok jakiegoś stadionu piłkarskiego. Przecież ludzie i tak nie przestaliby grać w piłkę. Dlatego na pewno będą biegać. Taki mam zawód.

ROZMAWIA KRZYSZTOF RAWA

Największe lęki maratończyka



PIOTR NOWAK

Czy obecne metody ochrony biegów masowych dają uczestnikom poczucie bezpieczeństwa?

Z punktu widzenia maratończyka ochrona nie jest ani specjalnie widoczna, ani restrykcyjna. Służby porządkowe, policja, bariery, czasem psy są raczej po to, by zajmować się widzami. My nie wchodzimy przez bramkę magnetyczną na linię startu, nikt nas nie prześwietla, nie sprawdza bagażu i ubrań. W końcu czekamy na start w stroju sportowym, kamizelki z bombą

nikt w koszulce i krótkich spodenkach raczej nie wniesie.

Są maratony bardziej bezpieczne niż inne?

Jeśli chodzi o porządek i profesjonalizm, wyróżniają się maratony urządzone w Japonii. Organizuje się je tylko dla zawodników na wysokim poziomie. Żeby w nich biegać, trzeba wcześniej osiągać bardzo dobre wyniki, bo obowiązują tam limity uczestnictwa, np. do 1000 osób. Japończykom chodzi

o jakość biegu, a nie o epatowanie masowością, dlatego w ich maratonach łatwiej o kontrolę i porządek. Za to w Wiedniu lub we Frankfurcie trudno zapanować nad tłumem biegaczy liczącym 20–30 tys. osób, nie mówiąc już o widzach. Nie ma sposobu, by zabezpieczyć tam wszystko i wszystkich. Gdyby się nawet na to porwać, to podejrzewam, że koszty takiej ochrony przekroczyłyby każdy budżet i organizowanie maratonu straciłoby jakkolwiek sens.

A czego zawodowy maratończyk boi się na co dzień? Rekordzistka świata Paula Radcliffe mówi, że kontuzji...

Tak, to prawda, chyba zresztą obowiązująca w całym sporcie. W mojej pracy przeciążenia są naprawdę duże, kontuzje i urazy muszą się zdarzać, choć zależy to także od częstotliwości startów. Ale z tym lękiem sobie radzę – mam na tyle długi staż, że podchodzę do problemów zdrowotnych z zimną krwią i nawet jak coś boli, to myślę

od razu, co zrobić, by leczenie było jak najskuteczniejsze.

Powiedział pan kiedyś, że maraton niczego nie wybacza, co to znaczy?

Nie wybacza błędów, każdego rodzaju. Braku koncentracji lub przezorności, zbyt gorącej głowy, pomyłek taktycznych, niepełnych przygotowań. Każdy błąd jest karany, zwykle na 30–35 kilometrów dystansu. Ta zasada działa zarówno wśród zawodowców, jak i amatorów.

Po zamachu w Bostonie, w którym zginęły trzy osoby, a ponad 170 zostało rannych, brytyjska policja wzmocniła ochronę dorocznego maratonu w Londynie.

I nie pomaga współczesna technologia – te piękne gadzety, pulsometry, stopery, termiczna i oddychająca bielizna, superlekkie buty, okulary i co tam jeszcze wymyślają firmy żyjące z biegaczy?

Na pewno zapewniają większy komfort biegu, ale niewiele więcej. Kiedy wypożyczymy auto w nowe opony i większy bagażnik, nie stajemy się od tego lepszymi kierowcami. Maraton zawsze egzekwuje to, co włożyło się w trening.

Miał pan momenty zniechęcenia?

Miałem, nawet kilka, zwłaszcza gdy brakowało pieniędzy na rozwój kariery. Bieganie to nie jest piłka nożna, w której za pieniądze niewyobrażalnie wielkie dla przeciętnego biegacza długodystansowego można przeczimować pół roku na ławce rezerwowych w I lidze. Maratończyk to jednoosobowa firma, której zwykle nie wspiera żaden sponsor. Miałem więc momenty, gdy mówiłem sobie, że nie będę jadł tynku ze ścian po to, by biegać. Denerwowałem się, że nie mogę sobie pozwolić na normalne rzeczy, na obozy, wyjazdy, fizjoterapeutę.

Dopiero gdy zacząłem zarabiać w biegach ulicznych, gdy dostałem 300–500 zł za bieg, poczułem motywację, żeby zostać. Ale wiele talentów biegowych w Polsce przepadło tylko dlatego, że nikt im nie pomógł. Szkoda tych osób. System finansowania sportu w Polsce źle działa. Media promujące na okrągło marny futbol też nam nie pomagają.

Co pan poświęcił, by biegać maratony?

Wielu rzeczy nie zrobiłem, wielu nie przeżyłem, bo byłem wciąż na obozach. Maratończyk w zasadzie nie ma wolnych weekendów, nie ma świąt i niedziel, bo to zwykle czas startów. Ale nie żał mi niczego, bo nie ma innej drogi. Maraton to praca, mocna praca pełna poświęceń. Jednocześnie bieganie daje przecież satysfakcję, pozwala wyjeżdżać w miejsca, które inaczej byłyby niedostępne, jak USA, Kenia, Alaska. W sumie – wszystko jakoś się równoważy.

A jak się rywalizuje z biegaczami afrykańskimi?

Ktoś, kto zna się na sporcie, wie, że w ostatnich latach niemal w każdym

HENRYK SZOST

Rocznik 1982, dwukrotny olimpijczyk, najlepszy Europejczyk – w Pekinie był w maratonie 34., w Londynie 9. Rekordzista Polski w maratonie – 2:07,39. (zdjęcie na następnej stronie)

wielkim maratonie najlepsi czarnoskórzy sportowcy biegają wciąż w granicach rekordu świata, a jeśli nawet go nie biją, to są blisko. To rodzi nieufność. Trudno uwierzyć, że zawdzięczają sukcesy wyłącznie talentowi. Dziwne, że Światowa Agencja Antydotyngowa tak rzadko jeździ do Kenii i nie stara się sprawdzić tego fenomenu.

W Europie kontrole mamy często. Nikt nam nie odpuszcza. Martwi mnie, że coraz więcej europejskich państw naturalizuje Afrykańczyków, by walczyli w mistrzostwach Starego Kontynentu. To nie fair. To tak jak zatrudnienie najemników, by za kogoś wygrali wojnę. Jest jeszcze sprawa rosnącej nudy w biegach opanowanych przez liczne grupy biegaczy z Kenii lub Etiopii. Może więc ktoś zauważy wreszcie ten problem.

Biega pan dwa-trzy razy w roku. Reszta to ciężkie przygotowania. Jak pracuje pan nad psychiką?

Można oczywiście wykonywać treningi mentalne, ale w moim przypadku

najlepszym przygotowaniem stała się sama walka na trasie. Moim zdaniem tylko wtedy da się wymusić na organizmie zgodę na zmęczenie: cierpi, ale się nie poddaje.

Każdy ból jest wtedy do zniesienia?

Mój organizm świetnie wyczuwa, kiedy zbliża się start w maratonie. Wie, że dostanie łomot, i nawet próbuje się przed tym bronić. Całkiem sprytnie to robi, chce, by do biegu nie doszło. Mój fizjoterapeuta twierdzi nawet, że to rodzaj seryjnego dreszczowca, bo zawsze zaczynam mieć wtedy jakieś stany zapalne i przykurcze. Część tych dolegliwości związana jest z wykonaną pracą, wielkim zmęczeniem, po którym puszczają zawory bezpieczeństwa. Ale ciało też wie swoje i czuje, że zbliża się moment końcowego wysiłku.

nie stresują pana dość rzadkie, ale głośne przypadki śmierci maratończyków?

Maraton to potężne przeciążenie i wyciąga z człowieka najmniejsze słabości, zwłaszcza gdy coś jest nie tak

z sercem. To jest wpisane w ryzyko zawodowe. Gdy biega się na wysokim poziomie, to przy takich dużych obrotach może się przydarzyć coś złego. Powtarzam sobie jednak, że przecież równie dobrze może mnie potraścić samochód na pasach.

Będzie pan biegał do późnej starości?

Na razie raczej odkładam myślenie o przyszłości, nie chcę męczyć psychiki. W końcu mam dobry zawód, stałą pracę, etat w wojsku, sponsora. Moja kariera wygląda teraz całkiem dobrze. Ale wiem, że gdy pewnego dnia powiem stop, to będzie to definitywny koniec. Nie będę niczego przeciągał. Jeśli gdzieś pobiegnę, to tylko dla zabawy, truchtem. Nie jestem fanatykiem biegania. Może kupię sobie dobry rower, będę jeździć po górach i cieszyć się nowym fajnym sportem. Muszę uwzględnić twardy fakt – jak pobiegam jeszcze kilka lat, to mój wyeksploatowany organizm będzie miał dość. Bieganie to dla mnie tylko sport, fragment życia, po którym nastąpi inny ciąg dalszy.



ADRIAN DENNIS/AFP

Nie tylko z Maratonu do Aten



Spartathlon. Prowadzi z Aten do Sparty. Górzysty teren, upał, dystans 246 km i limit czasu – 36 godzin... Startować może każdy, pod warunkiem że spełnia jeden z kilku wyśrubowanych warunków. Wśród nich: wcześniejsze ukończenie biegu na 100 km w czasie krótszym niż 10,5 godz. Rekord Spartathlonu należy do Greka Yiannisa Kourasa (20 godzin i 25 minut).



Badwater. Odbywa się w Stanach Zjednoczonych i liczy 217 km. Limit czasu to 48 godzin, jednak trasa, którą pokonują zawodnicy, jest niewyobrażalnie trudna. Bieg zaczyna się w Dolinie Śmierci 85 metrów pod poziomem morza, a kończy na górze Mt. Whitney 2,5 tys. m n.p.m. Śmiałkowicie muszą pokonać trzy wzgórza. Nie ułatwia im tego temperatura, która latem przekracza czasem 50 st. C.

Maraton des Sables. Słynny Maraton Piasków w południowym Maroku to właściwie marszobieg. Trwa siedem dni. Zawodnicy mają do pokonania ponad 230 km po pustyni. Wyścig podzielony jest na kilka etapów. Jeden o długości około 80 km trwa nieprzerwanie przez dwa dni. Uczestnicy niosą ze sobą cały sprzęt, ubrania i jedzenie. Śpią w berberyjskich namiotach. Mimo zaplecza medycznego i 9 litrów wody



pitnej na każdym odcinku trasy zdarzały się już ofiary śmiertelne. Jednak nie zraża to kolejnych uczestników. Podobnie jak fakt, że wpisowe sięga tu 5 tys. dol.

Maraton na biegunie północnym. Historia tego mroźnego maratonu (w tym przypadku równo 42 km i 195 m) nie jest długa. W 2002 r. wziął w nim udział tylko jeden zawodnik. W tym roku było to już kilkaset osób, których nie odstraszyły ani wszechogarniające lodowce, ani mróz sięgający minus 23 stopni.

Maraton du Medoc. Biegacze w strojach sportowych są tu w mniejszości i od razu rzucają się w oczy. Bo im bardziej pomysłowe i kolorowe przebranie, tym lepiej. Na punktach pojenia obok wody jest też czerwone wino, a dla zgłodniałych – pomarańcze, czekolada, francuskie sery, suszone mięso, a nawet ostrygi... Trasa ponad 42 km



prowadzi wśród francuskich winnic. Każda kusi zawodników sutyłym poczęstunkiem. Nic dziwnego, że w pewnym momencie część sportowców przestawia się na marsz. A na mecie atmosfera przypomina... huczne wesele.

Ultraman. Ekstremalna wersja triathlonu rozgrywana na Hawajach. Trwa trzy dni. Pierwszego dnia do zaliczenia jest 10-kilometrowy, pływacki wyścig w oceanie i 145-kilometrowy rowerowy odcinek górski. Drugi dzień to również trasa rowerowa, tym razem na dystansie 276 km. Trzeciego dnia ci, którzy jeszcze nie odpadli, startują w morderczym podwójnym maratonie. A to oznacza, bagatela, 84-kilometrową trasę.

Bieg rzeźnika. Dla bezpieczeństwa zawodników biorą w nim udział wyłącznie dwuosobowe drużyny, każda musi mieć przy sobie sprawny telefon. Pod groźbą

dyskwalifikacji zawodnicy nie mogą się rozdzielać. Około 80-kilometrowa trasa wiedzie bieszczadzkim czerwonym szlakiem z Komańczy przez Cisną, góry Jasło i Fereczata, Smerek oraz połoniny do Ustrzyk Górnych. Limit czasu wynosi 16 godzin.

Bieg wygasłych wulkanów. Trasa prowadzi po terenach zalewu złotoryjskiego. Główny dystans (poprzedzony biegiem eliminacyjnym) to „zaledwie” 13–14 km. To może być dość mylące, bo zawodnicy muszą przeprawić się przez błoto, rowy melioracyjne, trzęsawisko, dno jeziora, przeszkody sztuczne i naturalne. Do tego dochodzą wyjątkowo strome podbiegi.

Bieg w Bochni. Rywalizacja w tym 12-godzinny biegu sztafetowym odbywa się 212 m pod ziemią. Trasa

prowadzi zabytkowymi wyrobiskami bocheńskiej kopalni soli. Biorą w nim udział zarówno profesjonalni biegacze, jak i amatorzy biegów masowych. Nie tylko z Polski, lecz także kilku krajów Europy.

Bieg morskigo komandosa. Trasa biegu liczy około 20 km i, jak zapewniają organizatorzy, jest mocno urozmaicona. Odcinek terenowy z przeszkodami to 15 km. Dystans po plaży – 2 km. Do tego dochodzi 600 m wplaw wodami Bałtyku i przeprawa przez koryta rzeczne, błota i bagna. Organizatorzy wymagają od zawodników odpowiedniego stroju: munduru i butów ponad kostkę. Zapewniają natomiast balast (5 kg) i atrapę ćwiczebną karabinka AK 47. Bo aby nie było zbyt lekko, biegnie się z obciążeniem.



JACEK BEDNARZYK/PAP



JACEK BEDNARZYK/PAP

Biegnie, choć obok niej ludzie zwalniają i zaciekle walczą. O każdy krok, każdy oddech. Boi się, że za chwilę ją to spotka. Słyszna ściana na 30 kilometrów maratonu. Ale biegnie dalej. Coraz bliżej, bliżej. W końcu jest. Meta... – Tak właśnie było. Dlatego swoje życie podzieliłam na etapy. Przed i po maratonie – mówi Joanna Kniat. Delikatna i niepozorna. Pierwszy maraton w Poznaniu „zaliczyła” w niecałe cztery godziny.

Na poważnie biega od stycznia zeszłego roku. To było noworoczne postanowienie. Uznała, że tym razem dotrzyma słowa. Na siłowni poznała grupę

– Tak, chce mi się, zawsze. Gdy sobie coś postanowię, oddaję się temu całkowicie – uprzedza wszystkie wątpliwości. Dziś nie potrafi już sobie wyobrazić innego życia i nawet nie chce o tym myśleć. Raz miała tylko naciągniętą pachwinę. Wyłączyło ją to z biegania na dwa tygodnie. I problemy z piszczelami – wtedy przez dwa miesiące musiała się oszczędzać.

Podczas ostatniego warszawskiego półmaratonu była pacemakerem. Prowadziła ludzi na 2 godziny i 10 minut. Chciała się sprawdzić, zrobić coś dla innych. To była olbrzymia odpowiedzialność. I stres! – Bo pacemakerom zwykle dostaje się po wszystkich najmocniej. Że

Teraz też długo się zastanawia. – Chyba tak, choć nie lubię tego słowa. Zamiast tego mówię, że Kocham biegać – starannie waży słowa.

Na początku chciał spróbować czegoś nowego. Spodobało się. Potem już nie wyobrażał sobie tygodnia bez treningu. Gdy miał kilka dni przerwy, czuł nogi. Dawady o sobie znać. Nie był to ból, ale takie dziwne, nieprzyjemne uczucie.

Najlepsze w bieganiu jest poczucie wolności i swobody. – To takie proste. Zakładasz buty, wychodzisz i musisz zmierzyć się sam ze sobą – mówi. Ma zasadę: robi lepszy trening, gdy potrze-

Piotr Stanek robi lepszy trening, gdy chce coś przemyśleć, i mocniejszy, by o czymś zapamiętać.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. – Oj, tak. Mam kilka celów na ten rok – mówi. I zaczyna wyliczać: – Zejść poniżej 40 minut na 10 km (brakuje mi niecałej minuty). Poprawić się w półmaratonach. Przebiec następne maratony. Najbliższy jest w czerwcu, w Lublinie, potem na jesieni...

No i kolejne wyzwania. Kręcą go biegi górskie i triathlon. W tym drugim przypadku jest jedno drobne „ale”. Najpierw musi dobrze nauczyć się pływać.

Wśród rycerzy Jedi

– Chodzi o to, by się sprawdzić, doprowadzić do granic możliwości. Najprzyjemniej jest, gdy człowiek znajdzie się na skraju – mówi Przemek Wojtasik. I wspomina, że raz na Ironmanie we Frankfurcie było mu ciężko. Najpierw ulewa, potem słońce, a ostatnie kilometry – nawałnica. Albo podczas maratonu w Toruniu, w Boże Ciało, gdy żar lał się z nieba, a na trasie brakowało wody...

– W takich sytuacjach myślisz bardzo mechanicznie. A czasem biegiesz na urwanym filmie. Niektórzy zupełnie odjeżdżają. Na mecie padają nieprzytomni – opowiada. Jemu to się nie zdarzyło. – Gdy ktoś szykuje się do Ironmana, nie wymięka po drodze. Znajomy złamał na trasie obojczyk i... ukończył bieg z niezłym wynikiem. Na tym dystansie nie ma już spontanicznych startów, przypadkowych zawodników. Karetki nie zbierają biegaczy z trasy. Za to lekarze mają więcej pracy na mecie. Sprawdzają reakcję organizmu, mierzą ciśnienie, poziom cukru.

Przemek biega od 10 lat. Początkowo nie prowadził notatek, ale od dłuższego czasu ma dzienniczek treningowy. Codziennie notuje, ile przebiegł, w jakim czasie. Potem robi podsumowania tygodnia, miesiąca. Przed poważnymi zawodami współpracuje ze znajomymi, którzy pomagają mu w treningach. Ale zwykle sam sobie jest trenerem. Bardzo wymagającym i zasadniczym. W końcu przed nim kolejne wyzwanie: w sierpniu jedzie do Szwecji na czwartego w jego życiu Ironmana. Wie, co go czeka: 3,8 km wpływ, 180 km na rowerze i na dobi-

PAULINA NOWOSIELSKA

Moc jest z nami

Jest takie uczucie, które dopada człowieka gdzieś między 5 a 5.15 rano. I jeśli szybko coś z nim nie zrobisz, to rozsadzi cię od środka. To uczucie nie odpuszcza nawet wtedy, gdy jesteś na urlopie z rodziną. Całujesz dziecko w policzek: śpij, Kochanie, mamusia musi **iść pobiegać**. Moc jest ze mną. Na szczęście są też inni wrażliwi na moc. Cała masa innych. Łączy ich to uczucie. A różni wyłącznie stopień, w jakim mu ulegli.

ludzi, którzy już biegali. – Ustawiliśmy się w każdą sobotę o ósmej rano. Nikt nie patrzył na termometr – wspomina.

Zawsze biegnie na maksa. Nigdy nie odpuszcza. Jej plany na przyszłość? Łamanie życiówek.

Ma napięty kalendarz, a w nim rozpisane wszystkie imprezy biegowe w kraju. – Atmosfera, ludzie, doping. To mnie nakręca – tłumaczy. Jej znajomi, cóż... Nie mają łatwego życia. Bo jeśli organizują spotkanie, to najpierw muszą sprawdzić, czy Asia akurat w tym czasie nie biegnie.

Od 8 do 16 pracuje. Siedzi za biurkiem w prywatnej firmie, w dziale handlowym. Potem wraca do domu, zamienia pantofle na trampki i rusza w trasę.

zrywali tempo, że biegli nierówno – opowiada. Ona widziała, że ludzie koło niej wymiękają. Postanowiła, że będzie mówić im to, co sama chciałaby usłyszeć: „Dalej! Dasz radę, jesteś świetny!”.

Drugi stopień wtajemniczenia

Piotr Stanek też ma za sobą doświadczenie z prowadzeniem grupy, ale woli być indywidualnym pacemakerem. Już raz pomógł znajomemu pobiec maraton, niedługo na pewno znów razem wyruszą. Widzi siebie kiedyś w roli trenera? – Dopiero swoją życiową ścieżkę określłam – mówi tajemniczo.

Czy jest uzależniony od biegania? To pytanie zadawał już sobie kilka razy.

buje coś przemyśleć, poukładać sobie w głowie. I mocniejszy, by o czymś zapamiętać. Wtedy nie ma przebaczenia.

Gdy pierwszy raz zrobił rundę wokół stadionu, był z siebie bardzo dumny. – Wtedy dla mnie to było coś – wspomina. I tak już od trzech lat. W tym czasie skończył trzy maratony i kilkanaście półmaratonów.

Ma napięty grafik, lubi zawody, bo motywują go do treningu. W zeszłym roku zaliczył 20 imprez. – To były wspaniałe czasy – mówi.

Dbą o to, by mieć trzy – cztery treningi w tygodniu. Głównie po południu i wieczorem. Znajomi? Są, ale tacy, co też biegają.





Przemek Wojtasik biegając chce się sprawdzać, doprowadzać do granic możliwości. Lubi być na skraju wytrzymałości.

wypadek schowałem do kieszeni silne środki przeciwbólowe. Niby miałem przerwać, jak ból stanie się nie do zniesienia. Ale ta nieracjonalna część mojej natury kazała mi mieć w zapasie tabletki. W końcu ich nie wziąłem. Bo zaciągnąłem zęby – wspomina.

Nagle w jego życiu nastąpił taki moment, gdy bieganie przestało być po prostu najtańszym i najprostszym sportem, który wymaga tylko dyscypliny i pary wygodnych butów. Bo wpisać na dobrą polską imprezę to około 100 zł. Nie wspominając już o światowych licencjonowanych zawodach, za które trzeba zapłacić nawet 1,8 tys. zł. Czasem z rocznym wyprzedzeniem.

Ciemna strona mocy

Żeby się przygotować do sezonu, Marcin Chabowski wyłożył oszczędności. Pojechał najpierw do Włoch, potem do USA. Postawił wszystko na jedną kartę – maraton w Londynie. Zainwestował przynajmniej 20 tys. zł. Bez szans na zysk. – Jeśli pobiegę dobrze, to co najwyżej wyjdę na zero. A jak się trafi kontuzja... O tym wolę nie myśleć – mówi.

Dobrze pobiec to w przypadku Marcina oznacza złamać swoją życiówkę – 2 godziny i 10 minut. W Polsce udało się to tylko czterem zawodnikom. Marcin jest więc w krajowej czołówce.

Kto nie ma odwagi do marzeń, nie będzie miał siły do walki. To wpis z jego strony internetowej. – Chodzi o to, że nie można się poddać – tłumaczy. I rzeczywiście, w jego życiu wola walki to podstawa.

Biega i żyje z biegania. Skończył politologię w Gdańsku i stosunki międzynarodowe – w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej. W planach miał doktorat. Ale biegał coraz lepiej i szybciej. Żołnierzem zawodowym został po studiach. Podpisał kontrakt. – Wielu dobrych polskich sportowców tak robi, bo cywilne kluby są często w fatalnym stanie. Dlatego to jedyna droga. Jestem zobowiązany reprezentować Wojsko Polskie na imprezach i olimpiadach wojskowych. Mam robić wyniki. W zamian mam za co żyć – mówi krótko.

Jest w nim sporo żalu, choć nie chce wyjść na kogoś, kto tylko narzeka. Jednak swojej teorii trzyma się twardo. Jego zdaniem cała elita polskiego maratonu, łącznie z nim, to półprofesjoniści. Do profesjonalizmu brakuje... kasy. Gdyby było więcej pieniędzy, na treningi wysokogórskie, masaże, współpracę z psychologiem sportowym, odnowę, przełożyłoby się to na wyniki.

Przykład? 10 – 15 lat temu biegi długodystansowe były w Stanach Zjednoczonych na podobnym poziomie co w Polsce. Wprowadzono tam jednak program sponsorski dla najlepszych biegaczy. I są tego efekty – minutę lepszy rezultat na dystansie 10 tys. metrów.

W zeszłym roku zrobił minimum olimpijskie. Miał szósty wynik w Europie. Jednak Polski Związek Lekkiej Atletyki nie zapalał chęcią, by go szkolić. Dlaczego? Dlatego że zawodnicy z Europy nie są dziś w stanie zdobywać dostatecznej liczby medali. – Żeby to się udało, trzeba biegać na poziomie 2:08 – 2:07. Dotąd tylko jednemu polskiemu zawodnikowi udało się złamać barierę 2:08. To był Henryk Szost – mówi. I zaraz tłumaczy, że zmieniły się czasy. Gdy na rynku nie było tylu Afrykańczyków, wynik na poziomie 2:10 był bardzo do-

bry i można było na nim zarobić. – Ale w XXI w. na naszych oczach rozkręciło się coś na miarę współczesnego niewolnictwa. Menedżerowie wyszukują masowo zawodników z Afryki, trzymają ich skoszarowanych w grupach, gdzie tylko niektórzy wytrzymują ostry reżim treningowy. Wśród tych setek osób trafia się talent, który biega potem na poziomie 2:04. Za pierwsze miejsce na największej imprezie w Londynie, Nowym Jorku czy Berlinie dostaje ponad 200 tys. dol. Po jakimś czasie zaczyna się polowanie na kolejnego zawodnika – mówi.

Skoro nie można przeskoczyć własnej fizjologii, to czy takie bieganie w ogóle ma sens? – A jeśli ktoś biega od 10 lat i nie ma żadnego innego stażu pracy, to co ma robić? – Marcin odpowiada pytaniem na pytanie. – Czasem czuję, że to jak zły nawyk. Jak alkoholizm. Wiem, że szanse na wygranie igrzysk olimpijskich czy największych na świecie maratonów są znikome, ale nie mogę się powstrzymać. To takie zamknięte koło.

Przynajmniej dopóki nie pojawi się... Nowa Nadzieja. 📧

Joanna Kniat podzieliła swoje życie na etapy: przed i po maratonie. Na poważnie startuje od stycznia ub. roku. Pracuje w dziale handlowym.



BARTOSZ JANKOWSKI

cie – maraton. Wskakujesz z wody, wsiadasz na rower, potem z roweru i biegniesz. Liczy się nawet to, jak szybko rozbierzesz się z pianki pływakiej. – I zwykle to idzie mi najgorzej, bo mocno przylega do ciała. Do tego stopy są zapiaszczone, a dłonie tak zmęczone, że czasem nie chcą współpracować – mówi. Jego życiówka? We Frankfurcie miał 12 godzin 58 minut. Wynik średni, ale honorowy. Rekordziści schodzą poniżej 8 godzin.

Przemek ma rodzinę. Żonę, 11-letniego syna i pracę, w której musi być codziennie. Trening załatwia wczesnym rankiem. Z reguły to mu się udaje. Wsta-

je po 5 rano. Idzie biegać albo na basen, albo przyjeżdża do pracy na rowerze. Ma specjalną dłuższą trasę. W weekendy nadrabia zaległości. Podobnie podczas urlopów. – Urywam się, by ostrzej potrenować, ale staram się dopasowywać do innych. I czasem się udaje – zastrzega. Przykład? – Syn wsiada na rower, ja biegę obok.

Ma 40 lat i jak na razie poprawia wyniki. Ale w pewnym momencie to się zatrzyma. Wiadomo, czysta biologia. Ma tego pełną świadomość, dlatego łapczywie chwyta każdą chwilę. – Czasem człowiek bywa głupi. Pierwszego Ironmana robiłem z kontuzją. Na wszelki

REKLAMA

Osrodek Karta

HISTORIA JEST W KAŻDYM Z NAS

Pomóż nam ratować zagrożone archiwa. Wesprzyj projekt interwencji archiwalnych, przekazując **1% swojego podatku.**

Projekt realizuje FUNDACJA OŚRODKA KARTA

KRS 0000119146



ANNA WITTENBERG

Sacrum zamiast spa

Najbardziej zestresowanym i zabieganym z nas zwykły urlop już nie pomaga, dlatego coraz częściej szukamy ciszy i spokoju w klasztorze.

MICHAŁ LEPECKI/AGENCJA GAZETA

Zamiast antydepresantów neurolog zalecił Markowi klasztorne wakacje. Uznał, że tabletki nie pomogą ani na nienapisaną pracę magisterską (którą wreszcie, po latach, trzeba skończyć, bo za chwilę upłynie okres ważności absolutorium), ani utratę spokojnej, nieźle płatnej pracy, ani tym bardziej na dziesiątki zadań, których ni jak nie można zmieścić w kalendarzu. Gdyby wypisywał receptę, znalazłyby się na niej: spokój, cisza, regularne posiłki i odpoczynek od technologii. Czyli wszystko, co powinien aplikować sobie

przynajmniej raz na jakiś czas każdy przemęczony 28-latek.

Pomysł neurologa, pod opieką którego jest Marek, to żadna nowość. Dwie dekady temu spokoju i harmonii szukano w wyprawach do tybetańskich klasztorów. Daleka podróż i zamknięcie z mnichami miały być cudownym remedium na problemy zagubionego mieszkańca Zachodu. Odległość, egzotyka i opowieści tych, którzy wracali z wielotygodniowych medytacji, dodatkowo rozbudzały wyobraźnię. Na początku nowego tysiąclecia kosztowne

Klasztor Benedyktynów w Tyńcu chętnie przyjmuje zmęczone czy wypalone dusze. Można tu się zregenerować i zachwycić pięknem otaczającej przyrody.

podróże powoli przestały być potrzebne, bo spokój Dalekiego Wschodu można było znaleźć w każdej szkole jogi i oferowanych przez nie specjalnych ofertach wakacyjnych, które w pakiecie miały i medytację, i ćwiczenia, i zdrową dietę. A dodatkowo pokój w ładnym pensjonacie.

Dziś jednak joga spowszedniała, stała się kolejnym zajęciem wpisywanym do kalendarza, elementem świata, od którego tak bardzo chcemy odpocząć. Następne pokolenie zestresowanych szuka więc nowego sposobu

na odreagowanie. Prawdziwym hitem stają się ostatnio wakacje w rodzimym klasztorze. Organizuje je coraz więcej zakonów i, co ważne, stylu życia prawdziwego mnicha mogą zakosztować także niewierzący.

Coaching w klasztorze

– Mamy 89 miejsc. W weekendy jest zwykle pełne obłożenie: przyjeżdżają single, rodziny z dziećmi, księża. Ruch jest na tyle duży, że ludziom, którzy szukają przede wszystkim spokoju, radzimy, by wybrali jednak kilka dni

w tygodniu – mówi Agnieszka Szumiec, kierowniczka domu dla gości Opactwa Benedyktynów w Tyńcu. Jak dodaje, zdarza się, że do klasztoru wysyłają pracowników ich szefowie. – Jeśli widzą, że poziom stresu za bardzo się podnosi.

Co oferuje gościom klasztor? Nie zawiodą się ci, którzy szukają po prostu modlitwy. W opactwie można brać udział we wspólnej z braćmi mszy i uczestniczyć w rekolekcjach, a nawet – choć to opcja jedynie dla mężczyzn – raczyć się wspólnymi posiłkami w refektarzu. Ale to tylko wierzchołek góry

W pokojach gościnnych tyńskiego klasztoru nie ma mowy o luksusach. Tu liczy się przede wszystkim spokój ducha. W jego osiągnięciu pomogą warsztaty i spotkania z couchami.

lodowej, bo kalendarz benedyktyńskiego klasztoru jest niemal dokładnie wypełniony organizowanymi w nim warsztatami. W lipcu mnisi zapraszali na „warsztaty przetrwania zawodowego”, czyli niemal regularną sesję coachingową dla tych, którzy „czują, że dali się wciągnąć w wyścig szczurów, a ich praca straciła sens”. W styczniu można było przyjechać na „warsztaty antydepresyjne”, podczas których prowadzone były grupowe sesje z psychologiem pracującym między innymi metodą Jacobsona (techniką relaksacyjną związaną z napięciem i rozluźnianiem poszczególnych partii mięśni). Dla osób, które potrzebują jeszcze głębszego relaksu, mnisi oferują nawet tygodniowe warsztaty skryptygraficzne, podczas których studiuje się średnio-wieczne księgi, próbuje powtarzać stylizowane pismo i przerysowuje ikony.

Do Tyńca mogą przyjechać jednak nie tylko zestresowani pracownicy, ale także ambitni szefowie. Mnisi prowadzą „Benedyktyński program zarządzania”, w ramach którego można wziąć udział w weekendowych zajęciach „duchowość lidera”, „skuteczne przywództwo”, a także poznać „benedyktyńskie standardy zarządzania”. Szczególnie te ostatnie zajęcia mogą być interesujące. Wystarczy policzyć, jak bardzo zarządzanie domem gości opłaca się samemu opactwu. Udział w warsztatach to od 250 do 450 zł plus opłaty za noclegi i wyżywienie, które w domu gości zaczynają się od 80 zł za dobę. Do tego benedyktyni z Tyńca wynajmują pomieszczenia na biznesowe spotkania i konferencje.

Podobny program oferuje Pustelnia Złotego Lasu w Rytwianach (woj. świętokrzyskie), czyli dawny klasztor kamiedulski. Mnisi zostali wygnani z Rytwian na mocy carskiej ustawy o zniesieniu klasztorów z 1820 r. Pozostawione przez nich budynki zmieniały od tego czasu i funkcje, i właścicieli. Od 2001 r. działa tam Stowarzyszenie Miłośników Pustelni Złotego Lasu, którego głównym celem jest restauracja klasztoru. Obecni zarządcy Rytwian uruchomili specjalny program „SpeS”, od Salus per Silentium, czyli zdrowie przez ciszę



MICHAŁ LEPECKI/AGENCJA GAZETA



MICHAŁ LEPECKI/AGENCJA GAZETA

(w odróżnieniu od SpA – zdrowie przez wodę). Pomoc kuracjom ma dwukilometrowy pierścień lasu, który otacza pustelnię, i jeden z trzech turnusów: terapeutyczny, odchudzający i pustelniczy. Gość może przejść na kamedulską bezmięsną dietę, zamieszkać w niewielkim pustelniczym domku. A później pójść na masaż relaksacyjny, drenaż limfatyczny, masaż gorącymi kamieniami czy na siłownię. Żadnego przymusu jednak nie ma. Gość, zamiast licznych zajęć, może wybrać po prostu spacer z kijami do nordic walking, jeździć na wypożyczonym z klasztornych zasobów rowerze albo czytać książki.

Wstęp z glejtem

Żeby przyjechać do Tyńca czy do Rytwian, nie trzeba spełniać żadnych warunków. Wystarczy zarezerwować termin (największe obłożenie jest od kwietnia do października). Są jednak klasztory, w których zgłoszenie pobytu to tylko pierwszy krok. Później trzeba jeszcze przejść przez etap rekrutacji. Tak jak u kamedulek ze Złoczewa, w jedynym żeńskim zakonie, który otwiera swoje bramy dla gości. Aby przez nie przejść, trzeba przyjechać z listem polecającym od proboszcza i odbyć rozmowę z przełożoną. Podobnie jest u kamedulów na krakowskich Bielanych.

– Kiedy jechałem do zakonu pierwszy raz, musiałem mieć list, a na wejściu krótko porozmawiać z furtianem – mówi Marek. Jego zdaniem warto jednak się postarać, bo w zamian można uczestniczyć w życiu zakonników tak, jakby się było jednym z nich: pobudka o 3.30, później czytanie Biblii, modlitwy i msza. A po śniadaniu wykonywanie prostych prac dla wspólnoty. – Latem pomagałem w ogrodzie podlewać rośliny, grabić liście i skoszoną trawę. Zimą nosiłem drewno, zbierałem gałęzie, przebierałem jabłka. Inny gość naprawiał w tym czasie z jednym z braci klasztorny traktor – opowiada.

Wstępując na kilka dni w szeregi mnichów, trzeba jednak pogodzić się z ich stylem życia, czyli ciasną celą, koniecznością chodzenia na modlitwy, przestrzeganiem wielu reguł. – Przede

wszystkim trzeba uszanować ich zwyczaj i milczenie. Kameduli nie rozmawiają ze sobą, jeśli nie ma wyraźnej potrzeby, więc większość czasu spędza się w ciszy – mówi Marek i przekonuje, że dzięki temu podczas kilkudniowego pobytu na Bielanych uspokoja się i wycisza.

Nie dziwi to Marii Ewy Boguckiej. Psycholog stresu jest zdania, że wystarczy przeanalizować, dlaczego tak wielu z nas się denerwuje, by uznać, że klasztor jest naprawdę dobrym rozwiązaniem.

– Z moich obserwacji wynika, że często stresuje nas duża liczba zadań

podstawowym poziomie – snu i pożywienia. Czy na co dzień mamy czas na przerwę w ciągu dnia? Na regularne posiłki? Wiele osób je w pośpiechu i byle co. A odporność na stres zaczyna się właśnie od takiego zadbania o siebie.

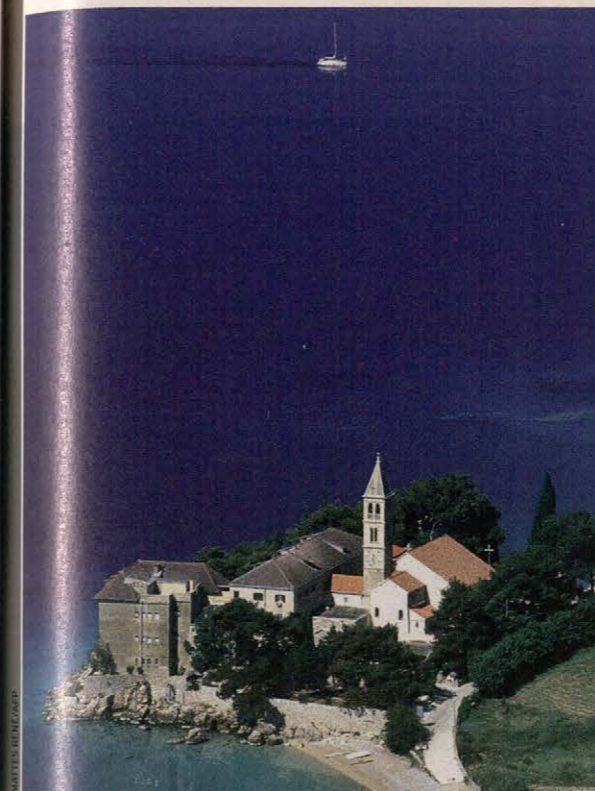
Celebryci za klasztornym murem

O wyciszającym wpływie klasztoru przekonał się Aleksandr Jemieljanenko, do niedawna zawodnik MMA występujący w rosyjskiej federacji M-1 Global. Po incydentach alkoholowych stracił kontrakt i podjął decyzję o zawieszeniu kariery. Swoich fanów na Facebooku poinformował, że wyjeżdża do Grecji, gdzie spróbuje się wyciszyć w towarzystwie mnichów z Góry Athos. Mają pomóc mu wrócić do równowagi i zdecydować o przyszłości. Na zdjęciach publikowanych między innymi przez jego brata widać, jak ważący grubo ponad sto kilogramów zawodnik wałkuje ciasto i piecze chleb, a później wyciąga na linie ogromne głazy z placu budowy nowych zabudowań klasztornych.

Za klasztornym murem spokoju szukał także dziennikarz Peter Seewald. Przez kilkanaście lat pracował dla największych, najbardziej poczytnych niemieckich tytułów: „Der Spiegel” oraz „Süddeutsche Zeitung”. Stres, przemęczenie i wypalenie zawodowe sprawiły jednak, że pożegnał się z prestiżowymi tytułami i wyjechał na Monte Cassino, gdzie od wieków stoi benedyktyński klasztor. Dziennikarz spędził tam kilka miesięcy, towarzysząc mnichom w codziennych modlitwach i pracy, a po powrocie do domu napisał książkę „Szkoła mnichów”. Powrócił też do pisania dla niemieckich tytułów. Tym razem już jako współpracownik.

W klasztorze szukał spokoju ponoć także skompromitowany prezydent Niemiec Christian Wulff. Po tym, jak wyszły na jaw jego niejasne interesy ze światem biznesu, a wokół jego postaci wybuchła ogromna afera, polityk zrezygnował z urzędu i wyjechał do jednego z zakonów. Odpoczynek przerwał tylko na oficjalne pożegnanie.

Mnisi oferujący klasztorne wypoczynek przyznają, że i w Polsce w klasztor-



Klasztor dominikański w Chorwacji położony jest na malowniczej wyspie Brač. W takim miejscu jak to nie sposób się zamartwiać.

Klasztor na górze Sainte-Odile. Tutaj ciągną pielgrzymi i niespokojne dusze z całej Europy.

nych murach można spotkać znanych polityków, dziennikarzy czy aktorów. Nie chcą jednak mówić o nazwiskach. Celebryci szanują śluby milczenia mnichów, ale też liczą na dyskrecję z ich strony.

Kiedy urlop stresuje

Czy kilka dni spędzonych w klasztorze to wystarczający odpoczynek? Psycholog stresu przyznaje, że to zbyt krótko, żeby zupełnie wrócić do równowagi. Zwykle potrzeba na to około trzech tygodni ciągłego urlopu. Ale zdaniem Ewy Marii Boguckiej i tak warto spróbować. Zwłaszcza że tradycyjny urlop coraz rzadziej przynosi ulgę.

Dla wielu osób już sam wyjazd na wakacje jest stresujący, bo wymaga zmiany zachowania, zaplanowania działania, znalezienia opieki do zwiezrząt, kwiatów, mieszkania – mówi psycholog i dodaje, że dodatkowo coraz więcej osób po prostu nie umie wypocząć w kurorcie. – Osoby, które na co dzień mają do przetworzenia wiele informacji, zadań, spotkań z nowymi osobami, klientami, nie odpoczną, bo w zasadzie nic nie zmieniły – ich organizm dalej musi radzić sobie z podobnymi stresorami, które zna z codzienności

– ocenia psycholog i dodaje: – Klasztorne warunki są idealne dla tych, którzy potrzebują czasu dla siebie, zatrzymania się w biegu. Dodajmy do tego jeszcze specyfikę klasztoru, czyli duchowość. Są osoby, dla których przemyślenia, nauka ojców stają się inspiracją do działań i rozwiązywania problemów w życiu zawodowym czy osobistym.

Działają już firmy, które w organizowaniu klasztornej turystyki znalazły swoją niszę i oferują wyjazdy do najpiękniejszych klasztorów Europy. Tak jak niemiecka firma Klosterreisen, która zaczynała od wycieczek do buddyjskich świątyni, a później dołączyła do oferty także zgromadzenia katolickie i prawosławne.

Część z nich, jak bułgarski klasztor Sokolski, oferuje gościom tylko kilka niewielkich pokojów. Inne, jak znajdujący się blisko polsko-niemieckiej granicy cysterski klasztor Marienthal, mają wręcz własne hotele.

Wyjechać można także w miejsca, które kojarzą się z tradycyjnymi wakacjami. Jeden z dominikańskich klasztorów znajduje się na chorwackiej wyspie Brač. Za blisko 350 euro tygodniowo mnisi oferują zakwaterowanie w pokojach, także z widokiem na morze, oraz

wyżywienie, czyli pyszną chorwacką kuchnię. Gości przyjmuje również kilka klasztorów na Majorce, Malcie, we Włoszech, choć niektóre już dawno zatraciły swój religijny charakter. Ale nikt przecież nie powiedział, że wypoczynek w klasztorze nie może mieć czegoś wspólnego z urlopem w atrakcyjnym miejscu. ☞

Autorka jest dziennikarką naTemat.pl

Pustelnie za granicą

→ **Dom oo. jezuitów - Malta** (www.retreat-holidays.co.uk/gozomanresa.htm) To dom modlitwy, ale nikt nie będzie tam zmuszał do praktyk. Raczej skromne, ale schludne pokoje.

→ **Klasztor na górze Sainte-Odile - Francja** (www.mont-sainte-odile.com) Regularny hotel na szczycie klasztornej wzgórza. Piękne widoki gwarantowane. To punkt pielgrzymek z całej Alzacji.

→ **Domus Sessoriana - Włochy** (www.domussessoriana.it) Hotel znajdujący się w dawnych zabudowaniach klasztornych. Nie ma tam mnichów, ale klimat pozostał (uzupełniony o wysoki standard pokoi).

→ **Klasztor dominikański - Chorwacja** (bol-croatia.net/monastery.html) Położony na pięknej wyspie Brač. Jest świetną bazą wypadową na wycieczki i plaże.

Gdzie wyciszyć się w Polsce

→ **Klasztor Benedyktynów w Tyńcu** (www.benedyktyni.eu). Mogą przyjeżdżać niewierzący i całe rodziny. W klasztorze prowadzonych jest wiele warsztatów.

→ **Pustelnia Złotego Lasu w Rytwianach** (www.pustelnia.com.pl). Kościół pokamedulski zarządzany przez stowarzyszenie. Można wziąć udział m.in. w warsztatach antydepresyjnych.

→ **Stoczek Klasztor** (<http://www.stoczek.pl>) Można zorganizować tu łowienie ryb, ogniska, a nawet plenery malarskie.

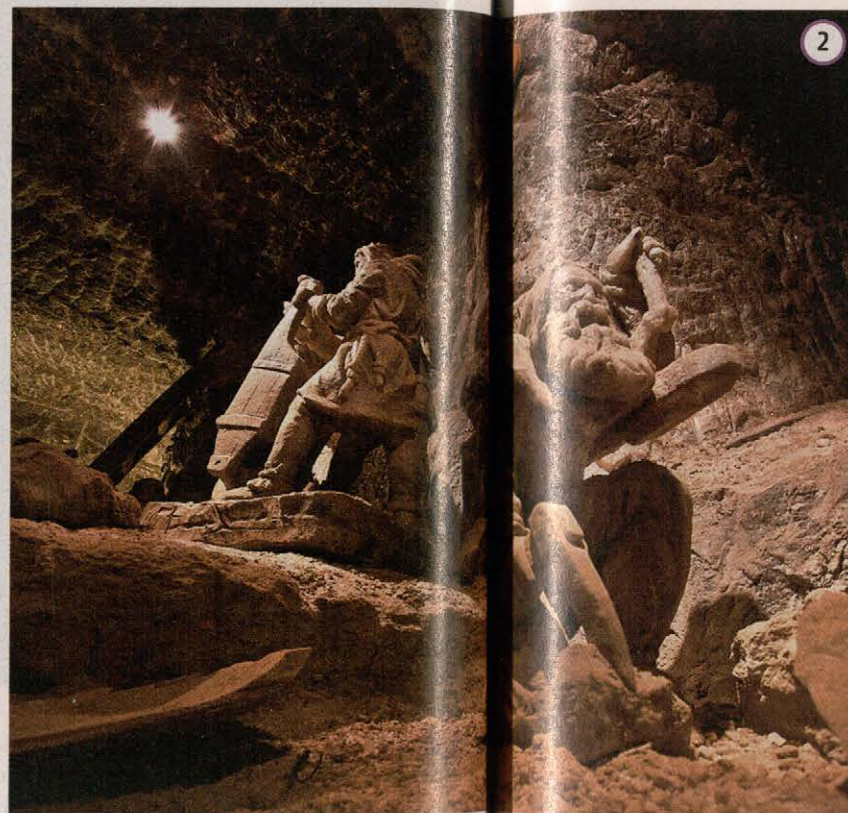
→ **Klasztor Kamedulek w Złoczewie** (www.kamedulki.eu) Zgromadzenie otwarte dla kobiet. Trzeba przejść rozmowę z przełożoną.

→ **Klasztor oo. Kamedulów na Bielanych** (www.fundajakameduli.pl) Trzeba przyjechać z listem polecającym od proboszcza. Można włączyć się w życie zakonników.

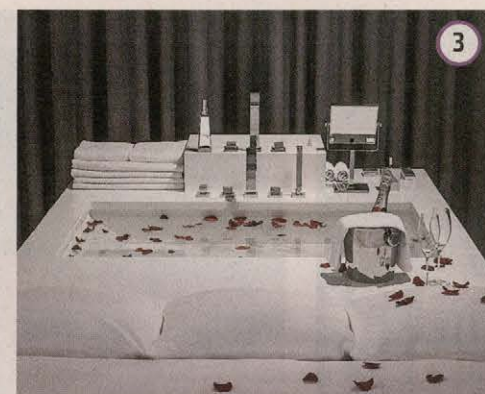
do wykonania w krótkim czasie. Tych zadań i informacji jest coraz więcej i więcej, pochodzą z różnych źródeł, a my musimy na to odpowiadać i jeszcze adekwatnie reagować, sprawnie rozwiązywać problemy. I robimy to kosztem snu, regularnego jedzenia, ulubionej aktywności fizycznej – wyjaśnia. – Proszę przyjrzeć się zasadom obowiązującym w klasztorach – wyznaczone godziny posiłków, określony czas na sen, zakaz palenia i picia alkoholu, zakaz prowadzenia głośnych rozmów. Raczej nie ma radia i telewizji, w niektórych przypadkach należy też wyłączyć telefon. To są właśnie warunki, w których organizm człowieka może odpocząć i zregenerować się na takim bardzo



1



2



3



5



4

PATRYK CHILEWICZ

Noc jak marzenie

Mimo że z zewnątrz często nie różnią się od konkurencji, wewnątrz oferują prawdziwe cuda. Zaskakują ciekawym wzornictwem, nowoczesnymi technologiami lub wyrafinowaną kuchnią. Na majówkę proponujemy wybór **najciekawszych hoteli i hosteli w Polsce**.

1 Teatr Mały/kino Kinematograf (Łódź)

Noc w obiekcie kultury? Dla wielu ten pomysł może wydawać się abstrakcją, jednak Łódzki Teatr Mały oraz kino Kinematograf od jesieni ubiegłego roku zapraszają do swoich pieleszy. Noc w teatrze lub kinie rozpoczyna się spektaklem zagranym specjalnie dla rezerwujących bądź seansem filmowym. Później goście mają okazję porozmawiać z aktorami i reżyserem teatralnym przy filiżance kawy. To doskonała okazja, by poznać te miejsca od środka i zajrzeć za kulisy. Na zakończenie wieczoru obsługa przygotowuje na scenie

łódzko. – To niepowtarzalna szansa, aby spędzić wyjątkowy czas w filmowym klimacie. Noc w kinie może przynieść niezapomniane wrażenia i wiele pięknych, filmowych snów – przekonuje Anna Michalska z Muzeum Kinematografii w Łodzi.

Teatr Mały, ul. Drewnowska 58
Kino Kinematograf, pl. Zwycięstwa 1
Koszt nocy dla dwóch osób: 1500 zł

2 Kopalnia soli (Bochnia)

Dla śmiazków pragnących podziemnych przygód kopalnia soli w Bochni przygotowała specjalną ofertę – nocleg na głębokości 250 metrów. Tam czekają nas atrakcje, w tym 140-metrowa

zjeżdżalnia dla śmiazków, dyskoteka, a nawet sala gimnastyczna, na której można rozegrać mecz. Po wykwintnej kolacji w najniższej położonej restauracji w Polsce i nocnym zwiedzaniu wnętrza kulturalnej kopalni można wybrać jedną z dwóch komór noclegowych. Pierwsza to przestronna sala z piętrowymi łózkami. Druga, intymniejsza, składa się ze specjalnych boksów gwarantujących prywatność.

Kopalnia soli w Bochni, ul. Solna 2
Koszt nocy dla jednej osoby: od 40 do 70 zł

3 Blow Up Hall (Poznań)

To gratka dla wielbicieli nowych technologii. Hotel położony zaraz przy Starym Browarze kontynuuje filozofię właścicielki, Grażyny Kulczyk, 50/50: 50 proc. działalności artystycznej i 50 proc. biznesu. To miejsce wyjątkowe – mimo bliskości centrum handlowego nie czuć w nim szybkiego tempa butików czy szaleństwa wyprzedzaży. Każdy z gości dostaje iPhone'a, który sam prowadzi go do jednego z nienumerowanych pokoi.

Interaktywna obsługa, instalacje artystyczne, niecodzienna intymność oraz wrażenie luksusu – to daje gościom poczucie wyjątkowości, a właściciele gwarantują chwałę na hotelarskich konkursach, dzięki którym Blow Up Hall jako jedyny w Polsce może szcycić się mianem „Hotel Technology of the Year”.

Blow Up Hall, Kościuszki 42, Poznań
Koszt pobytu dla jednej osoby: 528 – 1210 zł

4 Hostel UFO (Warszawa)

Miasto, szef hostelu, wiele lat prowadził sklep dla grafficiarzy Not4Boys, który niedawno postanowił połączyć ze swoim drugim small biznesem – kameralnym hostelem. W ten sposób powstało UFO – jedyne na świecie miejsce, które łączy pasję graffiti z noclegownią. Na warszawskim Mokotowie wręcz kipi od sztuki – lokal jest otwarty przez całą dobę, gości jest często więcej niż miejsc, lecz nie brakuje materacy i śpiworów. Otoczenie street artu, graffishop w piwnicy oraz niezależni artyści, którzy upodobałi sobie to miejsce, sprawiają,

że będąc tam, można poczuć się zarówno artystą, jak i eksponatem.

Hostel UFO, Grottgera 11/2, Warszawa
Cena za nocleg dla jednej osoby: 33 – 45 zł, dodatkowy materac za połowę ceny

5 Puro Hotel (Wrocław)

Nowoczesne wnętrza, interaktywna recepcja, check-in kiosk, panele dotykowe w pokojach – to tylko część morza technologii, z jakimi mają do czynienia goście wrocławskiego Puro. Tu rola recepcji oraz pracowników hotelu została ograniczona do niezbędnego minimum. Nowoczesne wnętrza, ekskluzywny sprzęt (telewizja HD, ekspresy ciśnieniowe w pokojach, kosmetyki z wyższej półki) oraz minimalistyczny, ciepły design sprawiają, że Puro jest świetnym schronieniem przed gwarem miasta i wielkomiejskim życiem. To pierwszy z sieci hoteli, których już niedługo możemy się spodziewać w Krakowie, Poznaniu i Gdańsku.

Puro Hotel, Ul. Włodkowska 6, Wrocław
Cena za nocleg dla jednej osoby: od 200 zł



6



7



9



11



13



12

6 Poziom 511 (Podzamcze k. Ogródzieńca)

To miejsce, zagospodarowane po nieczynnym schronisku młodzieżowym, stało się prawdziwą wizytówką okolicy Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Położone na najwyższym wzniesieniu w okolicy oferuje nie tylko kapitalną panoramę, lecz również wysoki standard. Mimo nowoczesności lokal świetnie wpisuje się w otoczenie XIV-wiecznego Zamku Ogródzienckiego. Luksus podany w bezpretensjonalnym stylu jest dodatkowo okraszony wydarzeniami artystyczno-muzycznymi. Najlepsi didżeje, własne wydawnictwo muzyczne, a także personel mający na sobie ubrania polskich projektantów... A do tego mnóstwo zieleni wokół.

Poziom 511, ul. Bonerów 33, Podzamcze k. Ogródzieńca
Cena za nocleg dla dwóch osób: 430 zł

7 Wilson Hostel (Warszawa)

W tym miejscu pierwsze skrzypce gra ekologia. Ciepła woda i ogrzewanie?

Dzięki energii słonecznej. Tu selekcjonuje się odpady, a powietrze w budynku oczyszcza zielona ściana pnących roślin. To jedyny w Polsce hotel, który oferuje kapsuły sypialne, czyli małe boksy w kształcie prostokątów, dzięki którym można zaoszczędzić miejsce, energię, a przy tym również koszty.

Wilson Hostel, ul. Felińskiego 37, Warszawa
Cena za nocleg dla jednej osoby: od 50 do 280 zł

8 Oki Doki (Warszawa)

Miejsce dla prawdziwych indywidualistów. Każdy pokój w hostelu zaprojektowany jest przez innego artystę. I tak możemy zasnąć w „Pokoju 1001 ręki” projektu Balbiny Tam (cierpliwi mogą policzyć odciski na ścianach dłoni), w „Domu Fana” pełnym plakatów Beatlesów i innych gwiazd lub, dla odważnych, w... „Pokoju Dziewicy” o iście niewinnym wyglądzie. Na terenie Oki Doki znajdziemy też bar, pralnię czy wypożyczalnię rowerów. Plus międzynarodowy klimat.

Oki Doki, plac Dąbrowskiego 3, Warszawa
Cena za nocleg dla jednej osoby: od 29 do 260 zł

9 Andels (Łódź)

To miejsce znane większości przyjeżdżających do Łodzi na Fashion Week czy Łódź Design. Hotel położony na terenie zrewitalizowanej XIX-wiecznej fabryki z szacunkiem odnosi się do historii tego miejsca. Oryginalne ceglane mury, stare maszyny, wentylatory ustawione w korytarzach. Jest tu też przestrzeń dla sztuki współczesnej. Zachwycają designerskie meble, a na ścianach pojawiają się zdjęcia, murale, wideoinstalacje oraz grafiki. Stała ekspozycja andel's Contemporary Art, która znajduje się w hotelu, to ponad 130 prac różnych artystów.

Andels, ul. Ogrodowa 17 (Łódź)
Cena za nocleg dla jednej osoby: od 80 euro

10 Monopol (Wrocław)

Hotel z historią. Wybudowany w 1892 r., od początku cieszył się wielkim zaintereso-

waniem. Światowy, luksusowy i przestronny przyciągał takie osobistości jak Jerzy Grotowski, Pablo Picasso czy Ewa Demarczyk. To właśnie z balkonu nad wejściem głównym swoje piosenki śpiewał Jan Kiepura. Dziś Monopol to nie tylko piękna, historyczna fasada (hotel bez większych uszczerbków przetrwał wojenne zawieruchy), lecz również luksusowe wnętrza, ekskluzywne butiki oraz szeroki wybór restauracji. Klasa w najlepszym wydaniu.

Monopol, ul. Heleny Modrzejewskiej 2, Wrocław
Cena za nocleg dla dwóch osób: od 500 do 2500 zł

11 Lalala (Sopot)

Pomysł powstania arthotelu, bo taką nazwę nosi to miejsce, narodził się w głowie trójmiejskiej artystki graficzki i fotografi Joanny Zastróżnej. Zastróżna do realizacji projektu aranżacji wnętrza zaprosiła znajomych artystów. Każdy dostał do zaprojektowania jeden pokój w ten sposób powstało siedem unikatowych pomieszczeń. Tam wszystko

jest inne: począwszy od numeracji pokoi (44 z czarnym futrem, 38, gdzie spogląda na nas sarenka, czy 1600 ozdobionym płytami winylowymi), przez różowego jelenia stojącego w ogródku, po spontanicznie organizowane koncerty i własną winiarnię na parterze.

Lalala, ul. Rzemieślnicza 42, Sopot
Cena za nocleg dla dwóch osób: od 190 do 330 zł

12 Zamek w Mosznej

Od 1972 r. w pięknie położonym zamku mieścił się ośrodek leczenia nerwic. Sam budynek, odrestaurowany, położony w otoczeniu pięknych polan i stadniny koni, od początku cieszył się dużym zainteresowaniem przyjezdnych i niedługo później kilka najbardziej okazałych pokoi zostało wybranych dla gości. – Leczyliśmy lekkie nerwice, więc te działalności się nie wykluczały – tłumaczy pracujący w zamku Teodor Wilk. Wzrost zainteresowania turystów z jednej strony, a trudności w dostosowywaniu do działalności leczniczej

w zabytkach z drugiej spowodowały, że władze zdecydowały się wybudować nowy szpital, a zamek zamienić w hotel. Można tu poczuć się jak w bajce.

Zamek w Mosznej, ul. Zamkowa 1, Moszna
Cena za nocleg dla jednej osoby: od 100 zł

13 Hotel Copernicus (Toruń)

To miejsce prosto z gwiazd. Bryła hotelu przypomina statek kosmiczny, czym jednoznacznie nawiązuje do nazwy i wielkich odkryć Mikołaja Kopernika. Potężny, bo zajmujący 25 tys. metrów kwadratowych, kompleks mieści sale konferencyjne, 149 pokoi, basen wewnętrzny i zewnętrzny, kręgielnię oraz klub nocny. Poza rozmachem Copernicusa wyróżnia świetne położenie w centrum miasta, nad samą Wisłą. Z tarasu rozciąga się widok na most Piłsudskiego i toruńską starówkę, która wygląda jeszcze piękniej z perspektywy luksusowego hotelu.

Hotel Copernicus, Bulwar Filadelfijski 11, Toruń
Cena za nocleg dla dwóch osób: od 280 do 2500 zł

MICHAŁ CESSANIS

Fallusy, włosy, kicz

Nie ma ich na listach największych muzeów świata, ale turyści chętnie je oglądają. Bo zgromadzone w nich **ekspozycje** są co najmniej **osobliwe**.

Poseł Arkady Radosław Fiedler, syn znanego podróżnika i pisarza Arkadego Fiedlera, widział dotąd wiele muzeów na świecie. Zapytaliśmy go o miejsce, które zapamiętał ze względu na jego wyjątkowość. Bez wahania wymienił Muzeum Kamienia dr. Cabrery w Ica, w Peru.

– Małe, intrygujące i tajemnicze. W jego wnętrzu czułem się jak Alicja po drugiej stronie lustra. Niesamowity świat fantazji, rzeczy trudne do objęcia rozumem. Ale z drugiej strony zbyt racjonalne i logiczne, by je odrzucić – opowiada poseł Fiedler. O tym niezwykłym muzeum pisze też w książce „Gloria Andów”, którą właśnie oddał do druku. Zresztą sam, z pomocą rodziny, od 40 lat tworzy muzeum podróży w Puszczykowie pod Poznaniem. To, które zachwycało go w Peru, znajduje się na Plaza de Armas w Ica, około czterech godzin na południe od Limy. Założył je w latach 60. ubiegłego wieku chirurg hiszpańskiego pochodzenia dr Guttierrez Cabrera. Lekarz otrzymał pewnego razu od miejscowego wieśniaka w podziękowaniu za pomoc kamień. Przez dłuższy czas podarunek służył mu jako przycisk do papieru na biurku. Dopiero później doktor zwrócił uwagę na widoczny na nim ryt dziwnego ptaka. Zaczął mu się naukowo przyglądać, wertować encyklopedie.



I znalazł. Ryt przedstawiał pterozaura, latającego jaszczurę sprzed 140 mln lat. Z czasem zdobionych kamieni zaczęło przybywać. Doktor dostawał je od wieśniaków, sam wykopywał z ziemi, skupował. W kolekcji znajdują się zarówno te małe, 10-centymetrowe, jak i duże, sięgające pół metra długości, najczęściej czarne, szare lub żółte.

– Na pierwszy rzut oka wyglądają jak zwykłe, polne otoczaki. Ale kiedy się im bliżej przyjrzeć, każdy pokryty jest rysunkiem. Nie ma przy tym dwóch podobnych – mówi Fiedler. Najbardziej wstrząsająca w tych kamieniach jest treść rytów. Planety, mapy, sceny operacji, w tym na mózgu i sercu, brontozaur, tyrannosaurus rex, stegozaur oraz

Muzeum Kamienia dr. Cabrery w Peru. Kolekcję stworzył hiszpański chirurg z Ica. Jego kamienie są pokryte rysunkami planet, małp i dinozaurów, a nawet zabiegów na sercu i mózgu. Nikt nie wie, kto i kiedy je wykonał.

pterodaktyl. – Czyżby to były ślady dawnej cywilizacji, kiedy ludzie żyli razem z dinozaurami? To wszystko jest nierealne, ale równocześnie przerażająco prawdziwe. Bez dwóch zdań, to najdziwniejsze muzeum, które do tej pory widziałem – opowiada Fiedler.

Postanowiliśmy znaleźć również niesamowite kolekcje w innych częściach świata. Zebraliśmy dziesięć obiektów. Muzeum kamieni umieszczamy na **1** miejscu.

2 Muzeum Mumii w Guanajuato

Już sama nazwa może budzić strach i wstręt, jednak, jak się okazuje, lubiwo oglądać martwych ludzi. Co roku

do muzeum ciągną setki tysięcy ciekawskich, a dziennie nawet 5 tys. chętnych płaci 5 dol. (a to w Meksyku spora suma), by zobaczyć zasuszone zwłoki. Te same zresztą, które tak bardzo zafascynowały Wernera Herzoga, że pokazał je w swoim filmie „Nosferatu wampir”. Historia tego miejsca rozpoczęła się ok. 1869 r. Wówczas z miejscowego cmentarza zaczęto ekshumować zwłoki z grobów, za których utrzymanie nie płacili krewni zmarłych. Składowano je w pomieszczeniach cmentarnych. Zwłoki zostały naturalnie zmumifikowane. Z czasem składowisko na cmentarzu stało się taką atrakcją, że od ciekawskich zaczęto pobierać po kilka pesos. Tak narodziło się muzeum. Dziś jest w nim 108 mumii. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak papierowe lalki. Są tak dobrze zachowane, że wydaje się, iż za moment ożyją. Upiornego cmentarnego klimatu dodają historie życia i śmierci mumii. Na przykład Ignacia Aguilar została pochowana najprawdopodobniej żywcem. Wskazuje na to wieko trumny porysowane jej paznokciami i twarz powykrzywiana z bólu spowodowanego uduszeniem. Wiele jednak wskazuje na to, że kobiety nie pochowano żywcem celowo. Ignacia cierpiała na rzadką chorobę, której napady przypominały śmierć. Prawdopodobnie podczas jednego z takich ataków uznano, że tym razem kobieta zmarła. Bez dwóch zdań, to muzeum przemawia do wyobraźni.

3 Kostnica w Kutnej Horze

To kolejne miejsce dla poszukiwaczy mocnych wrażeń. Jesteśmy w Czechach, w kostnicy w kaplicy rzymskokatolickiej pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Panuje tu cmentarny klimat. Żyrandol zrobiony z kości ludzkiego szkieletu, stopy czaszek, dekoracje ułożone z żeber, miednic i piszczeli. Twórca kaplicy zużył do jej budowy co najmniej 40 tys. kości, w tym pochodzących ze szkieletów niemowląt. Na początku oczywiście odkaził i wybielił wapnem wszystkie



„materiały” budowlane. Ale choć kaplica powstała na początku XIX w., kości użyte do zdobienia pochodzą z XIV w. Przez tereny wokół Kutnej Hory przeszła wówczas straszna epidemia dżumy. Tylko w 1318 r. zmarło ok. 30 tys. ludzi. Nie było miejsca na ich pochówek, więc wydobywano z grobów wcześniej zmarłych. Ich kości przeniesiono do kaplicy, gdzie przeleżały cztery wieki. Dziś tworzą specyficzne muzeum.

4 Ekspozycja fallus

Muzeum Fallologiczne, Reykjavik, Islandia. Jeśli ktoś nie rozszyfrował od razu nazwy muzeum, wyjaśniamy, że pochodzi ona od słowa fallus. W muzeum znajdują się okazy penisów zwierząt. Kolekcja jest dziełem islandzkiego nauczyciela Sigurðura Hjartarsona. Pierwszym eksponatem był penis byka. Z czasem doszły kolejne – głównie członki fauny pochodzącej z Islandii. Jednym z najbardziej okazałych eksponatów jest fallus wieloryba, który mierzy 170 cm i waży ok. 70 kg. Okazy są przechowywane albo w słojach z formaliną, albo są garbowane. W tych szczególnych zbiorach można również odnaleźć okazy nie z tego świata, czyli penisy należące do... elfów i syren. Chociaż Muzeum Fallologiczne w Reykjaviku jest czyn-



ne w godz. 14–17 od wtorku do soboty i tylko od maja do sierpnia, cieszy się wręcz rekordową oglądalnością. Rocznie fallusy podziwia tam nawet pół miliona zwiedzających.

5 Barbiemania

Kolekcję lalek Barbie Bettiny Dorfmann można oglądać w Düsseldorfie. 53-letnia Niemka gromadziła swoje eksponaty przez 20 lat.

W muzeum znajduje się obecnie ok. 15 tys. lalek Barbie. Dorfmann jest chyba największą zbieraczką różnych wcieleń Barbary Millicent Roberts (od tego nazwiska pochodzi znana na całym świecie marka Barbie) spośród ponoć 100 tys. innych maniaków lalek. W jej kolekcji jest m.in. Barbie prezydent, Barbie nauczycielka hiszpańskiego, spadochroniarz, pielęgniarka, oficer marynarki wojennej USA i paleontolog. A kim ta lalka jeszcze nie została w swoim 50-letnim już życiu? Ciągłe jest z czego wybierać. Zresztą kolekcjonerka przyznaje, że będzie zbierać Barbie aż do śmierci. Lalki rozgościły się u Bettiny na piętrze domu, w piwnicy, a nawet w kuchni. Jej zbiór nie jest jeszcze traktowany jak otwarte dla zwiedzających regularne muzeum. Bettina pokazuje jednak swoje lalki często i chętnie. Wysłała je też na wystawy, takie jak coroczne wydarzenie „Świat mody Barbie”. Kontakt z kolekcjonerką można nawiązać m.in. przez Facebook.

6 Muzeum Erotyki

Znajdziecie je przy ul. Oudezijds Achterburgwal 54 w Amsterdamie, w dzielnicy czerwonych latarni. Jest otwarte codziennie do północy. Zachęcamy, żeby zwiedzać je wieczorem, kiedy wokół zabłyśną czerwone światła. Idąc do muzeum, będziemy mijać po drodze witryny z tańczącymi, kuszącymi potencjalnych klientów prostytutkami. Przesyłane całusy, perskie oczka, ociekające seksem pozy pań nastroją do zwiedzania. Samą dzielnicę czerwonych

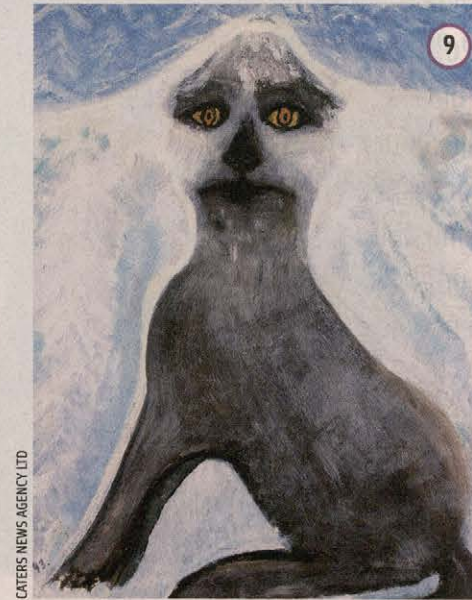
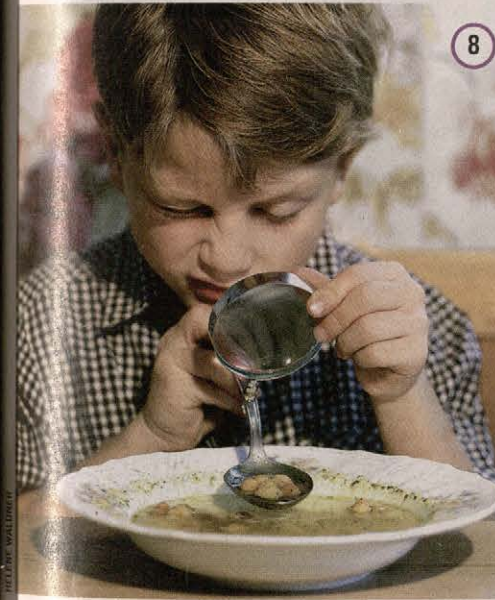
latarni można zresztą traktować jak muzeum. Erotyka ma przecież wiele wspólnego ze sztuką. Można się o tym przekonać na miejscu w muzeum, oglądając obrazy, ryciny, rzeźby i wiele innych przedmiotów związanych z seksem. Uwaga, chociaż Holendrzy słyną w świecie ze swobodnych obyczajów, do muzeum wejdą tylko osoby powyżej 16. roku życia.

7 Hair

To chyba najdziwniejsze z dziwnych muzeów świata – kolekcja włosów w tureckim Avanos. Jeśli ktoś cierpi na trichofobię, czyli lęk przed włosami, to na pewno nie jest to miejsce dla niego. Lepiej wtedy zwiedzić muzeum porcelany, które się tu również znajduje. Muzeum włosów założył w 1979 r. Galip Körükçü. Znajduje się w piwnicy pod sklepem z ceramiką. Miejsce wywołuje naprawdę dziwne wrażenia. Z sufitów i ścian zwisają pękły włosów z karteczkami opisującymi osoby, od których pochodzą. Włosy są wszędzie. Zbiór liczy ponad 16 tys. pukli! Turyści odwiedzający to miejsce mogą oczywiście pozostawić po sobie ślad. Nożyczki są zawsze pod ręką.

8 Druga szansa dla przedmiotów

Każda rzecz, nawet najbardziej kiepska, zasługuje na drugą szansę – tak brzmi motto Nonseum, czyli muzeum bezużytecznych wynalazków. To jedno z niewielu, jeśli nie jedyne takie miejsce na świecie. Znajduje się w Herrnbauergarten w Austrii. Zostało założone w 1983 r. przez Fritza Galla i jego przyjaciela Friedla Umscheida. Kto wie, może składane sanki (jeden z eksponatów) doczekają się swojej szansy. Składane rowery miejskie Genius, które po zmontowaniu można zabrać ze sobą np. do biura jak torbę, stały się przecież hitem. Ale czy szansy doczeka się papieros, który ma dwa filtry, po jednym z każdej strony? Komu będzie potrzebna la-



ska na kółkach albo korek szampana na łańcuszku?

9 Muzeum Złej Sztuki

Takie obiekty powinny znajdować się w każdym mieście. Nigdzie nie brakuje przecież kiepskich artystów. Wymyślono je jednak w Stanach Zjednoczonych. W bostońskim muzeum znajduje się obecnie ponad 500 eksponatów „sztuki zbyt złej, by przejść obok niej obojętnie”. Autorzy muzeum tłumaczą, że w każdym dużym mieście jest przynajmniej jedno miejsce, gdzie pokazywana jest dobra sztuka. Ale przecież artystom nie zawsze się udaje. Aby czyjaś praca trafiła do bostońskiej kolekcji, musi być jednak szczerą i oryginalną. Perłą w koronie tej specyficznej kolekcji mógłby więc być obraz „Ecce Homo” z kościoła w Borji w północnej Hiszpanii, przemalowany przez 80-letnią parafialną artystkę Cecilie Gimenez.

10 Muzeum Bombki Choinkowej

W Polsce też bywa oryginalnie. W bombkowej produkcji jesteśmy potęgą, nic więc dziwnego, że w Nowej Dębce założono ich specjalną kolekcję. Osobliwych muzeów jest zresztą w Polsce znacznie więcej. Dość wspomnieć Muzeum Siekier w Orzechówce, Muzeum Tanich Win w Szklarskiej Porębie czy Muzeum Guzików w Łowiczu. W Muzeum Bombki znajdziemy oczywiście tysiące ręcznie wyprodukowanych bombek, setki niesamowitych eksponatów do podziwiania przez cały rok. Są bombki z różnych krajów i epok. Muzeum założył Janusz Biliński, który od lat zajmuje się produkcją ręcznie malowanych ozdób choinkowych. Początek kolekcji dały stare i zakurzone bombki, odnalezione na strychu u dziadków, które dziś zdobią muzealną choinkę w staropolskim wystroju.

Autor jest sekretarzem redakcji w miesięczniku „National Geographic Traveler”

WODZISŁAW KICIŃSKI

Długi cień apartheidu

Z drugiego piętra mojej szkoły – liceum Alex High – można dostrzec dwa oblicza Republiki Południowej Afryki. Po jednej stronie rozpościerają się blaszane dachy chaotycznie rozmieszczonych domów biednej Alexandry. Po drugiej na horyzoncie lśnią wieżowce nowoczesnego Sandton. Te dwie sąsiadujące dzielnice Johannesburga żyją w dwóch odrębnych światach, bo Tęczowy Lud, jak dumnie mówią o swoim wielokulturowym społeczeństwie mieszkańcy RPA, to kraj jaskrawych kontrastów.

WRPA znalazłem się jako wolontariusz programu „Warwick in Africa”. Przez sześć tygodni wakacji uczyłem matematyki. Niemal 70 specjalnie przeszkolonych studentów Uniwersytetu Warwick wyjechało do Afryki w ramach programu rozpoczętego siedem lat temu przez wykładowców z tej uczelni. Podzieleni na 10-osobowe grupy uczyliśmy matematyki i języka angielskiego w szkołach w RPA, Ghanie i Tanzanii. Ja trafiłem właśnie do Alexandry, jednej z najbiedniejszych dzielnic Johannesburga.

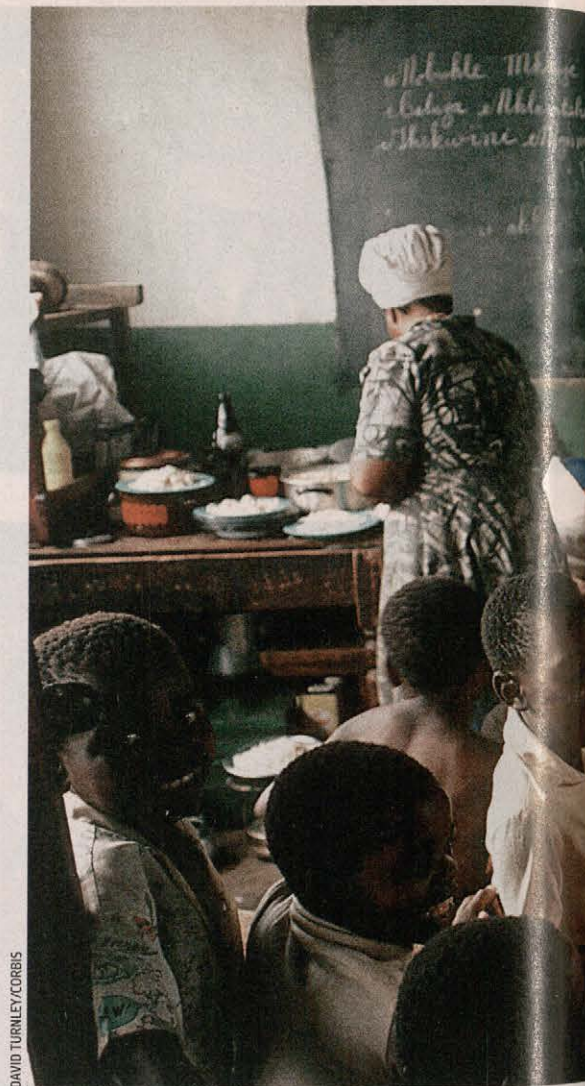
Alexandra – czyli potocznie Alex – liczy około 800 tys. mieszkańców i choć uznawana jest za dzielnicę, stanowi w zasadzie odrębne miasto, które wyglądem zdecydowanie odbiega od pobliskiego nowoczesnego centrum południowo-afrykańskiej metropolii. Jeżdżąc codziennie do szkoły z Sandton, gdzie mieszkaliśmy, nie sposób było nie dostrzec nagłego końca ogrodzonych rezydencji. W miarę zagłębiania się w serce Alex (rozbrzmiewające odgłosem nieprzerwanie trąbiących

samochodów) napotykalismy coraz liczniejsze uliczne stragany i prowizoryczne – zbudowane z tego, co akurat było pod ręką – domostwa. Taka odrębność cechuje nie tylko Alex, lecz także inne dzielnice miasta. Sprawia, że Johannesburg przypomina zbiorowiska miejskich społeczności, które toczą swe życie wyłącznie w obrębie własnej enklawy.

Urbanistyczna dychotomia to dziedzictwo apartheidu, który narzucał segregację rasową na wszystkie możliwe sposoby, ingerując w każdą sferę życia jednostki. Mimo przemian po 1994 r., kiedy po pierwszych demokratycznych wyborach Afrykański Kongres Narodowy (AKN) na czele z Nelsonem Mandelą rozpoczął zapisywanie nowych kart historii RPA, pamięć i pozostałości apartheidu nadal rzucają cień na południowoafrykańską rzeczywistość.

Zawiedzione obietnice

Choć rządzący nieprzerwanie od 1994 r. AKN zapewnił w kraju tolerancję rasową, partia nie zdołała poprawić sytuacji



DAVID TURNLEY/CORBIS

najbiedniejszych warstw społeczeństwa i nie jest w stanie stworzyć im realnych szans na awans społeczny. Przeżywający obecnie kryzys poparcia AKN (szczególnie po zabiciu przez policję 34 strajkujących górników w Marikanie) podejrzewa się o korupcję i nepotyzm. Wyniki niedawno przeprowadzonych badań pokazują, że dysproporcje w poziomie dochodów Południowoafrykańczyków są obecnie wyższe niż pod koniec apartheidu. Przemiany w latach 90. zostały wykorzystane przez elity AKN jako okazja do wzbogacenia się, a wiele korzyści z reform gospodarczych zostało zawłaszczonych przez obrotowych polityków. Choć więc czarnoskóra ludność odzyskała swe wolności prawnej, jej przedstawiciele ograniczyli wolność ekonomiczną najmniej uprzywilejowanych grup społecznych i wzbogacili się ich kosztem. Dobiaża końca epoka,



w której AKN wygrywało wybory dzięki ogólnemu uznaniu za walkę przeciwko reżimowi apartheidu. Teraz od władzy wymaga się znacznie więcej niż tylko chwalebnych wspomnień o odzyskaniu niepodległości pod wodzą Mandeli. Ubóstwo i drastyczne nierówności społeczne niszczą tkankę rzekomo spójnego narodu.

Niestety, większość dobrze sytuowanego zarówno białego, jak i czarnego społeczeństwa jest nieświadoma ogromu ubóstwa, w którym żyje Południowa Afryka. W tym roku „Warwick in Africa” po raz pierwszy nawiązał współpracę z południowoafrykańską filią międzynarodowej firmy finansowej, której pracownicy pomagali nam prowadzić lekcje. Okazało się, że rodowici mieszkańcy RPA, którzy gościli w Alexandrze, byli zaskoczeni warunkami, jakie zasta-

Europejcy nauczyciele, którzy zaczynają pracę w szkole w RPA, muszą przywyknąć do codziennych spóźnień, braku dyscypliny w klasie i nauczyć dzieciaki notować to, co dzieje się na lekcji. Szybko się jednak okazuje, że uczniowie są inteligentni i chętnie się uczą.

do życia w dzielnicach Johannesburga, które niczym nie różnią się od europejskich miast, i nie wyobrażali sobie, że tuż za rogiem życie toczy się w tak drastycznie odmienny sposób.

Lekcje cudów

Zajęcia w Alex High School rozpoczynają się o 7.35, lecz tylko garstka uczniów jest punktualna. Mija pół godziny, zanim klasa się wypełni. Plaga spóźnień nie dotyczy wyłącznie uczniów. Nauczyciele też przychodzą na lekcje spóźnieni, bo zakładają, że nie warto pojawiać się na czas, skoro nie ma jeszcze całej klasy. To błędne koło udało nam się na szczęście przerwać. Postawiliśmy uczniom jasne wymagania i staraliśmy się ich maksymalnie angażować podczas lekcji. Zadbawszy o frekwencję, musieliśmy stawić czoła kolejnym pedagogicznym wyzwaniom.

Na początku każdej lekcji trzeba było dać stanowczo do zrozumienia, że cała klasa ma obowiązek zapisywać przykłady z tablicy w zeszytach, ponieważ uczniowie nie mieli nawyku robienia notatek. Podobnie praca domowa była dla większości jedynie zadaniem, które rozwiążemy na następnej lekcji, gdyż i tak tylko nieliczni je odrobiją.

Początkowo sądziłem, że to przejaw uczniowskiego lenistwa, lecz wkrótce zdałem sobie sprawę, że większość dzieci w klasie nie jest w stanie nawet spróbować rozwiązać zadania bez pomocy nauczyciela. Mało kto dobrze rozumie zastosowanie i sens matematycznych wzorów.

Zanim uczniowie, zmotywowani satysfakcją z rozwiązywania wcześniej niepojętych równań, zaczęli mnie prosić o więcej, musiałem poradzić sobie z najważniejszym problemem – zachęceniem ich do zadawania pytań i sygnalizowania, kiedy czegoś nie rozumieją i potrzebują dokładniejszego wytłumaczenia. Dzieciaki w Alex High przywykli bowiem do chóralnego mówienia: „Yeecies!” za każdym razem, kiedy pytałem, czy rozumieją zadanie, które właśnie rozwiązałem na tablicy. Jak później sami mi wyjaśnili, wynikało to ze wstydu przed przyznaniem się do niewiedzy zarówno przed kolegami, jak i nauczycielem. Ten ostatni gani za zwyczaj nadgorliwego ucznia za to, że nie uważał. I choć akurat ja nigdy tego nie robiłem, wobec mnie zachowywali się podobnie, ale jak później wyjaśniali, nie przyznawali się do niewiedzy z... gościnności. Nie chcieli mnie urazić sugestią, że nie wytłumaczyłem im czegoś dostatecznie jasno. Walcząc z tym przejawem kurtuazji, powtarzałem, że lubię uczniów, którzy zadają pytania. Starłem się też nie używać utartej formuły „Czy rozumiecie?”, po której następowała wyuczona reakcja i chóralne potakiwanie. Dopiero w drugim tygodniu, kiedy mogłem już dostosować tempo lekcji do poziomu zrozumienia w klasie, nasza współpraca zaczęła się naprawdę dobrze układać.

W miarę jak pomagałem dzieciakom w nadrabianiu braków (nie wie-

dzieli np., co to takiego liczby ujemne), nieśmiało wcześniej uczniowie zaczęli zadawać pytania i na nie odpowiadać, a podczas lekcji wyrwali się wręcz, żeby zapytać, czy dobrze rozwiązali jakieś zadanie. Niektórzy specjalnie prosili o więcej przykładów w pracy domowej. Szczególną satysfakcję sprawiało mi zaangażowanie tych, którzy wcześniej przysparzali najwięcej problemów lub z obojętnym wyrazem twarzy siedzieli w ławkach. Nawet koszmar, ponad 40-osobowa 9 klasa stała się z biegiem czasu grzeczniejsza, a uczniowie mobilizowali się nawzajem do pracy.

Ale, przyznaję, nie wszystkie lekcje były tak sielankowe. Uczniom z Alex daleko było do zdyscyplinowanych

Matki i uczennice

Powoli poznawałem nie tylko matematyczne braki moich uczniów, ale i ich samych. Potrzebowali uwagi i autorytetów, których mogliby się radzić. Chętnie opowiadali mi o marzeniach i problemach. Trudno było mi czasem zrozumieć ich opowieści, tak bardzo różne od realiów, do których przywykłem.

Kiedy poznałem Wuzi, która podczas pierwszych dni w Alexandrze była naszym przewodnikiem po dzielnicy, nie dowierzałem, że ta drobna, niewysoka dziewczyna z 11 klasy ma już 20 lat. Tyle co ja! Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tak bezpośrednio, zaradna osoba powtarzała aż dwie klasy. Odpowiedź na moje wątpliwości znalazłem znacznie później, gdy Wuzi wróciła

re”, jest w tamtych warunkach wyzwaniem. Jeśli dziewczyna zostaje w Alex matką, niemal na pewno nie może liczyć na pomoc ojca dziecka. Sama musi opiekować się noworodkiem, a jeżeli nie ma wsparcia rodziny, cięża oznacza zwykle koniec edukacji.

Dzieci z Alexandry, w której 30 proc. ludności cierpi na AIDS, często nie mają nawet jednego rodzica, który interesowałby się nimi i je wspierał. Nic dziwnego, że zrobienie matury w takich warunkach to nie lada osiągnięcie. Studia są już tylko marzeniem, które ziszcza się dla naprawdę nielicznych (wyższe wykształcenie ma 4 proc. ludności Alexandry). Gdy u nas na uniwersytet wybiera się już przeciętny uczeń, ci z dzielnicy takich jak Alexandra muszą być nie tylko niezwykle inteligentni, ale i bardzo przedsiębiorczy, by samemu przecierać nieznane im ścieżki, radzić sobie z formalnymi aplikacjami o stypendia i podaniami na studia.

Ambitni uczniowie z Alex mają do pomocy trwający od 2001 r. program rządowy „Alexandra Renewal Project”, którego celem jest m.in. poprawa warunków mieszkalnych, rozbudowa sieci elektrycznej i wodociągów, poprawa bezpieczeństwa w dzielnicy oraz rozwój lokalnej gospodarki i zmniejszenie bezrobocia, sięgającego obecnie 60 proc.

Władze prowincji zapewniły też każdej szkole dostęp do komputerów, ale najbardziej widoczny jest program dożywiania. Uczniowie mają zapewniony gorący posiłek. To niewątpliwie dodatkowa motywacja do chodzenia do szkoły. Mieszkańcy Alexandry narzekają jednak na ślamazarność zmian i podkreślają, że politycy przypominają sobie o nich dopiero przed wyborami.

Gra w rodzinę

Przedsięwzięcia, które naprawdę pomagają mieszkańcom dzielnic takich jak Alex, to nie programy na wielką skalę, ale oddolne inicjatywy powstające w samym sercu społeczności. Jednym z takich projektów jest „Sky” – sierociniec i centrum młodzieżowe w Kliptowni położone w największej z dzielnic ubóstwa w Johannesburgu. To miejsce

gdzie młodzież może przyjść po szkole, bawić się, grać na instrumentach w miejscowym zespole muzycznym lub odrabiać lekcje. Dla wielu to prawdziwy dom. Kiedy odwiedziliśmy „Sky”, wychowankowie grali właśnie w „grę w domu”. Najstarsi nastoletni członkowie czterech kilkunastoosobowych grup-rodzin dostawali miesięczne dziesiętki od opiekunów i mogli robić z pieniędzmi, co im się żywnie podobało. Gra, której motto brzmiało: „Bawimy się, ale się nie bawimy”, miała na celu nauczenie młodzieży odpowiedzialności. Nie decydowali oni wyłącznie o tym, na co przeznaczają pieniądze, ale byli również odpowiedzialni za wykonywanie wcześniej przydzielonych obowiązków, jak chociażby za pomoc młodszemu członkowi „rodziny” w pracy domowej. Przedsięwzięcia takie jak „Sky” pozwalają zająć młodych, którzy inaczej szwendaliby się po ulicach.



W RPA dzieci z biednych dzielnic często cierpią na krzywicę. Przyczyną jest niedożywienie. Dlatego państwo zapewnia w szkołach gorące posiłki.

Ale prawdziwe kontrasty Tęczowego Ludu dostrzegam dopiero teraz, po powrocie. I wcale nie są to drastyczne różnice między biednymi i bogatymi dzielnicami południowoafrykańskich miast. To kontrasty, które mieszkańcy Alex noszą w sobie. Bo choć stawiają czoła niewyobrażalnym dla mnie problemom, zawsze są uśmiechnięci i optymistycznie patrzą w przyszłość.

Nelson Mandela, opisując Alexandrę, w której mieszkał w latach 40., pisał: „Życie w Alexandrze było radosne, ale i niebezpieczne. Jej atmosfera żywa, jej duch śmiały, a jej ludzie zaradni”. Te słowa dobrze opisują Alexandrę, którą poznałem. Jej mieszkańcy potrzebują być może od nas lekcji matematyki, ale my możemy się uczyć od nich radości życia.



dzieci z polskich szkół. Niektórzy swobodnie wstawali i przechadzali się po klasie, żeby pogawędzić z kolegą, inni bez pytania wychodzili. Podczas jednej lekcji zdarzyła mi się nawet brutalna uczniowska bójka, a na korytarzach czuć było nie tylko dym papierosowy, ale i zapach marihuany.

Nie do wszystkich moich uczniów przemawiało partnerskie podejście i nie do wszystkich docierała stara prawda, że to, czego się mogą nauczyć, zależy przede wszystkim od nich samych.

do szkoły po tygodniowej nieobecności. Kiedy zagadnąłem ją, dlaczego nie pojawiła się na lekcjach, odpowiedziała, że jej „ulubiony chłopiec” był chory i musiała się nim zajmować. Było mi wstyd, kiedy dopiero wieczorem zdałem sobie sprawę, że „ulubiony chłopiec” to nie jej chłopak, ale syn.

Historia Wuzi, która zrobiła na mnie tak duże wrażenie, nie jest w RPA wyjątkiem. Pozornie prosty plan na życie, który przedstawiła mi jedna z moich uczennic: „nie zając w ciążę i zdać matu-

Dzieci z Alexandry, dzielnicy Johannesburga, często nie mają choćby jednego rodzica, ale europejskich wolontariuszy, którzy jak autor przyjeżdżają do RPA, żeby pomóc im nadrobić braki edukacyjne, mogłyby uczyć radości życia.

REKLAMA



Grupa Hoteli WAM

oferuje usługi noclegowe i konferencyjne w najpiękniejszych miastach Polski. 15 hoteli, obiekt hotelowy Cassubia w Helu oraz średniowieczny Zamek Czocho w Suchej, zapewniają szeroki wachlarz usług i możliwość wypoczynku zarówno klientom indywidualnym jak i grupowym. Specjalnie dla klientów korporacyjnych i biznesowych przygotowano atrakcyjne pakiety wraz z profesjonalnym zapleczem konferencyjnym, gwarantującym organizację szkoleń na najwyższym poziomie. Komfort, wygoda i indywidualne podejście do Klientów zapewniają naszym hotelom zaufanie i sympatię powracających Gości.



Grupa Hoteli WAM Sp. z o.o.
ul. św. Gertrudy 26-29
31-048 Kraków
Kontakt:
bok@hotelewam.pl
tel.: 12 618 40 32
www.hotelewam.pl

HOTELE WAM

NEPTUN Gdynia

CASSUBIA HEL

ROYAL KRAKÓW

HUZAR LUBLIN

BELWEDERSKI WARSZAWA

DEDAL MALBORK

IKAR POZNAŃ

ISKRA RADOM

HETMAN RZESZÓW

ZAMEK CZOCHA

RYCERSKI SZCZECIN

KAPITAN SZCZECIN

KOPERNIK TORUŃ

MAZOWIECKI WARSZAWA

REYMONT ŁÓDŹ

BLIZA WEJHEROWO

WIENIAWA WROCLAW

ROZMAWIA BARBARA HOLLENDER

Mój pitbul nazywa się Greta Garbo

Urodził się i od razu o mało nie zginął. Żeby przetrwać, po wojnie sprzedawał bułki i gazety – do czasu aż zagrał żigolaka we francuskim filmie i stał się wziętym aktorem filmowym, jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w europejskim kinie. „Przekrojowi” opowiada o tym, jak spotkał Fassbindera, Borowczyka, Gusa van Santa, von Triera, Herzoga. **Udo Kier** był gościem i jurorem tegorocznej edycji festiwalu Off Plus Camera.

Podobno ma pan podarowane życie? Mógł pan zginąć kilka godzin po przyjściu na świat.

To prawda. Urodziłem się w połowie października 1944 r. Kolonia była wtedy celem zmasowanych nalotów alian-tów. Moja matka nie mogła dojechać do szpitala, bo właśnie zawalił się most. Kierowca ambulansu musiał wybrać inną drogę, przez jezioro. Matka zaczęła rodzić, ale zapamiętała potworne obrazy płonących ludzi, bo z nieba leciały bomby fosforowe. Ci ludzie szukali w wodzie ratunku, ale – popaleni – umierali. Mama opowiedziała mi tę historię wiele lat później. Powtórzyłem ją Larsowi von Trierowi i takie sceny znalazły się w jego „Epidemii”. Matka od pierwszej chwili, gdy pojawiłem się na świecie, kochała mnie nieprzytomnie. Kiedy zaszła w ciążę, okazało się, że człowiek, którego uważała za swojego narzeczonego, miał żonę i troje dzieci. Dlatego całą miłość przelała na mnie. W szpitalu, po porodzie, nie chciała się ze mną rozstać ani na moment. Gdy pielęgniarka zabierała niemowlaki do mycia, trzymała mnie kurczowo w ramionach. Dlatego ocalałem. Matka miała łóżko w samym rogu sali. Zobaczyła, jak po wybuchu zaczęła walić się przeciwległa ściana. Chcąc chronić dzieci, pielęgniarka rzuciła się w stronę łóżeczek, a potem już nie było niczego poza gruzem. Wszyscy zginęli. Tylko moja

matka ocalała. Trzymała mnie w jednej ręce, drugą wyciągała cegły z zawalonych murów, aż wreszcie wydobyliśmy się na zewnątrz. To przeznaczenie. Widać miałem żyć.

Pamięta pan czas dorastania w powojennej Kolonii?

Doskonale. To wciąż było rumowisko. Jako mały chłopiec chodziłem do szkoły i cegły. Zajęcia odbywały się w barakach. Z konieczności stałem się półwegetarianinem, bo nie mieliśmy pieniędzy na mięso. Przez cały tydzień żyliśmy na zupach. Tylko w niedziele jadaliśmy królewskie obiady. Do dziś je pamiętam: kotlet, zielona sałata i pudding z syropem malinowym.

Jak w tych warunkach narodziły się w panu myśli o aktorstwie?

Robiłem wszystko, żeby zarobić kilka groszy. Sprzedawałem gazety, rano, jeszcze przed szkołą, dostarczałem ludziom bułki z piekarni. Matka chciała, żebym został księgowym, więc trzy lata zgłębiałem tajniki księgowości. Ale potem dostałem pozwolenie na podróż do Anglii, co wtedy wcale nie było proste. Uczyłem się angielskiego w Londynie. Wymyśliłem sobie, że nauczę się wielu języków i będę kiedyś pracował w wielkim międzynarodowym koncer-

nie, takim jak np. Bayer. Ale kiedyś koleżanka, Włoszka, powiedziała: „Słuchaj, Francuzi będą tu kręcić krótki film, szukają przystojnego chłopca”. Poszedłem na zdjęcia próbne i się dostałem. To się nazywało „Road to Saint Tropez”. Zagrałem żigolaka. Nic takiego, ale nagle na ekranie zobaczyłem swoje zbliżenie na cały ekran. Pojawiły się jakieś dziwne artykuły w stylu „Najpiękniejszy chłopak świata”, a moje zdjęcie ukazało się na okładce magazynu „Films and Filming”. To był rok 1968. Pomyślałem: „A może zostanę aktorem? To wcale nie jest trudne”. I znowu miałem szczęście. Dostałem propozycję zagrania w fabule kręconej w Wiedniu, na czarno-białym taśmie. Potem przyszedł pierwszy kolorowy film. I jakoś poszło.

UDO KIER

a właściwie Udo Kierspe. Urodził się w 1944 r. w Kolonii. Wystąpił w dwóch filmach spółki Andy Warhol – Paul Morrissey, wcielając się w rolę Draculi i Frankenstein. Zagrał również tytułową rolę w „Docteur Jekyll et les femmes” (1981) Waleriana Borowczyka. Wystąpił też w niemal wszystkich filmach Larsa von Triera, a także w teledysku Madonny „Deeper and Deeper” (1992). Od 24 lat mieszka w USA.

Jakoś? Spotkał się pan z Andym Warholem, był pan aktorem Fassbindera, Borowczyka, Gusa van Santa, von Triera, Herzoga.

W aktorskim życiu ważne jest szczęście. Ja je miałem. Nigdy nie szukałem ról. Spotykałem w życiu wspaniałych ludzi. Wielkich artystów. Nigdy nie powiedziałem nikomu: „Chcę z tobą pracować”. Bo reżyserzy nie lubią być stawiani pod ścianą. Oni chcą odkrywać. A nawet ryzykować. Wie pani, jak zaczęła się moja współpraca z Pauliem Morrisseyem? Kiedy leciałem z Rzymu do Monachium, usiadłem obok sympo-



tycznego, brodatego faceta. Zaczęliśmy rozmawiać, spytał, czym się zajmuję. „Jestem aktorem” – odpowiedziałem i pokazałem mu jakieś swoje filmowe zdjęcia. On też się przedstawił. To był reżyser Paul Morrissey, przyjaciel Andy’ego Warhola. Poprosił mnie o numer telefonu i zapisał go sobie na ostatniej stronie paszportu. Trzy tygodnie później zadzwonił z Nowego Jorku: „Mam dla ciebie małą rolę w moim następnym filmie”. Wkrótce potem przyjechał do Monachium. Dziennikarze wiedzieli już, że chce kręcić „Ciało dla Frankenstein”. Pytali, kto będzie grał w filmie. „Udo Kier” – odpowiedział i to wystarczyło: wszyscy się na mnie rzucili, zaczęli prosić o wywiady. Kręciliśmy w Rzymie, to była fantastyczna przygoda, która, jak się okazało, miała trwać dalej. Carlo Ponti, dla którego za śmieszłą sumę 300 tysięcy dolarów powstawał „Frankenstein”, za drugie 300 tysięcy zamówił u Morrisseya kolejny film – „Blood for Dracula”. Kiedy skończyliśmy rzymskie zdjęcia, Morrissey mówi: „Wiesz, będziemy mieli niemieckiego Dracule”. „Kogo?” – zaciekałem się. „Ciebie” – odpowiedział. „Ale musisz schudnąć 10 kilo, bo jesteś silnym chłopem, a nasz Dracula będzie słabeuszem jeżdżącym na wózku inwalidzkim”. Jadłem tylko sałatę i piłem wodę. Osłabłem tak, że ledwo chodziłem. Ale było warto.

Fassbindera poznał pan podobno jako 15-latek.

On miał wtedy 15 lat, ja 16. Spotkaliśmy się w Kolonii, w marnym barze, pełnym kierowców ciężarówek, sekretarek, robotników, prostytutek i transwestytów. Nie znaliśmy się wtedy dobrze, raczej z widzenia. Potem nasze drogi się rozszły. Ja pojechałem do Londynu, on do Monachium. Aż kiedyś zobaczyłem jego zdjęcie w „Sternie”. Z podpisem: „Geniusz i alkoholik”. Pomyślałem, że znam tę twarz. Spotkaliśmy się. Pamiętał mnie z dawnych czasów i zaproponował mi rolę w filmie „Prawo silniejszego”. Odmówiłem, bo temat mi się nie podobał. Ale po jakimś czasie wrócił

do mnie z propozycją zagrania w „Balvieser” i to był nasz pierwszy wspólny film. Kobieta miała wybierać pomiędzy trzema mężczyznami. Ja byłem tym ostatnim. No i zaczęliśmy razem pracować. Zamieszkaliśmy też razem. Przyjaźniliśmy się do końca jego życia. Fassbinder zmarł w 1982 r. W 1980 r. razem zrobiliśmy „Lili Marleen”. On się przy tym strasznie męczył, bo to była – jak na niemieckie stosunki – superprodukcja, więc potem postanowił zrobić bardzo skromny obraz „Lola” z Barbarą Sukovą. Na ekranie pojawiłem się jako statysta, natomiast przygotowywałem do tego filmu plan. I już nie wytrzymałem. Pił na umór, brał kokainę i stopy pigułek nasennych. Nie umiałem do niego dotrzeć. Wyprowadziłem się z jego wielkiego apartamentu. Nie chciałem być świadkiem tego, jak człowiek sam się niszczy i zabija. Niedługo potem rzeczywiście znaleziono go martwego.

Zastanawiam się, dlaczego tak późno trafił pan na plan innego wielkiego niemieckiego artysty, Wernera Herzoga.

Bo było takie niepisane prawo. Ci, co grali u Herzoga, nie grali u Fassbindera, i odwrotnie. To były dwie wielkie indywidualności i przechodzenie od jednego do drugiego byłoby rodzajem zdrady. A może też szpiegowania. Nie, to odpadało. Zagrałem w „Niezwyciężonym” prawie 20 lat po śmierci Rainera. A potem jeszcze spotkaliśmy się przy „My Son, My Son, What Have Ye Done”.

Wśród swoich największych przyjaciół wymienia pan też Larsa von Triera.

Przyjaźń z nim jest jedną z największych wartości mojego życia. Spotkaliśmy się podczas festiwalu filmowego w Mannheim. Pokazywałem tam „The Last Trip to Harrisburg”, on miał w konkursie „Elementy zbrodni”. Obejrzelismy ten film razem z Fassbinderem. Powaliło mnie. Poprosiłem organizatorów, żeby spróbowali umówić mnie z autorem. Pomyślałem, że to geniusz i, zapewne, dziwak. Spodziewałem się kogoś w stylu Fassbindera albo Kubricka.



Nonszalanckiego intelektualisty z zapadniętą klatką piersiową i przetłuszczonymi włosami. A zobaczyłem młodego chłopaka w sweterku. Wypiliśmy kilka piw, załatwiłem mu niemieckiego dystrybutora dla filmu. A po jakimś czasie zadzwonił: „Robię „Medea”. Nie gol się, nie myj włosów i nie kąp się przez trzy tygodnie, a potem przyjedź do Danii”. Tak zrobiłem. I dostałem rolę.

Pracuje pan z von Trierem od ponad 20 lat. Jakie uwagi panu robi? Jaki jest na planie? Mówi pan o nim z wielką przyjaźnią, ale jednocześnie von Trier cierpi na depresję i uchodzi za człowieka trudnego. Björk po „Tańcząc w ciemnościach” kompletnie się na niego obraziła.

Jakieś żarty. Lars jest wielkim artystą i wspinałym człowiekiem. Cier-

pi na depresję, to prawda, ale w czasie zdjęć się spina. A uwagi? Nie są nam potrzebne. Znamy się jak łyse konie, wiemy, czego możemy od siebie oczekiwać. Na początku, właśnie przy „Medei”, przed pierwszym klapssem powiedział mi jedno zdanie: „Pamiętaj, że grasz zmęczonego króla”. Zapamiętałem to. Sprawdzało się w każdym jego następnym filmie.

Do zamieszkania w Stanach podobno namówił pana Gus van Sant.

Spotkaliśmy się na festiwalu w Berlinie. Był wówczas po „Mala Noche”, która podobała mi się do szaleństwa. Zapytał: „Udo, zagrasz w moim nowym filmie?”. Nie przywiązywałem do tego rozmowy wielkiej wagi. Takie tam festiwalowe gadki. Ale wkrótce potem Gus

Grywa pan tam również w filmach, których Fassbinder nigdy by nie zaakceptował.

Krytycy zżymają się na kino popularne, ale dla aktora to także jest przygoda. Filmy o wampirach, „Armageddon” czy „Żyleta”, są fantastyczną zabawą. A poza tym aktor też musi płacić rachunki. Dzisiaj mam dwie drogi: interesuje mnie kino artystyczne albo duża kasa. Ale nawet w superprodukcjach przy wielkich budżetach staram się być jak najlepszy.

Polubił pan Amerykę?

Bardzo. Najpierw miałem mieszkanie w Los Angeles, potem kupiłem tam rezydencję, a wreszcie pojechałem do Palm Springs, gdzie mam dom, w którym kiedyś mieściła się biblioteka. Świetnie się tam czują moje psy. Jeden z nich to pitbul Greta Garbo, a drugi nazywa się Blue, bo ma niebieskie oczy. Mieszkamy w Palm Springs razem z moim przyjacielem, który się zajmuje wszystkimi przyziemnymi sprawami. A teraz jeszcze kupiłem ranczo i konia Maksa.

Nie tęskni pan za Europą?

Wracam na Stary Kontynent często, żeby grać w europejskich filmach. Ale na stałe już się tu nie przeprowadzę. To prawda, czasem czuję się, jakbym siedział na dwóch krzesłach. Nagle dopada mnie tęsknota za krajem rodzinnym. Jadę do Niemiec, spotykam się z przyjaciółmi i łapię się na tym, że rozmawiamy tylko o przeszłości. I zaczynam myśleć o domu w Ameryce. Cierpię na klasyczną chorobę emigrantów, nigdzie nie jestem u siebie. Pocieszam się tym, że zawsze mogę wsiąść w samolot i po kilkunastogodzinnym locie znaleźć się na innym kontynencie.

Co dziś jest dla pana najważniejsze?

Czas. Mam 68 lat i wiem, że za 12 lat będę bardzo stary. Osiemdziesięcioletni człowiek wolno chodzi, wolno myśli, nie na wszystko ma siłę. Dlatego teraz chcę czerpać z życia przyjemności. Staram się wracać jak najczęściej na ranczo. Uwielbiam hodować drzewa. W Palm Springs mam 11 palm, a na ranczu 14.

Miałbym iść do łóżka z Riverem Phoenixem i Keanu Reevesem? Cholera, nie. Chciałem odmówić. Ale moi niemieccy przyjaciele pukali się w czoło: „Człowieku, to dwie najgorętsze młode gwiazdy Hollywoodu”.

Nie ma niczego piękniejszego niż życie wśród przyrody. Patrę na motyle, na króliki, które obgryzają pnie palm, i czuję się szczęśliwy.

To koniec z pracą?

Nie. W lipcu będę grał w filmie w Budapeszcie, odkryłem też dla siebie dubbing. Uwielbiam to. Dałem głos w filmach o Scooby-Doo, Batmanie, czasem jestem jakimś stworkiem, czasem żabą. Nie muszę się golić, ubierać, charakteryzować. Pożyczam tylko głos. Poza tym kocham pracować z młodymi reżyserami, aktorami. Oni mają ogromną energię i jej część przechodzi na mnie. Jestem trochę jak wampir.

Kiedyś usłyszałam podobne zdanie od Andrzeja Wajdy.

Och, Wajda. Mam zawsze w głowie obraz z jego filmu „Brzeziny”. Daniel

STACH SZABLÓWSKI

Znikająca dziewczyna

Trzeba być wyciosanym z nieheblowanego drewna, żeby nie zdrzeć na wystawie **Anety Grzeszykowskiej**. Kto jednak ma ciało, a do tego duszę, ten zdrzy – i to nawet w trójnasób.

Pierwsze drżenie jest z lęku przed upływającym czasem, ciemnością i nicistnieniem, który jest bohaterem tej wystawy – oczywiście niewidzialnym. Drugie drżenie wywołują wizerunki, które w sztuce Grzeszykowskiej nie są po prostu obrazami, lecz widmami. Trzecie drżenie jest z przyjemności. To ta trwożna przyjemność, którą przeżywamy, oglądając horrory i zderzając się z tym, co niesamowite. To także przyjemność obcowania ze spełnionymi pracami wybitnej artystki, która potrafi robić rzeczy niezwykle i jest w zenicie twórczych sił.

Ja – powielone i śmiertelne

Aneta Grzeszykowska wystawia na świecie od Polski po Los Angeles, jej prace trafiają do najlepszych międzynarodowych kolekcji (kupił je m.in. nowojorski Guggenheim). Oczekiwanie wobec takiej artystki są wyśrubowane, ale wystawa w Zachęcie spełnia je i tak z nawiązką. Grzeszykowska pożyczca tytuł tego pokazu od Schuberta, z jego napisanej w 1817 r. pieśni „Śmierć i dziewczyna”. W tym tytule jest głęboki ukłon w stronę romantyzmu i są dwie postaci. Dziewczyna to oczywiście Grzeszykowska; na wystawie jest jej pełno. W filmach i fotografiach artystki oglądamy kilkadziesiąt, ba kilkadziesiąt Anet – jej wizerunki mnożą się, powielają, rozpadają na kawałki i powracają jako widma. A Śmierć? Cóż, ona również ma twarz Anety Grzeszykowskiej; to jeden z niepokojących tropów tej wystawy, przygotowanej przez artystkę, która doszła do mistrzostwa



ANETA GRZESZYKOWSKA

(ur. 1974). Zajmuje się fotografią, tworzy obiekty, filmy wideo i do-kamerowe performances. Od 1999 roku realizuje projekty w duecie z Janem Smagą. Od roku 2005 równolegle pracuje nad indywidualnymi przedsięwzięciami artystycznymi. W swojej praktyce sięga po różne media, od animacji poklatkowej po szyte z włóczki lalki, najważniejszym punktem odniesienia pozostaje jednak w jej twórczości fotografia. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Aneta Grzeszykowska, „Śmierć i dziewczyna”, Zachęta, Warszawa, 13.04-2.06. www.zacheta.art.pl

w nurkowaniu w mrok, a także w stawianiu w dwuznacznym świetle (a właściwie w półmroku) pojęcia tożsamości. Grzeszykowska kieruje obiektyw aparatów na siebie i mówi „ja”, ale w jej sztuce „ja” to czasem tylko obraz, a czasem wręcz zupełnie ktoś inny. Jeszcze kiedy indziej „ja” to ktoś, kogo być może nigdy nie było, kto teraz znika i kogo na pewno w przyszłości nie będzie.

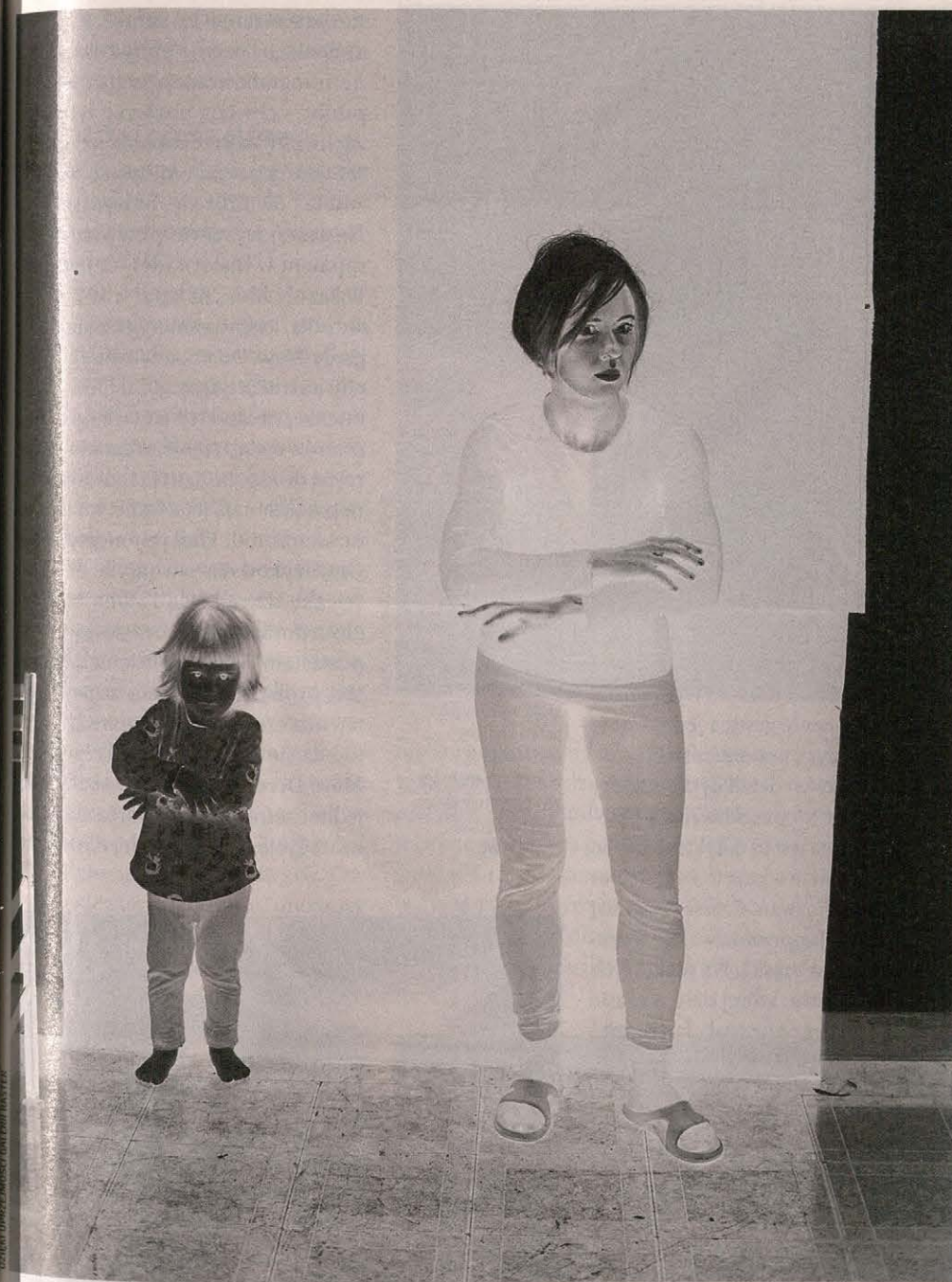
Ciało mierzy czas, portret pochłania duszę

Czas na wystawie „Śmierć i dziewczyna” odmierza zegar zrobiony z Anet Grzeszykowskich. Oglądamy ten niezwykle chronometr na wideo; film trwa 12 godzin i jest ściśle zsynchronizowany z czasem rzeczywistym. W czarnej pustce zawieszono są zwielokrotnione postaci nagiej artystki. Można powiedzieć, że tańczą; Grzeszykowska jest niezwykle biegła w kreowaniu obrazów, ale także nieprzeciętnie sprawna fizycznie. Ma za sobą trening baletowy, potrafi zmusić ciało do ekstremalnych wyczynów i wykonywane to w pracach. Anety z pracy „Zegar” tańczą, ale jest to balet mechaniczny; ich ruchy są ściśle ze sobą zsynchronizowane, nagie ciała pełnią rolę trybów, sprężyn, wskazówek i cyfr tego ludzkiego czasomierza. Czy jednak na pewno ludzkiego? Pomnożone Anety przestają być Anetami; to tylko ciała bez tożsamości, ciało zaś jest maszyną – wprawioną w ruch lalką, odmierzającą czas osoby, na wzór której została stworzona. Grzeszykowska

tworzy zresztą lalki nie tylko w sensie metaforycznym, ale najzupełniej dosłownie. Nie ma ich na wystawie, ale kiedy raz się widziało te lalki, trudno je zapomnieć. W pamięć zapadają szczególnie trzy figury, które artystka zrobiła w 2008 r. – uszyte z czarnej wełny, wypchane fizeleiną kukły dzieci. Każda z nich to wizerunek Grzeszykowskiej z czasów dzieciństwa; począwszy od „Anety 1977”, która przedstawia artystkę w wieku trzech lat, przez „Anetę 1982” po „Anetę 1985” – dziecko zmieniające się w podlotka. Formalnie rzecz biorąc, to autoportrety, ale wyglądają raczej jak powracające z przeszłości zjawy; czarne, niemal pozbawione twarzy, niedokończone twory mogłyby służyć jako fetysze w jakimś prywatnym rytuale egzorcyzmowania pamięci. Oczywiście jak każda kukła i te są martwe, a jednak ożywiane dwuznacznym związkiem z osobą z krwi i kości – ich autorką. Nie bez powodu Indianie bali się, że fotograf, robiąc im zdjęcie, weźmie sobie nie tylko wizerunek, ale i duszę sfotografowanego. Rzeczy, które nas przedstawiają – zdjęcia, lalki – nie są ożywione nami, a jednak przetrzymują jakąś część naszej tożsamości. Kim lub czym są? To jedno z kluczowych pytań w twórczości Grzeszykowskiej.

Antystriptiz i bomba w ustach

Umieszczony na początku wystawy „Zegar” zrobiony z nagich Anet tyka – jesteśmy teraz w czasoprzestrzeni, której parametry dyktuje artystka. Czas jest rzeczywisty, przestrzeń ab-



trakcyjna; wypełnia ją czarna pustka. Zanim zobaczymy najnowsze prace Grzeszykowskiej, musimy zagłębić się w ciemności. Artystka rozsuwa je w trzech filmach, które zrealizowała w latach 2007–2010. Wszystkie wytykają się gatunkowym podziałom; są oparte na tańcu i poklatkowych animacjach, każdy z nich jest także zapisem performance'u, ale wykonanego nie

tylko przed obiektywem kamery, lecz także przed obiektywem wyobraźni. Łączy je czerń, która jest zarazem tytułem pierwszego filmu. „Black” z 2007 r. to podróż w mrok podświadomości. Naga artystka wykonuje antystriptiz, „ubiera się” w ciemność, znika i pojawia się po drugiej stronie nocy, w czarnym świecie, w którym nie obowiązują prawa grawitacji i można

W nowym cyklu „Negative book” artystka jest widmem, które nawiedza odwrócony, negatywowy świat.

latać od jednego wyobrażenia do drugiego. Ta podróż poszyta jest lękiem przed roztopieniem się w czerni, zniknięciem – kończy się jednak rozmnożeniem Anet, które tańczą „balet mechaniczny” w pustce rozgwieżdżonego kosmosu.

W filmie „Ból głowy” Grzeszykowska wkłada sobie do ust bombę. Następuje eksplozja, ciało artystki rozpada się na kawałki. Każdy z nich żyje własnym życiem, nogi i ręce błądzą w czarnej pustce, dopóki nie znajdą głowy. Można by się spodziewać, że osadzą ją na właściwym miejscu i odbudują osobę, ale nic z tego. Ręce i nogi buntują się przeciw głowie, dręczą i biją ją, wreszcie obalają jej władzę nad ciałem. Na końcu rozbita postać artystki scala się powtórnie, jest to jednak figura monstrualna – ma ręce zamiast nóg i nogi zamiast rąk. To anatomiczna anarchia, działająca już nie pod dyktando świadomości, lecz ciała, które wymknęło się spod kontroli rozumu.

Cykl czarnych filmów zamyka „Bolimorfia”; obraz pomnożonych Anet, które tańczą w ciemnej próżni do „Bolera” Ravela, na które nałożony jest inny utwór muzyczny – „Polimorfia” Krzysztofa Pendereckiego. W finale tego osobliwego baletu, wykonywanego w rytm dwóch utworów odtwarzanych naraz, wizerunki Anety układają się w ludzką postać, ciało zbudowane z wielu ciał, niczym na manierystycznych obrazach Arcimbolda.

Wybielona z negatywu

Grzeszykowska filmy pokazuje w ciemności; nowe prace – cykl „Negative book” – wystawia w półmroku. To kilkadziesiąt niewielkich, czarno-białych fotografii; zanim rozpoznamy, co jest na nich przedstawione, trzeba przez chwilę przyzwyczaić oczy do małej ilości światła w sali wystawowej. Dłużej trwa osvajanie się z osobliwym wrażeniem, jakie robią te zdjęcia. Wszystkie przedstawiają świat w negatywie. Słońce jest czarne, niebo ciemne, światło jest mrokiem, cienie świecą. Odwrócone jest wszystko – z wyjąt-



DZIEKI UPRZEJMOSCI GALERII RASTER

kiem jednego elementu: postaci Anety Grzeszykowskiej. Wizerunek artystki pojawia się na każdej z negatywowych fotografii i zawsze ukazuje się w pozytywie – tak jakby autorka była jedyną osobą, której nie obowiązują reguły stworzonego przez nią samą negatywowego świata.

Zwyczajne tematy, niezwykły efekt

To zdjęcia podszyte nieuchwytną grozą; nie rozwiewa jej fakt, że wszystkie fotografie przedstawiają powszednie sytuacje. Artystka przy kuchni, przygotowująca posiłek, śpiąca, idąca korytarzem w amerykańskim motelu, kąpiąca się w morzu, pozująca z krewnymi do rodzinnego zdjęcia, obserwująca dzieci bawiące się na karuzeli... Niewinne tematy tych zdjęć paradoksalnie potęgują jeszcze wrażenie niesamowitości – i jest to niesamowitość w klasycznym freudowskim sensie tego słowa, owo Unheimliche, którym ojciec psychoanalizy opisywał te momenty, w których to, co zwykle, jawi się nagle jako obce i niepokojące. Co robi ta pozytywowa postać w negatywowym świecie? Jest jedyną prawdziwą osobą w krainie widm czy przeciwnie – widmem nawiedzającym obrazy codzienności?

Do wielu zdjęć artystka pozowała z córką; matka i dziecko wymieniają między sobą czułe gesty, a jednak obie istnieją w różnych przestrzeniach; pozytyw od negatywu dzieli dystans, który zmienia się w nieprzekraczalną przepaść; pieszczota jest tu dotykiem ducha. Bliskie plany demaskują to widmo; pokryta makijażem twarz Grzeszykowskiej tylko wygląda jak prawdziwa, ale w rzeczywistości jest maską. Na niektórych zdjęciach artystka, której ciało w czasie sesji zdjęciowej pokrywała farba, robi wrażenie dzieła malarza – figury wmalowanej w rzeczywisty świat i we własne życie. Grzeszykowska widnieje na każdym zdjęciu, ale jednocześnie do żadnego nie należy, tylko je nawiedza.

Romantyczny surrealizm

„Negative book” to sztuka oparta na sztuczce. – Wystarczy z powrotem zrobić z tych zdjęć pozytyw i czar prysnie – mówi Aneta. Zostanie zwykły, banalny kadr i tkwiąca w nim dziwnie pomalowana dziewczyna. Grzeszykowska nie ukrywa swoich sztuczek. Sztuka jest manipulacją, oszustwem, w które wierzymy tylko dlatego, że chcemy. To oszustwo nie jest jednak kłamstwem ani błądą – w każdym razie nie w wypadku Grzeszykowskiej.

Dla Grzeszykowskiej fotografia polega na przyjmowaniu niemożliwych punktów widzenia; to także spojrzenie na siebie samą jak na kogoś zupełnie obcego.

Za fotograficznymi i filmowymi obrazami stoją wykonywane przed kamerą performance, w których artystka wykorzystuje ciało jako narzędzie i tworzywo.



Rozpracowanie jej sztuczek nie zmienia; jej czarne filmy i dwuznaczne fotografie trafiają widza w czuły punkt – chwieją pozornie tylko niezachwianym przekonaniem o rzeczywistości własnego „Ja”. W tytule wystawy Aneta odwołuje się do romantyzmu. Na samej wystawie przywołuje inny moment w historii idei – surrealizm. Pokazuje film „At land” z 1944 r. Jego autorka, legenda amerykańskiej awangardy Maya Deren, odcinała się od ruchu surrealistycznego, ale nie od jego ducha. „At land” to fantasmagoryczna podróż w głąb siebie, wyprawa, w której na drodze bohaterki i autorki w jednej osobie stają jej własne, rozmnożone wizerunki. Film jest niemy; Aneta Grzeszykowska stworzyła do niego ścieżkę dźwiękową i sama użyczyła głosu poruszającym bezgłośnie ustami postaciom. Udźwiękowanie „At land” jest próbą rozwiązania zagadki tego tajemniczego filmu – szarady, której nie da się rozszyfrować. Przywołując Mayę Deren, Grzeszykowska wpisuje jednocześnie własną twórczość w pewną tradycję. Należy do niej zarówno ro-

mantyzm, jak i surrealizm; to tradycja poszukiwania tego, co w egzystencji nieuchwytnie i nienazwane.

Złoty ptaka i czarna plama

Wtę „Nagative book” majaczy, niczym kolejne widmo, wspomnienie innej pracy Grzeszykowskiej, „Albumu”. Zanim stworzyła go w 2005 r., realizowała wspólne projekty ze swoim partnerem Janem Smagą. Artyści pracują razem od ukończenia warszawskiej ASP w 1999 r. Ich wspólnym dziełem był m.in. słynny „Plan”, cykl fotografii przedstawiających wnętrza mieszkań, pokazanych z lotu ptaka, tak jakby ktoś zjechał na chwilę sufit i zrobił z góry migawkową fotę. Były to zdjęcia wykonane z niemożliwego, bo nieistniejącego, punktu widzenia. Zakulisowa wiedza podpowiadająca, że za tym niezwykłym efektem nie stoi magia, lecz precyzyjny plan i chińska robota żmudny montaż dziesiątków ujęć wykonanych spod sufitu), nie osłabiała wywołanego przez prace wrażenia. „Plan” przedstawiał świat z perspektywy wszechwidzącego oka, którym był oczywiście aparat fotograficzny. Ów wszechwidzący obserwator, unoszący się nad mieszkaniem warszawskich znajomych pary artystów, był zarazem pierwszym widmem, w wywołaniu którego wzięła udział Grzeszykowska.

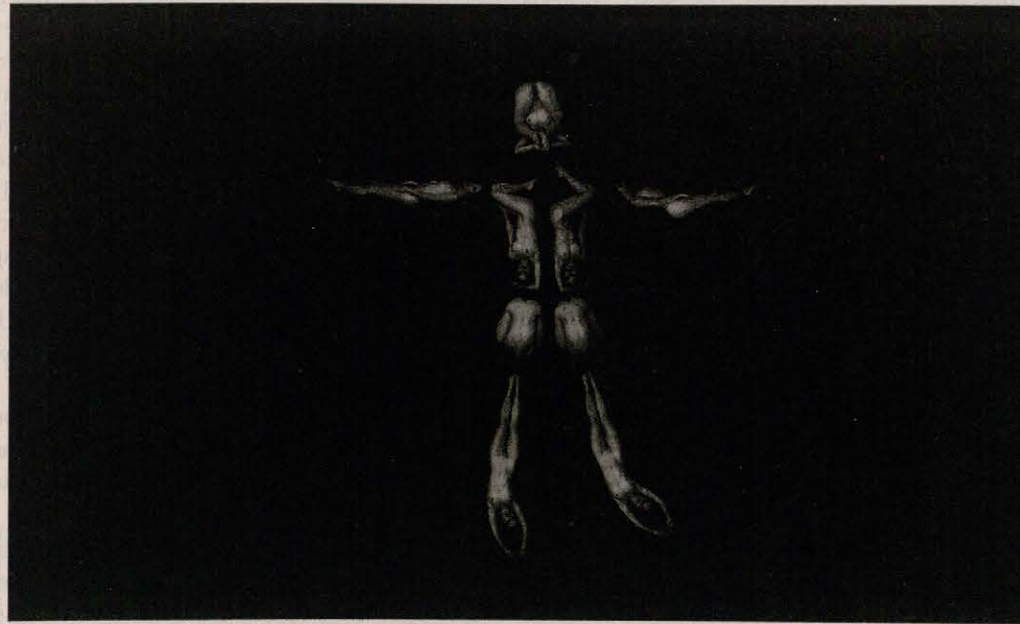
Wraz z „Albumem” artystka rozpoczęła solową działalność, prowadzoną równoległe do wspólnych przedsięwzięć z Jankiem Smagą. „Album” rzeczywiście był albumem; księgą ułożoną z rodzinnych zdjęć z prywatnego archiwum. W fotografiach zapisana była historia jej życia, od narodzin aż do połowę lat 2000 – tyle że historia rozgrywała się bez głównej bohaterki. Grzeszykowska pieczołowicie wyznaczała swój wizerunek ze zdjęć dokumentujących jej biografię – i starannie zamaskowała ślady manipulacji. Tam, gdzie na pstrykniętej przez rodziców fotce była mała Aneta w wózku, pozostał pusty wózek. Na zdjęciu klasowym z podstawówki brakowało jednej dziewczynki (ale w którym miejscu?, to już



DZIEKI UPRZEJMOSCI GALERII RASTER

niełatwo było stwierdzić). W niektórych wypadkach nieobecność bohaterki rzucała się w oczy: pocałunek matki, który miał być złożony na policzku Anety, zawisał w pustce. Ojciec artystki wykonywał gest, jakby trzymał za rękę dziecko, choć nikogo obok niego nie było. Zniknięcia Anety najbardziej dosadne były

Znikanie i nieistnienie to tematy obsesyjnie powracające w twórczości Grzeszykowskiej. Poniżej: w finale filmu „Bolimorfia” powielone wizerunki artystki układają się w ludzką postać.



DZIEKI UPRZEJMOSCI GALERII RASTER

jednak tam, gdzie jej nieobecność nie rzucała się w oczy; na niczym niewyróżniających się fotografiach, którym z pozoru niczego nie brakowało – tak jakby artystka nigdy nie istniała.

Triumf wizerunku i kruchość bytu

Rozpoczęcie samodzielnej kariery od wymazania siebie z pamiątkowych zdjęć to rodzaj manifestu rozpoczynającego grę z wizerunkiem i jego tożsamością, partię szachów między obrazami i osobami, które przedstawiają. Częścią tej gry był cykl bez tytułu z 2006 r., realistyczna seria zdjęć przedstawiających ludzi, którzy nigdy nie istnieli. Jej częścią jest także „Negative book”, który, jak to negatyw, jest swego rodzaju odwrotnością reguł rządzących „Albumem”. W projekcie z 2005 r. Grzeszykowska zniknęła ze zdjęć, teraz się na nich pojawia – ale trudno rozstrzygnąć, w którym cyklu jest bardziej nieobecna. I jeżeli sztuka Anety jest grą między osobą a jej wizerunkami, to wyznik rozgrywki wydaje się przesadzony. Wizerunki są górą; istnieją, nawet jeżeli widniejących na nich osób nie było, nie ma lub za chwilę nie będzie. Ta kruchość bytu budzi niepokój, a nawet lęk, którym podszyta jest twórczość autorki „Negative book”.

BARTOSIAK & KLINKE

Sztuka erotycznej ekstazy

Muszę wam powiedzieć, że gdyby „Przekrój” był dalej na pożółkłym, paskudnym papierze, to kochałbym go bardziej. Po raz ostatni widziałem się z Marianem Eilem i jego żoną w Paryżu. Znałem też wszystkich, którzy rysowali na ostatniej stronie – Eryka Lipińskiego, Otkę Axera, Lengrena – mówi malarz i rzeźbiarz Witold Kaczanowski.

Ty też szkicowałeś. Chociażby ilustrowałś opowiadania Dygata. Ale chyba nigdy nie były to obrazki satyryczne.

Narysowałem sporo surrealistycznych szkiców, ale wszystkie powędrowały do szuflady. Zrobiłem też serię śmiesznych rysunków, na których faceci na różne sposoby próbują podnieść sztangę. Zdziwiająco wiele aspektów życia można skomentować w ten sposób.

A czy mógłbyś jakoś skomentować rysunkiem naszą rozmowę?

Trzy ludziki siedzące przy stole i pijące wino? To mogłoby być zbyt nowatorskie (śmiech).

W takim razie przejdźmy do klasyki. Właśnie otwiera się twoja retrospektywna wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym...

Bez szaleństw. To skromna, mała wystawa. Raptem kilkadziesiąt obrazków.

Słyszeliśmy co innego, ale nie będziemy się spierać. Zamiast tego życzymy ci szczęścia, bo do tej pory wszystkie twoje duże wystawy kończyły się bardzo pechowo.

5 maja 1968 r. w Paryżu na wystawie w galerii La Pochade byli wszyscy – Michel Piccoli, Jean Simon, Juliette Gréco... Właściciel galerii cieszył się, że przy każdym obrazie jest czerwona kropka. Prawie wszystkie były już zarezerwowane.

Wielki sukces! Ale co z tego. Akurat tego dnia zaczęły się studenckie zamieszki. Samochody płonęły na ulicach. Minister sprawiedliwości Louise Joxe, który również był gościem wystawy, przez telefon wydawał rozkazy policji. Goście szybko się ulotnili. Oczywiście nikt nie zgłosił się po zamówione obrazy.

Co się z nimi stało?

Wyjechałem do Ameryki. W Europie nie byłem przez następnych osiem lat. Kiedy przyleciałem w końcu do Paryża, właściciel galerii La Pochade umierał na raka. Nie miałem serca, aby domagać się pieniędzy. Niektóre z tamtych obrazów można zobaczyć w filmie na podstawie książki Françoise Sagan „La Chamade” („Zawirowania serca” – przyp. red.) z Michele Piccolim i Catherine Deneuve. To był pomysł Françoise, żeby w filmie zrobić moją wystawę. Zaprzyjaźniłem się z nią kiedyś na plaży w Saint-Tropez. Zrobiła mi wielką niespodziankę.

My też mamy dla ciebie niespodziankę. Zapraszamy na krótką projekcję „La Chamade”... (oglądając swoje obrazy na ekranie komputera) Ten obraz zaginał bez wieści... A ten udało mi się po latach odkupić. O! A tę płaskorzeźbę kupił kochanek Brigitte Bardot – piosenkarz Sacha

Distel. Sprzedała mu ją moja ówczesna dziewczyna Krysia Konarska, zdaniem telewidzów najpiękniejsza polska wokalistka. Po tym jak wyjechałem, Krysia mieszkała w mojej paryskiej pracowni na Rue Tholoze. Musiała z czegoś żyć, więc nie mam pretensji. Żal mi rzeźby, nie pieniędzy. Z Ameryki nie mogłem kontrolować swoich interesów we Francji.

Życzymy ci, żeby pech wreszcie ci opuścił.

Dziękuję, ale pamiętajcie, że muzeum może spłonąć, a ja mogę nagle zachorować na AIDS – nie takie rzeczy widział świat. Całkiem niedawno, bo w 2007 r., tuż po otwarciu mojej dużej wystawy w domu aukcyjnym Sotheby's w Amsterdamie, nagle na łeb na szyję spadły indeksy giełdowe i wszyscy wystraszyli się kryzysu. W takich sytuacjach sztuka się nie sprzedaje. Zainwestowałem w przygotowania do tej wystawy 180 tys. dolarów. Owszem, kilka obrazów znalazło kupców. Ale było ich za mało.

Oficjalne otwarcie twojej galerii w Los Angeles zbiegło się natomiast z atakiem bandy Charlesa Mansona na dom Romana Polańskiego.

To straszna historia. Byłem pierwszym świadkiem w śledztwie. Potworne wspomnienia. Zostawmy to...



WITOLD KACZANOWSKI
(WITOLD-K), rocznik 1932. Absolwent warszawskiej ASP. Malarz, grafik, rzeźbiarz i fotograf. Ma na koncie wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. we Francji (gdzie mieszkał w latach 1964–1968) i Stanach Zjednoczonych (gdzie przeprowadził się w 1968 r.).

Polański jest podobno wielbicielem twojej sztuki.

O to musicie zapytać Romka, który kupił moje dwie prace. Po otwarciu drzwi do jego mieszkania pierwsze, co widać, to mój obrazek. Kiedy to zobaczyłem, wypaliłem: „Pewnie wieszasz go zawsze pół godziny przed moim przyjściem”. Wziął to na serio i strasznie się oburzył. Musiałem go przekonywać, że tylko żartowałem.

Jeden z obrazów na twojej wystawie ma sygnaturę Picassa. To twój portret. Do mistrza zaprowadził cię francuski poeta Jacques Prevert.

Przyjaźniłem się z wieloma pisarzami. Oni i muzycy to z pewnością lepsi kompani niż malarze. Z tymi ostatnimi nie ma o czym rozmawiać (śmiech). A w takie szachy można grać tylko z pisarzami. Na przykład z Gombrowiczem. Byłem kiedyś u niego w Vence. Zabrał mnie do niego poeta Georges Charaire. Gombrowicz zapytał, czy gram w szachy. Odpowiedziałem, że ojciec trochę mnie uczył. Gospodarz agresywnym tonem odparł, że nie istnieje granie w szachy „trochę” (śmiech). Zaprosił mnie do gry i dyktował swoje ruchy, nie patrząc na szachownicę. Z drugiego pokąju. Ograł mnie w okamgnieniu.

Wróćmy do Picassa. W jakich okolicznościach powstał twój portret?

Przede wszystkim nie wiedziałem, że do niego jadę. Jacques porwał mnie wieczorem, kiedy akurat szykowałem się na plażę. W Antibes życie na plaży zaczynało się wieczorem, a kończyło o trzeciej nad ranem. O niczym nie poinformowawszy, Jacques zabrał mnie do swojego przyjaciela na kolację. Picasso spytał Preverta, czy mam na imię „Witold”. Na co tamten odpowiedział, że tak, ale przez „W”. Pablo się zdziwił i jednym poścignięciem pędzla narysował w moim bloku do rysunków „W”. Potem obrócił go do góry nogami i z „W” zrobiła się szyja. Resztę portretu dokończył błyskawicznie. Siedzieliśmy wtedy z Jacques'em w kuchni przy stole i jedliśmy flądry.



KUBA DĄBROWSKI

Podobasz się sobie na tym portrecie?

Picasso strasznie wydłużył mi nos i zrobił ze mnie wariata. Prevert powiedział: „Jego ojciec jest psychiatrą. A syn to jego najgorszy pacjent. Przypadek nieuleczalny”. Prevert oczywiście nie znał mojego ojca. Wszystko wymyślił. Ale i tak gdyby nie mój blok, to pewnie nic by z tego nie wyszło. Wszędzie z nim chodziłem, nawet na plażę. Jak się przyjrzyście niektórym moim obrazom, to zobaczycie postacie od tyłu w wodzie, czasem jest ich tylko połowa... Ale i tak największe wrażenie mój blok robił na dziewczynach. Na przykład na dwóch Szwedkach, z którymi skończyłem w łóżku. Ta ładniejsza po prostu nie chciała się nigdzie ruszać bez koleżanki (śmiech). A tak naprawdę to obydwie były śliczne i to był ich pomysł.

Czy malowanie farbami na płótnie to dzisiaj wstyd?

Takie czasy. Dyrektorzy wielu muzeów nie chcą organizować wystaw malarstwa. Wolą happeningi. Nikt tych happeningów nie rozumie, a więc z pewnością ukrywają głębokie przesłania... To oczywiście bullshit. Na świecie mamy inżynierię, medycynę, stolarkę, burdele, ale mamy również sztukę. A ta jest od tego, żeby było pięknie. 90 proc. happeningów nie wyróżnia się ani pięknem, ani talentem. A nie ma nic gorszego od „nowatorów” bez talentu. Choć paradoksalnie są oni potrzebni, bo torują drogę, niczym prymitywy z maczetami, wycinający dróżki w dżungli dla prawdziwego talentu.

Kim są nowatorzy z talentem?

To ludzie odkrywający nowy język i nową formę, a do tego mający coś do powiedzenia. Dziś być artystą jest zdecydowanie łatwiej. Czasem wystarczy zapalić jointa, wciągnąć kokę i znać się trochę na grafice komputerowej. Wtedy nikt nie podskoczy (śmiech). Ale po latach fusy i tak opadają na dno, a na wierzchu pozostaje prawdziwa, piękna, często nowatorska sztuka.

Ciekawi nas, jakbyś malował, gdybyś dzisiaj studiował na ASP.

Nie wiem, ale jednego jestem absolutnie pewien: nie mógłbym się na niczym skupić. Liczba pięknych nóg poruszających się po warszawskim Nowym Świecie albo Floriańskiej w Krakowie jest zatrważająca. Nigdy w życiu i nigdzie na świecie nie widziałem takiej koncentracji wspaniałych łydek i ich cudownych właścicielek, mających tak wazującą kibić. Obawiam się, że dzisiaj jako student nie miałbym czasu na malowanie.

Na twoich obrazach jest więcej kobiet czy mężczyzn?

Nigdy nie rozbierałem moich postaci i nie sprawdzałem ich seksu. Nie mam pojęcia. Idę swoją dróżką. Z podniesioną głową. Niespiesznie.

Podobnie jak Bruegel. Krytycy cię do niego porównują.

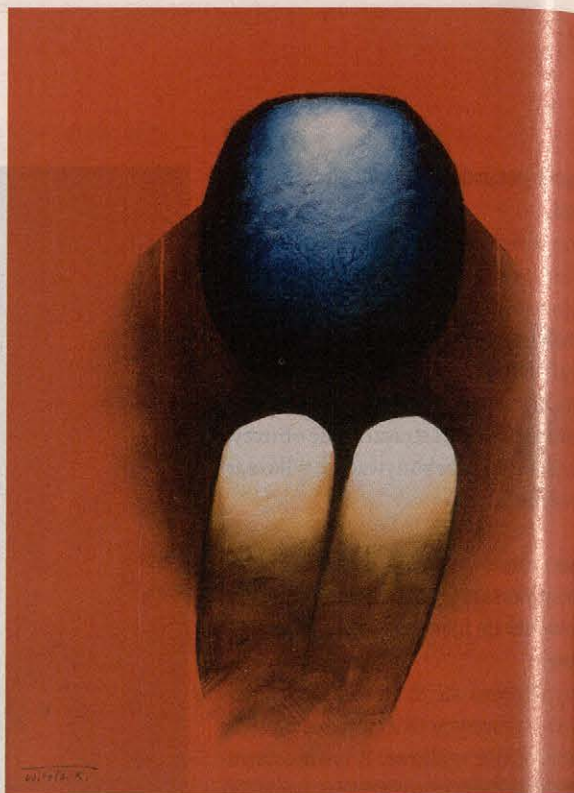
Nie słyszałem takich porównań, ale przyznaję się do miłości do Bruegela Starszego, czyli Pietera. Ale także do Tadeusza Makowskiego i Henry’ego Moore’a. Najbardziej ze wszystkich kocham jednak Vermeera. Jego kompozycje to chwile uchwycone w ułamku sekundy. Wyglądają, jakby używał aparatu – niesamowita spontaniczność decyzji i niezwykła skrupulatność w realizacji.

Ty również nie rozstajesz się z aparatem.

Całe życie wędrowałem z aparatem przez świat, robiłem setki zdjęć. Mam ich potworne ilości. Zresztą moja sztuka karmi się fotografią, a fotografia moja sztuką. Chciałbym kiedyś pokazać ludziom te zdjęcia. Póki żyję. Potem będzie za późno (śmiech). Na razie jednak pokazuję obrazy. Te, które można oglądać w Krakowie, to zbiór podarowany muzeum przez moją rodzinę: była żona Laurie i naszego syna Wita.

Podobno ty także jesteś Witem...

Moja mama kochała Wita Stwosza i chciała, żebym miał po nim imię. Była



chora na gruźlicę. Ryzykowała życie, żeby mnie urodzić. Niestety, okazało się, że był to dla niej za duży wysiłek. Po 14 miesiącach zmarła. Jako dorosły facet zmieniłem imię na Witold. W sytuacji zorientowała się jednak moja żona, Laurie, która stwierdziła, że zdradziłem matkę. Aby zadośćuczynić mojej mamie, postanowiliśmy naszemu synowi dać na imię Wit. Tak więc ja jestem Wit-old, a on Wit-young (śmiech).

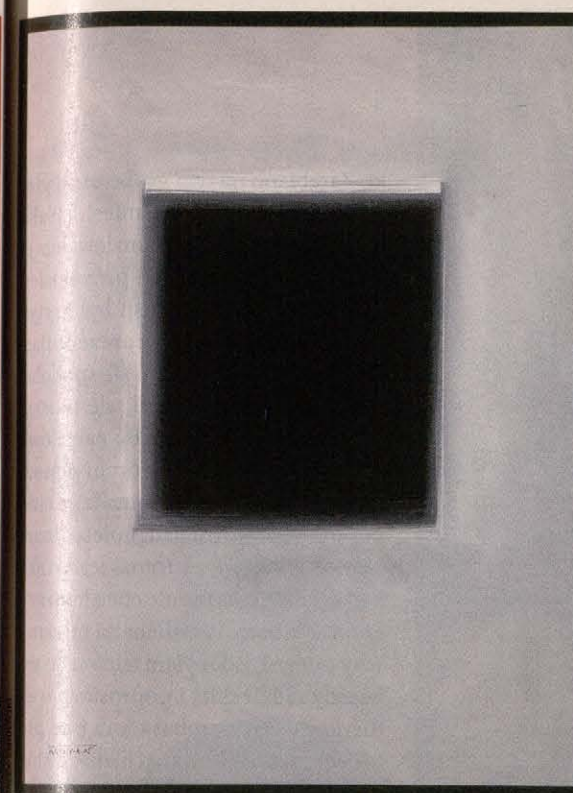
Oficjalnie zmieniłeś imię na Witold?

W Ameryce tak. Pokażę wam polski i amerykański paszport, bo to bardzo śmieszne. W Polsce jestem Witem Leszkiem Kaczanowskim. A w Stanach...

Witoldem Ostoją de Kaczanowskim?

Żeby się przeciwstawić komunistycznej gawiedzi, na złość władzom postanowiłem przypomnieć herb dziadka Kazimierza Kaczanowskiego, posła na Sejm w dwudziestolecie międzywojennym. U bolszewików za takie numery można było skończyć na Łubiance...

My dzisiaj skończyliśmy w reinkarnacji kultowej w latach 60. i 70. warszawskiej restauracji Kameralna przy Foksal.



Bardzo wam za to dziękuję, ale niestety dzisiejsza Kameralna w niczym nie przypomina tej sprzed lat. Po pierwsze, jest w innym miejscu. A po drugie, w Kameralnej sprzed lat serwetki były płócienne. W socjalizmie! A dziś, jak wi-

dę, w dobie kapitalizmu, są papierowe. Do poprawki! (Śmiech) Pamiętam tutaj, rzadko przez nas używane. Szkoda nam było forsę na jedzenie. Dzięki wam mam teraz w głowie widok dawnej „dziennej” Kameralnej... Wchodzę i na wprost widzę podłużną restaurację – 20 stolików, nie więcej. A po prawej stronie okrągły bar. Widzę plecy ludzi, po których rozpoznałem natychmiast znajomych i przyjaciół. Jak zwykle siedzą tam Andrzej Roman, Mikołaj Stanilewicz, Romek Cieślęwicz, Tadeusz Babicz, Janek Młodożeniec, Marek Hłasko...

Tego ostatniego uwieczniłeś na bardzo smutnym, przejmującym portrecie.

Ale on wtedy, w 1964 r., wyglądał bardzo dobrze. Pod koniec życia jednak był już

autoportret, byłby jeszcze gorszy”... Oj, spędziłem w Kameralnej wiele czasu. To właśnie stąd nad ranem wyszedł pijany Himilbsbach, spojrzawszy na robotników kładących przy Foksal bruk i oświadczył: „No, patrz, kurwa, nowe drogi robią, a nie ma dokąd pójść”. Facet był niesamowity, miał genialne przemyślenia na każdą okazję.

Ty swoje przemyślenia podobno notujesz.

Żeby nie zapomnieć. Na przykład już dawno doszło do mnie, że jak dobrze maluję, to mi wszystko rośnie. W takich momentach dobrze jest mieć kogoś bliskiego pod ręką (śmiech). W ogóle okresem twórczego uniesienia z reguły towarzyszy erotyczna ekscytacja. Wszelkie gadanie jest wówczas niepotrzebne. Najgorszy w życiu artysty jest okres twórczej impotencji. Jak dotąd jednak bardzo rzadko moja studnia jest sucha. Wyobraźnia wypełnia ją wystarczająco szybko.

Zawsze chciałeś być artystą?

Na początku marzyłem o zarządzaniu ogrodem zoologicznym. Mój ojciec (Feliks Kaczanowski – psychiatra, członek AK, bohater wojenny. Ukrywał Żydów, ludzi oporu i wybitne osobistości w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach, którego był wieloletnim dyrektorem. Uratował od zagłady m.in. prof. Władysława Tatarkiewicza i jego żonę – przyp. aut.) przyjaźnił się z jego ówczesnym dyrektorem – doktorem Janem Żabińskim, który w 1947 r. przywiózł mi w prezencie młodą sarenkę. Chciałem być Żabińskim. Przyszedł jednak moment, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę żyć bez literatury, muzyki, sztuki i poezji. Dużo czytałem. Zacząłem też sam pisać poezję, ale dość szybko się zorientowałem, że miałem talent tylko na kilkanaście wierszy. Musiałem się zająć czymś innym...

Jak się dorastało w Tworkach?

Widziałem tam dużo cierpienia i totalnej samotności pacjentów, ale również komiczność wielu codziennych

dokładnie taki jak na portrecie. Na tym obrazku zawarłem intuicję, mówiącą mi, co się z nim stanie. Marek to zauważył i mocno się skrzywił. A ja powiedziałem: „Tu jest twoja przyszłość. Ale nie martw się, gdybym malował

sytuacji. Taka szekspirowska zupa: śmierć i zabawa. Płacz i śmiechy. Rozpacz i śpiewy. Głód i tańczące kobiety. W takim świecie rosła moja młodość. Jak w teatrze bez antraktów. Jak w „Walcu” Miłozza – „Jest taka cierpienia granica, za którą się uśmiech pogodny zaczyna”. Tak więc jak mogłem malować kwiaty w wazonie pod kolor kanapy lub wpadające w oko śliczne abstrakcje? Dziś, jak się nad tym zastanawiam, to wiem, że mając 16 lat, byłem tak naprawdę 40-letnim mężczyzną. Nie tylko z powodu wojny i surrealistycznego otoczenia. Odczuwałem jakąś metafizyczną inność.

A pamiętasz rysunek, od którego wszystko się zaczęło?

Męskie genitalia narysowane kredą na ceglanej ścianie. Kopia – jak łatwo się domyślić (śmiech).

W 1960 r. w warszawskim SPATiF-ie odbyła się twoja pierwsza wystawa.

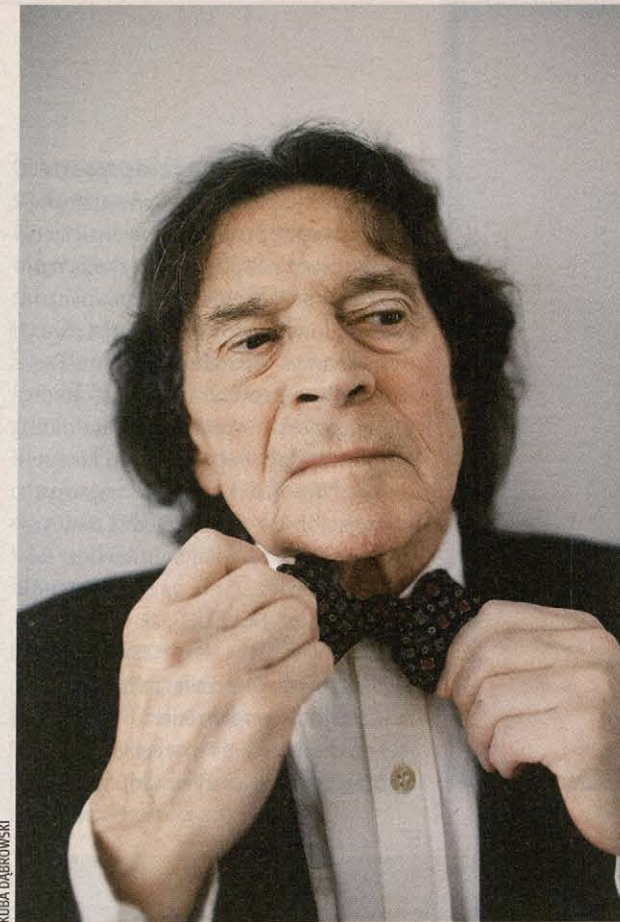
Było wspaniale. Piliśmy wielkie ilości darmowego egri bikavera, a do tego poznałem tam pierwsze w życiu osoby, które chciały kupić mój obraz. Byli to Andrzej Łapicki i jego piękna małżonka Zosia.

Kupili?

Nie, bo się nie zgodziłem. Nie wiem dlaczego. Nie pamiętam. Nie wiem nawet, co się w ogóle stało z tą akwarelą.

Byłeś chyba jedynym studentem, którego wpuszczano wtedy do SPATiF-u. Dlaczego?

Piłem wódkę z pisarzami, aktorami, poetami, a także z moimi profesorami z ASP, między innymi z Fangorem, który był tylko 10 lat starszy. Myślę, że mogłem tam być dzięki swojemu pochodzeniu. Moja rodzina była jak wóz strażacki z drabinką, po której mogłem się wspinać. Dziadek był przedwojennym posłem, a ojciec znanym psychiatrą, który w Tworkach leczył z alkoholizmu Broniewskiego i Gałczyńskiego. W towarzystwie miało to zapewne jakąś socjalną wagę.



KUBA DĄBROWSKI

Z notatnika Witolda-K:

- Nie wiem, czy namalowałbym chociaż jeden dobry obraz, gdyby nie moje uzależnienie od muzyki klasycznej.
- Pomnażam stan posiadania mojej rodziny, kupując swoje stare obrazy, kiedy nadarza się nadzwyczajna okazja.
- Obywatelskim obowiązkiem mężczyzny jest posiadać poczucie sprawiedliwości. Ja na przykład dałem trzem kobietom po jednym dziecku. Pomyślcie tylko, ile kobiet marzy o dziecku i nie ma mężczyzny.
- Lęk przed utratą młodości powinien się skończyć w wieku 99 lat. Sztuką życia jest umiejętność pozbycia się go.
- To nie takie proste zdefiniować ludzką samotność. Bo jest samotność rybaka z wędką w rękę i samotność profesora, który usiłuje bez sukcesu wytłumaczyć studentom, co to jest samotność.

Niewiele osób wie, że jesteś też autorem plakatów. W tym słynnego plakatu promującego turystykę w Polsce Ludowej.

To zadziwiające, że akurat ten plakat zrobił furorę. Kiedyś cała galeria Lafayette'a była nim obwieszona. Sprzedawano go nawet w formie pocztów-



ki. Zarabiano na tym grube pieniądze, a ja dostałem z 500 zł (śmiech). Plakat ma ciekawą historię. Namalowałem go na płóciennym worku i przyniosłem do akceptacji. W komisji był krytyk, a właściwie cenzor, reprezentujący KC. Obrazek bardzo mu się spodobał. „Wszystko w porządku, ale musicie wyeliminować ten bat”. Bo namalowałem drabiniasty wóz, którym powoził jakiś chłopek. Gomułka rządzi, a chłopek ma trzymać bat nad proletariatem! Lenica, Cieśliewicz i Tomaszewski skakali z radości! Za nic nie chciałem rezygnować z bata. Wpadłem na niesamowity pomysł. Zdobyłem telefon do ambasady radzieckiej i poprosiłem o audiencję u pana ambasadora pod pretekstem skonsultowania plakatu, który będzie reprezentował mój kraj na świecie. Ambasador ucieszył się niezmiernie, że liczę się ze zdaniem władzy sowieckiej. Gdy pokazałem mu obrazek, powiedział tylko: „Oczyń charoszy, oczień”. Na koniec mówię: „Mam małego synka, chciałbym mu podarować ten oryginał. Gdyby podpisał go pan z tyłu, byłaby to dla niego wielka pamiątka”. Machnął: „Oczyń charoszy” i podpisał. Po tygodniu przyniosłem plakat do cenzora. „Mieście zlikwidować bat!”. A ja na to, odwracając plakat: „Panu ambasadorowi podoba się tak, jak jest”. Zamknąłem facetowi pysk na dobre... Chłopcy, rozmawiamy już za długo. Bardzo mi zależy, żebyście na koniec jeszcze coś dodali.

Zamieniamy się w słuch.

Napiszcie proszę, że Witek wygląda jak... dupa wielbłąda (śmiech).

Ale za to jaka! Bez cienia siwizny.

To zasługa ormiańskiej krwi, której kropla we mnie płynie. Pewnie dlatego nie siwieję. Wszyscy zarzucają mi, że się farbuję. Niektórzy nie mogą pojąć, że są jeszcze ludzie, którzy nawet w starszym wieku potrafią nosić blue jeans z klasą. 🐘

Bartosiak & Klinke - Wywiadowcy.pl

Bloomberg Businessweek

Knowhow
i sprawdzona
metodologia

Polska

Biznes
i gospodarka
świata

Biznesplan
na tydzień

Najważniejszy
dla nas jest
rynek polski



Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



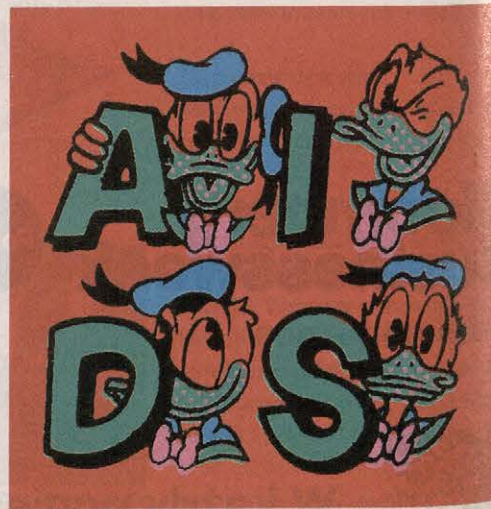
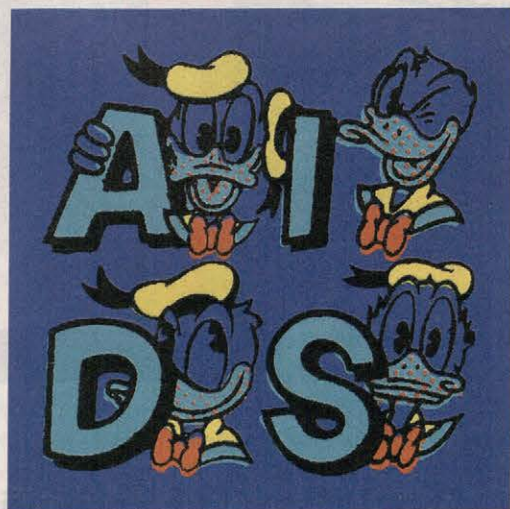
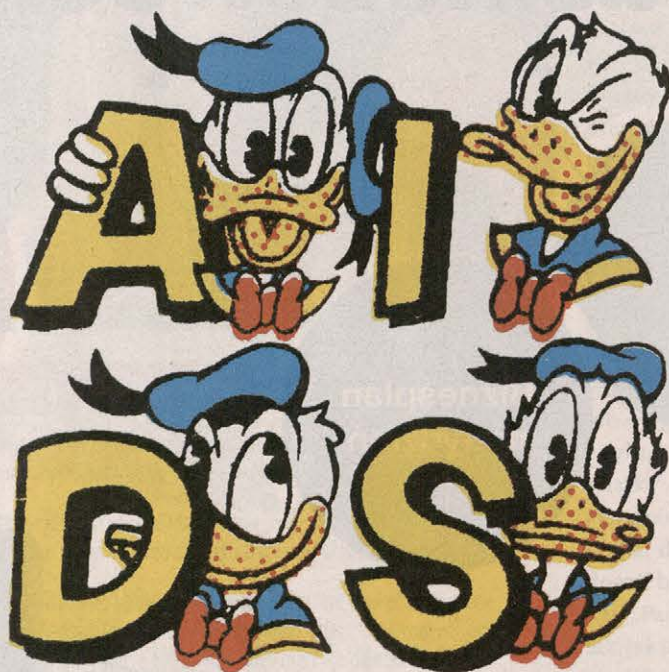
W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

Trzy strzały

Pozornie najweselsze prace bywają najtrudniejsze. Obraz i serigrafie „AIDS” Karola Radziszewskiego do takich właśnie należą. Jeśli pamiętacie prace Roberta Indiany „Love”, grupę General Idea i jeśli zdarzyło się wam słyszeć o Ryszardzie Kisielu, to macie już trzy puzzle układanki – tyle że Radziszewski łączy je w pogmatwany sposób. Zacząć warto jednak od wesołych kaczorów z disneyowskiej bajki oplatających litery AIDS. To zderzenie choroby i radosnego świata dziecięcej telewizji stanowi doskonały komentarz problemu trawiącego środowiska gejowskie w latach 80. i 90., ale na tym nie koniec. Praca kieru je nas w rejony zapomnianych i nieistniejących ikon naszej kultury. „AIDS” jest elementem dużego projektu „Kisieland” penetrującego archiwum Ryszarda Kisiele, który, choć artystą nie był, aktywnie przyglądał się środowisku gejowskiemu przełomu lat 80. i 90., wydając pierwszy polski zin gejowski „Filo”. Jedną z publikowanych tam ilustracji jest napis AIDS, ironicznie wyklejony z radosnego wykwitów konsumpcjonizmu, wlepek z Donaldem i Myszką Miki. Radziszewski, zafascynowany zbiorami Kisiele, zaczął tworzyć prace, które – jak sam tłumaczy – mogłyby powstać w Polsce tamtych lat. – Stworzyłem potencjalną ikonę tamtych czasów. Pracę, która idealnie wpisałaby się w nastrój lat 90., ale z jakichś przyczyn nigdy nie zaistniała.

O Kisielu i „Kisielandzie” będzie można jeszcze usłyszeć między innymi podczas tegorocznego Planete+Doc Film Festiwal, gdzie zaprezentowany zostanie film Karola Radziszewskiego. → Alek Hudzik

www.artvolver.com/radziszewski



KAROL RADZISZEWSKI, AIDS, 2013
DZIĘKI UPRAWEJMOŚCI GALERII RASTER



DOROTA BUCZKOWSKA, BEZ TYTUŁU Z SERII „ŁASKOTANIE PODNIEBIENIA”, 2013
DZIĘKI UPRAWEJMOŚCI GALERII STARTER



Łaskotanie podniebienia

Dorota Buczkowska biogram zaczyna od słów: „rzeźba, instalacja, fotografia” i próżno na tej liście szukać malarstwa. W te najmniej rozpoznane rewiry twórczości uderza wystawa „Łaskotanie Podniebienia” prezentowana w galerii Starter. – Bazuję przede wszystkim na pracach z zeszłego roku, stworzyłam wtedy cykl rysunków wykonanych kosmetykami – mówi artystka.

Tym razem formaty prac powiększą się do rozmiaru okazałych płócien. Prace Buczkowskiej z kosmetykami wiąże nie tylko materiał wykonania. Ulubionym zagranem artystki jest zderzenie brzydoty i piękna oraz ich ciągła gra w kulturze. Tak jak prawdziwe i niedoskonałe ciało maskujemy coraz to zmyślniejszymi kosmetykami, tak Buczkowska konstruuje obraz brzydkich, ciężkich, zwiotczalych form, malując je wymuskanyimi pastelowymi kolorami. Takie sensualne, cielesne prace są jej wyjątkowo bliskie. Wystarczy wspomnieć tytuł wystawy w warszawskim CSW, „Zółć zwykła brała się z wątroby”. Jednak to, co przyciąga u Buczkowskiej najbardziej, to zawołowana forma, niezidentyfikowana abstrakcja, w którą wplata główną zasadę swojej sztuki: „Kłamstwo pierwszego kontaktu”. W „Łaskotaniu podniebienia” dwuznaczny jest już tytuł: łaskocze nas musujące wino i łaskoczą pyłki, wiosenna zmora alergików. Mimo to przekonajmy się, jak „kłamie” Buczkowska i zobaczymy, co kryje się pod tym pięknym oszustwem. → ah

Galeria Starter, ul. Andersa 13, Warszawa, 24.04–23.05, wernisaż: 23.04, godz. 18, www.starter.org.pl



ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA GAZETA

Ze squatu do Wenecji

Galerię założyłam z konkretnym postanowieniem. W instytucji państwowej nowej sztuki nie pokaże, o tej najnowszej mogę zapomnieć. Ja chciałam po prostu iść własną drogą – mówi Marta Kołakowska.

Od sześciu lat prowadzi w Warszawie Galerię Leto. Początki były dosyć partyzanckie, w kamienicy na Hożej, w której kiedyś urzędowali squattersi, potem kominiarze, a od 2007 r. sztuka. – Przynajmniej nie trzeba było wchodzić po schodach i mieliśmy „white cube” – odpowiada galerzystka. Do Kołakowskiej szybko zawitali artyści, przede wszystkim młodzi i głównie z Poznania, bo Leto jest w znacznej mierze odpowiedzialne za sukces artystów, którzy kiedyś nazywali się Penerstwem. – To dobór często oparty na przyjaźni, jest w tym coś z emocjonalnej relacji, w której po okresie fascynacji przychodzi długa fala poznawania się i docierania.

O sukcesach Marta mówi raczej niewiele, szuka ich nie w sobie, ale w osiągnięciach artystów, których reprezentuje. Od pierwszej wystawy „Atlantis” Radka Szłagi, koncertu performance’u grupy KOT (Bosacki, Smoleński, Bąkowski), po te, które przysły z czasem i odbiły się głośnym echem – sukces Radka Szłagi, Honzy Zamojskiego, nowy lokal (w Soho Factory). Wreszcie Pawilon Polski w Wenecji, w tym roku tworzony przez Konrada Smoleńskiego. Tym sposobem Marta Kołakowska poszła swoją drogą. Z korzyścią większą niż tylko własna. → ah www.leto.pl

Artvolver
co dwa tygodnie
poleca wam
ciekawe wystawy
w Polsce
i na świecie,
prezentuje
sylwetki
kolekcjonerów
i galerzystów,
a także analizy
intrigujących
dzieł sztuki.

Maciej Nowak

Co następnym razem?



ARTUR KOT

**Hamlet A.D. 2013
w książkach się
tarza, ale do nich
nie zagląda.
To tylko
scenografia.
Znak.**

- Zróbmy tragedię na H. - usłyszałem 10 lat temu od Jana Klaty. Na samą myśl o zbliżeniu się do „Hamleta” Shakespeare’a zdrząłem. Byłem wtedy dyrektorem teatru Wybrzeże w Gdańsku i dopiero w tym momencie zrozumiałem, jaką skalą odpowiedzialności obciążony jest przywilej wprowadzania do repertuaru dzieł największych. Potrzebowałem kilku tygodni, by podjąć decyzję. Przekazałem ją Klacie esemesem, który, jak twierdzi, przechowuje w telefonie do dzisiaj. Wkrótce powstało przedstawienie, zainscenizowane na terenie Stoczni Gdańskiej, w hali, w której 20 lat wcześniej pracowała na suwnicy Anna Walentynowicz. Przedstawienie, które zyskało status kultowego, przedstawienie, w którym młody reżyser rozliczał pokolenie swoich rodziców z mitu „Solidarności” i transformacji. Rozpoczęło się od sytuacji, w której Hamlet i Horacio, grani przez Marcina Czarnika i Cezarego Rybińskiego, grali w turbo golfa na rozpadających się reliktach Stoczni. Stary Hamlet Jerzego Gorzki przejeżdżał przez nią konno w starożytnej zbroi husarza spod Wiednia i wzywał syna do wyrównania krzywd.

Dziesięć lat później w Schauspielhaus Bochum w Zagłębiu Ruhry w kolejnym „Hamlecie” reżyserowanym przez Jana Klatę królem-duchem jest ten sam Marcin Czarnik, który grał duńskiego królewicza w Gdańsku. W tym samym białym kostiumie i z kijem do turbogolfa. „Ich war Hamlet...” – zaczyna spektakl słynnymi słowami z „HamletMaszyny” Heinera Müllera, które są jednocześnie jego wyznaniem intymnym. Stojący obok dzisiejszy następca tronu w Elsynorze, grany przez Dimitrija Schaada, jest modnie uczesany młodym człowiekiem, zajmującym się przede wszystkim dylematami natury estetycznej. Zaraz na początku spada na niego z nadscenia grad książek. „Każdy Hamlet ma książkę w ręku. Ale jaką książkę czyta Hamlet współczesny?” – pytał 60 lat temu Jan Kott w „Szekspirze współczesnym”. Hamlet A.D. 2013 w książkach się tarza, ale do nich nie zagląda. To tylko scenografia. Znak. Podobnie jak mo-

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

nolog „Być albo nie być...” przeniesiony przez Klatę do tzw. sceny z aktorami, odgrywanej przed Królem i Królową. Nie znaczy nic, jest wyłącznie aktorskim retorycznym popisem. Chwilę później książkę inscenizuje wizję niczym ze spektakli Jana Fabre’a: raz z Guildensternem i Rosenkrancem taplają się w potokach farb. W finale wynurza się z nich Duch starego Hamleta, co wywołuje wściekłość Klaudiusza. Wrzeszcząc i trzęsąc się ze złości, wykrzykuje słowogodne wiceprezydenta Warszawy: „To ma być teatr! To ma być teatr?! Gdzie się podziały dwa tysiące lat kultury europejskiej?!”.

Hipsterską, estetyzującą niemoc współczesnego Hamleta widać też na cmentarzu, gdzie czaszka Yorrioka okazuje się kopią diamentowej czaszki Damiana Hirsta. „Na miłość boską, co wymyślisz następnym razem?” – zapytała ponoć matka brytyjskiego artysty, zobaczywszy to dzieło. Matka Hamleta mogłaby powtórzyć tę kwestię. Artystowski klimat przepętania również finałowy pojedynek, który choreograf Maćko Prussak zamienił w piękną sekwencję tańca współczesnego. Nie pojawia się broń, a bohaterowie tragedii zabijają się, wyrywając sobie nawzajem serce.

I wtedy ponownie wkracza Marcin Czarnik, krzycząc: „Hamlet de hoch. Zawsze to chciałem powiedzieć z niemieckiej sceny!”. Staje nad trupem Hamleta i recytuje po polsku „Tren Fortynbrasa” Zbigniewa Herberta tłumaczony na niemiecki przez Horacja. „Zegnaj książko, czeka na mnie projekt kanalizacji i dekada w sprawie prostytutek i żebraków (...) Dziś w noc urodzi się gwiazda Hamlet. Nigdy się nie spotkam z tobą, to, co po mnie zostanie, nie będzie przedmiotem tragedii...”. Usłyszeć takie słowa z ust polskiego aktora w środku bogatej i zaradnej Nadrenii-Westfalii? Nie wiem, co działo się w głowach ginekologiczno-somatologicznej publiczności Bochum, ale po zapamiętaniu kurtyny entuzjastycznym brawom i standing ovation nie było końca. A ja już zacząłem ostrzyć sobie ząbki na Klatowego „Hamleta” lat 20. XXI w.

„Hamlet”
rez. Jan Klata,
Schauspielhaus Bochum,
premiera 9.03,
kolejny spektakl: 27.04, 5.05,
godz. 19.30



Dorota Chrobak o filmach



reż. Steven Spielberg, USA 1993, UIP, 121 min

👍👍👍👍👍

PRZYGODOWY

Jurassic Park 3D

Rydwan czasu potraça każdego, ale wobec obchodzącego właśnie 20. jubileusz „Jurassic Parku” okazał się zadziwiająco łaskawy. Oczywiście sporo tu elementów dziś wywołujących raczej uśmiech niż dreszcz emocji, m.in. wzornictwo komputerów czy patetyczna do bólu muzyka Johna Williamsa. Obroniło się jednak to, co już w chwili premiery wydawało się największą wartością tego filmu: pionierskie, robiące wrażenie i dziś efekty specjalne (tak, tak!) oraz ponadczasowy duch Przygody przez duże „pe”, w filmowaniu którego Spielberg wszak jest mistrzem. Trudno orzec, czy za kolejne 20 lat „Jurassic Park” nie okaże się przestarzałą ramotką. Dziś jednak w pełni zasługuje na miano klasyka. 📺

Katarzyna Nowakowska o serialach

Bohaterowie: przyjaciele i mapety

Rzadko i tylko w przypadku naprawdę dobrych seriali bohaterowie stają się kimś więcej niż ekranowymi bytami – przyjaciółmi. Jak agent Cooper albo Veronica Mars. W „Community” od razu dostajesz całą paczkę w pakiecie. To już czwarty sezon tej przyjaźni. W skład paczki wchodzi sami popaprańcy: pozbawiony dyplomu prawnik oszust Jeff Winger (Joel McHale), niezbyt mądra aktywistka Britta (Gillian Jacobs), podstarzały milionier Pierce (Chevy Chase), naiwna Annie (Alison Brie), wysportowany czarnoskóry przystojniak Troy (Donald Glover), który z głupoty zniszczył swoją sportową karierę. Jest też samotna matka Shirley (Yvette Nicole Brown), która rozpoczęła studia, by móc wystartować z własnym biznesem: sprzedają brownie, oraz Abed (Danny Pudi): pół Polak, pół Palestyńczyk uzależniony od telewizyjnej popszmiry student filmoznawstwa.

Nieoczekiwanie tę niedobraną grupę łączy mocna więź, która przykuwa do ekranu również widza. A jeszcze mocniej intryguje popkulturowa jazda bez trzymanki, w której wszystko może się zdarzyć. Łącznie z tym, że bohaterowie przemieniają się w mapety (to jeden z najlepszych odcinków bieżącego sezonu).



reż. Krzysztof Łukaszewicz, Białoruś/Polska 2013, Kino Świat, 101 min

👍👍👍

DRAMAT

Żywie Białaruś!

Stawiam wódkę, że oto jesteśmy świadkami narodzin filmu kultowego – dla Białorusinów. Niemniej nawet bez sensacyjnej otoczki tworzącej powstanie tego dzieła (odtwórca głównej roli jest uchodźcą politycznym, pozostali aktorzy są represjonowani etc.) „Żywie...” sprawdza się jako uniwersalna opowieść o walce jednostki z systemem, jego potwornością i absurdami, nieodparcie zresztą śmieszny mi. I to właśnie podkreślona świetną ścieżką dźwiękową buntownicza energia i idealizm, którymi tętni film, wydają się tu i najcięższe i najbardziej wzruszające. Goryczą napawa fakt, że choć my mieliśmy Aptekę i Brygadę Kryzys, takiego ekranowego „raportu z oblężonego miasta” się nie doczekaliśmy. 📺



Serialowo-filmowe metażarty Abeda oraz szalone stroje i niewiarygodne pointy w wykonaniu dziekana Peltona (scenarzysta Jim Rash), a także gościnne występy takich tuzów jak John Goodman i Malcolm McDowell sprawiają, że sitcom Dana Harmona (twórcy m.in. „The Sarah Silverman Program”) to rozrywka dla wytrawnych serialożerców. No i jest cholernie śmieszny. 📺



100
STRON
LEKTURY

NOWY NUMER

w sprzedaży od 25 kwietnia, a w nim m.in.:

- Alain Besançon / Wyścig okrucieństw
- Leszek Moczulski / Nocna furia Hitlera
- Jacek Borkowicz / Afryka nad Prypecią



Available on the
App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

Recenzuje Angelika Kucińska



POP

Miłość w czasach kryzysu

Nowa płyta Noviki to rzecz pisana kompromisem, choć bezkompromisowo szczerą.

Pierwsza dama muzyki klubowej? Ta wyświechtana wizytówka już nie przejdzie.

„Heart Times” to piosenki pomiędzy imprezą i melancholijnym porankiem po, a także błyskotliwą taneczną elektroniką w stylu Roisin Murphy i minimalistycznym indie popem. Novika sprawnie pogodziła scenę, z której się wywodzi, z kompozytorską dojrzałością i świadomością treści. „Heart Times” to wyłącznie dobre piosenki, angażujące, estetycznie zróżnicowane – i, co ważne, z tekstami, które przestały być detalem w scenografii i wyszły na pierwszy plan, bo to płyta o kryzysie relacji, a wspólny mianownik w treści spaja to, co różni się muzycznie. I żeby była jasność – to mało parkietowa płyta, choć do paru numerów można zatańczyć, niekoniecznie wolnego.



Novika,
„Heart Times”,
MMA Records
👍👍👍👍

POP

Bogaci w piosenki



Phoenix,
„Bankrupt!”,
Warner
👍👍👍👍



Tytuł nowej płyty Phoenix można traktować niezobowiązująco. I bynajmniej nie dlatego, że sprzedaż poprzedniego albumu zagwarantowała im wiele lat życia w tantiemowym dobrobycie, ale dlatego, że samo „Bankrupt!” to manifest bogactwa. Bogactwa pomysłów.

Wydany cztery lata temu, „Wolfgang Amadeus Mozart” wprowadził francuski zespół na listy przebojów, a nazwa dla zorientowanych (Phoenix? To zespół męża tej modnej reżyserki?) przekuł w szyld o masowej rozpoznawalności (potwierdzonej tourem po najważniejszych amerykańskich programach telewizyjnych). Czy „Bankrupt!” wytrzyma presję płyty po przełomie w karierze? Spokojnie. Eksperymentalne poszukiwania, którymi reklamują płytę, to coś więcej niż banalny marketingowy wybieg. „Bankrupt!” pęka od świetnych, bezpretensjonalnie przebojowych refrenów – znanymi firmowy Phoenix – a produkcyjne zabiegi zwiastujące zmiany (choćby infantylne melodyjki z zabawkowego keyboardu wmontowanego w aranżacje inspirowane modą na new romantic) nie przeszkadzają piosenkom. Z takimi hitami niewypłacalność im nie grozi.

POP

Tom Waits jest kobietą!

Chociaż prowokacja z tytułu wymaga drobnego sprostowania – Waitem jest Marek Dyjak, a zmiana płci dokonała się bez interwencji chirurgicznej. Zdemolował „Sen” Edyty Bartosiewicz, „Tomaszów” Ewy Demarczyk wprowadził w perwersyjny dygot, a „Sutrę” Sistars zamienił na nonszalancką melodeklamację (ale bez taniej pretensji piosenki aktorskiej). Dyjak, wokalista wielki krtanią i charyzmą, notorycznie porównywany do Toma Waitsa ze względu na zgodność knajpianych zaśpiewów, wziął na warsztat piosenki polskich wokalistek i tekściarek, reprezentujących różne dekady i estetyki (jest Nosowska z Heyem, jest Hanka Ordonówna). Popsuł, powywacał, agresywnie przeinterpretował – ale zamach na wersję oryginalną to jedyna słuszną postawą, gdy nagrywa się covery. Dyjak nie chowa się za cudzymi tekstami, raczej zmienia ich charakter – desperacją w wykonaniu. Podarujcie siostrom, matkom, żonom i kochankom.



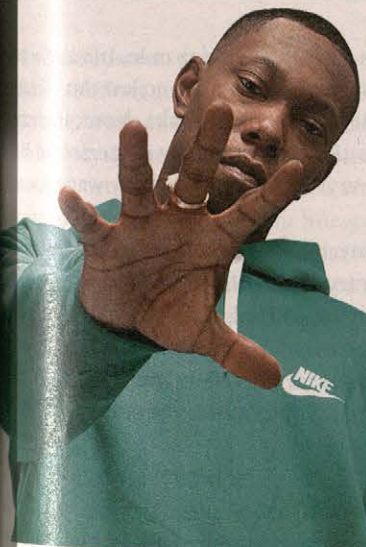
Dyjak, „Kobiety”,
Agora
👍👍👍👍

CONCERT

Electronic Beats wraca

Już w tym tygodniu w ramach cyklicznej imprezy Electronic Beats wystąpi brytyjska gwiazda beatu Dizzee Rascal.

Metryka nie wskazuje (rocznik '85), ale Rascal to weteran – jeden z pionierów i najbardziej zasłużonych reprezentantów londyńskiej sceny grime, która połączyła amerykański w inspiracjach hip-hop z brytyjską muzyką klubową. Debiutował dziesięć lat temu, i to płytą nagrodzoną Mercury Music Prize. Od tamtej pory zdobył jeszcze kilka



Electronic Beats,
26.04, Hala nr 2 Międzynarodowych Targów
Poznańskich, Poznań

prestiżowych branżowych odznaczeń i wydał kilka bestsellerowych albumów – dzięki czemu słusznie trafił do czołówek brytyjskich raperów. Intensywny rap Rascala to niejedyna atrakcja kolejnej edycji Electronic Beats. Wśród zaproszonych gwiazd znalazł się m.in. A-Trak, kanadyjski didżej, showman (ten człowiek wie, po co wychodzi na scenę), pięciokrotny zwycięzca dziecięcych mistrzostw świata, autor największych utworów Kanye Westa, Yeah Yeahs czy Sebastiena Telliera.

Recenzuje Bartek Winczewski



Charles Bradley
„Victim of Love”

Charles Bradley,
„Victim of Love”,
Daptone
👍👍👍👍

SOUL

Wyjście z mroku

Jest nazywany „krzyczącym orłem soulu”.

I rzeczywiście – w klasycznym soulu mało kto lata tak wysoko.

Oto historia równie niesamowita jak ta opowiedziana w „Sugar Manie”. O jej bohaterze, 65-letnim soulmanie Charlesie Bradleyu, też zresztą nakręcono dokument. Jeszcze niedawno występował w podrzędnych nowojorskich klubach jako imitator Jamesa Browna. Zanim w jednym z nich odkrył go szef cenionej wytwórni Daptone i zachwycony talentem wokalisty amatora zapro-

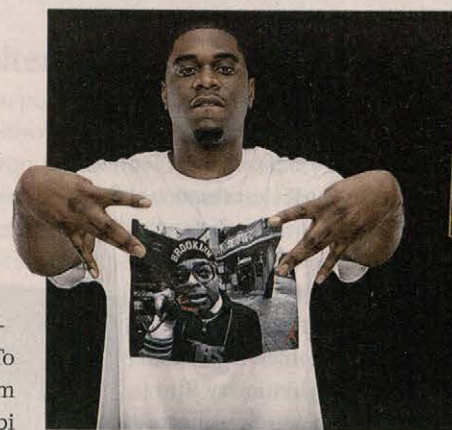
ponował mu kontrakt, Bradley przez pół życia tułał się po Ameryce – był bezdomny, pracował jako kucharz, opiekował się niepełnosprawną matką. Od zawsze jednak marzył o prawdziwej muzycznej karierze i to marzenie w końcu spełniło się dwa lata temu, kiedy wydał debiutancką płytę. Już wtedy zrobił wrażenie ognistym głosem, gorzkimi opowieściami człowieka wyjątkowo doświadczonego przez życie oraz perfekcyjną stylizacją na soul jak z epoki tych, do których najczęściej bywa porównywany: Browna, Greena i Mayfielda. Na „Victim of Love” porywa tym samym, ale zamiast o trudnych sprawach śpiewa o miłości.

HIP-HOP

Bez zadyszki

Hip-hop dobry i za darmo. Tak rozpieszcza tylko Big K.R.I.T.

Drugiego tak płodnego artysty na próżno szukać nie tylko na polu hip-hopu. Nie minął rok od premiery jego ostatniej płyty, a Big K.R.I.T. ma już kolejną, tym razem udostępnioną bezpłatnie w sieci. To zresztą takim właśnie darmowym mixtape’om 26-latek z Mississippi zawdzięcza opinię najważniejszego obok Kendricka Lemara nowego gracza na rapowej scenie. Wypuścił ich dotąd już dziesięć, jednak szczęśliwie dla siebie i fanów wciąż nie łąpie zadyszki. Z materiału na materiał rozwija się jako raper, a jako producent wciąż szuka nowych pomysłów. Jako reprezentant południa Ameryki niezmiennie nawiązuje do najlepszych



Big K.R.I.T.,
„King Remembered
In Time”,
bigkrit.com
👍👍👍👍

tradycji tamtejszego hip-hopu, jak wcześniej choćby Outkast, proponując hip-hop bujający, melodyjny i ciekawie czerpiący z innych gatunków, w tym przypadku elektroniki i alternatywy. I za te właśnie sample z Jamesa Blake’a i M83, za tak otwartą głowę należą się K.R.I.T.-owi największe brawa.



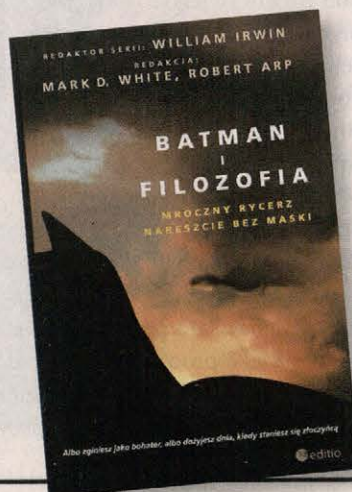
MARCIN KUBE

Wykłady z Batmana

23 komiksowych geeków z amerykańskich uniwersytetów analizuje człowieka nietoperza.

Pod koniec XX w. wydawało się, że postać Batmana straciła popkulturową nośność i jest skazana wyłącznie na animowaną-komiksową egzystencję. Tymczasem następną dekadą okazała się batmanowym renesansem. Głównie dzięki brytyjskiemu reżyserowi Christopherowi Nolanowi, który podjął temat na poważnie, w realistycznej konwencji. Jego „Mroczny Rycerz” z 2008 r., najwybitniejszy film serii, opowiadał o lękach i traumach współczesnego świata, owładniętego szaleństwem nadzoru i strachem przed terroryzmem.

Autorzy zbioru esejów „Batman i filozofia” idą podobną ścieżką co Nolan. Przechodzą do porządku dziennego nad faktem, że dorosły człowiek biega po mieście w rajtuzach i pelerynie, zastanawiając się, co tkwi pod maską nietoperza. Wśród 23 autorów znaleźli się profesorowie filozofii, krytycy filmowi i kultu-



rozstawcy. W krótkich esejach dowodzą m.in. nietscheańskich korzeni Batmana, zastanawiają się, co jest mu bliższe – benthamowski utilitaryzm czy może etyka deontologiczna Kanta. Z kolei w eseju „Pod maską: każdy może zostać Batmanem” zestawiono Azyl Arkham z „Nadzorować i karać” Michaela Foucaulta.

Jak bywa w podobnych zbiorach, nie wszystkie teksty są równie błyskotliwe i intrygujące. Słabiej wypada choćby esej Christophera M. Drohana „Alfred, mroczny rycerz wiary” w którym naukowiec, nawiązując do Kierkegaarda, porównuje siłę wiary Batmana, który stracił rodziców, do Biblii i go Abrahama, któremu Bóg poleca złożyć w ofierze jedyne syna Izaaka.

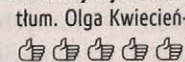
Gotham jak Nowy Orlean

Autorzy stawiają różne, czasem ironiczne pytania: Czy Joker można uznać za poczytalnego? Dlaczego Batman go nie zabija, skoro ten ciągle ucieka z Arkham i morduje niewinnych ludzi? Jakim prawem Batman trenuje nastolatków (Robin) do walki z psychopatycznymi złoczyńcami?

Kiedy wczytamy się głębiej w komiksowe treści, okaże się jednak, że częstokroć poruszają niepokojące i ważne kwestie. Pojawiają się pytania o karę śmierci i monopol władzy na przemoc (który Batman kwestionuje), a także o etyczny wymiar zemsty.

Fascynujące są również eseje o władzy w Gotham City. W komiksie „No Man's Land” po przejściu trzęsienia ziemi miasto zostaje opuszczone przez ludzi.

Mark D. White i Robert Arp, „Batman i filozofia: Mroczny Rycerz nareszcie bez maski”, tłum. Olga Kwiecień-Maniewska, Editio 2013, 34,90 zł



podcięte kordonem armii. „Tu kończą się Stany Zjednoczone” głosi tablica na granicy. Oczywiście Gotham nie jest zupełnie puste. Wielu ludzi pozostało. Na ulicach króluje przemoc i handel wymienny: elektronika i biżuteria straciły na wartości, a w cenie są żywność i broń. Przypomina to sytuację Nowego Orleanu po przejściu huraganu Katrina w 2005 r. Zarówno w komiksie, jak i w Luizjanie władze zadawały sobie pytanie: „Czy warto za wszelką cenę ratować zniszczone miasto?”. Najciekawsze jest to, że „No Man's Land” opublikowano sześć lat przed Katriną. O tym jest tekst „Ziemia niczyja...” Bretta Chandlera Pattersona, wykładowcy teologii i etyki z Południowej Karoliny.

Jak magnes na freaków

Dlaczego człowiek nietoperz jest tak wyjątkową postacią w światowej kulturze popularnej? Superman jest passé, Spider Man jest dla dzieci, a Batman wciąż fascynuje młodzież i dorosłych. Jego wyjątkowość polega na tym, że mimo statusu superbohatera ciągle jest tylko człowiekiem. Nie jest przybyszem z innej planety (Superman), nie został obdarzony nadludzkimi umiejętnościami (Spider Man), nie jest ofiarą mutacji (Hulk). Korzysta z technologii jak Tony Stark (Iron Man), ale geneza jego przemiany jest znacznie głębsza. W dzieciństwie Bruce Wayne był świadkiem zabójstwa rodziców. Z traumy narodził się Batman. Pewnie dlatego jest nam tak bliski. Jednak kto wie, czy on sam nie jest największym przekleństwem Gotham? To przecież on przyciąga do miasta wszystkich freaków w barwnych strojach, którzy chcą się z nim zmierzyć.

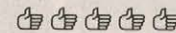
W USA podobnych publikacji, które zderzają popkulturę z myślą humanistyczną, jest mnóstwo. Swoje monografie mają m.in. Tony Soprano i „South Park”. W Polsce takich prac jest mniej, dlatego tym bardziej warto zatrzymać się przy „Batmanie i filozofii”, mimo że miejscami zdarzają się mielizny.

Najpierw myśleć, potem mówić

Teresa Torańska uważała, że nie ma pytań, których nie należy zadawać. Bo treść pytania jest ważna, ale kluczowy jest sposób, w jaki podaje się je drugiemu człowiekowi. I to on przesądza o sukcesie spotkania. „Wywiady” jej nie interesowały – tak określała bezmyślne odbijanie piłeczki, klepanie kwestii z kartki. Wolała słowo „rozmowa”. „Ja, My, Oni” to wydany w formie książki zapis rozmów Teresy Torańskiej i Małgorzaty Purzyńskiej. W Mozaice na warszawskim Mokotowie, w nieistniejącej już Cafe Brama i wreszcie w swoim domu „polska Fallaci” opowiadała młodej dziennikarce o tajemnicach zawodowego warsztatu, ale również o swojej tożsamości kresowianki i bagażu rodzinnych traum, o specyfice „pokolenia '68 roku”, także o cenie za życiowy nonkonformizm. „Nie poszłabym na urzędnika. Jestem wolnym człowiekiem. Sama sobą dyryguję” – stwierdziła w rozmowie z Purzyńską. Nie była materialistką, nie potrzebowała wiele, do tego była odważna, więc nie musiała romansować ani z komunizmem w PRL-u, ani z komercją w wolnej Polsce. Potrafiła żywić się śledziami i ziemniakami w mundurkach. Albo pracować pół roku nad jedną rozmową. Powtarzała: „Szczęście to masz wtedy, gdy wygrasz w totolotka. A w dziennikarstwie wszystko jest efektem pracy”. Spotkanie z Torańską to cudowny odpoczynek od pseudoautorytetów, medialnych wojen, miłego przekazu, jakimi jesteśmy atakowani na co dzień. → Hanna Rydlewska



„Ja, My, Oni. Teresa Torańska w rozmowie z Małgorzatą Purzyńską”, Biblioteka Gazety Wyborczej, 34,99 zł

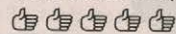


Pakt z alter ego

To komiks o pozornych stratach i zaskakujących zyskach. Głównym bohaterem jest nastolatek ID i jego alter ego, tajemniczy Doomboy, który pojawia się w chwili, gdy chłopak traci wszystko, co dla niego najcenniejsze – dziewczynę i zespół. Doomboy staje się sposobem na wypełnienie pustki, wygranie wszystkich złych emocji i powiedzenie tego, co zostało wcześniej przemilczane. Meksykański rysownik Tony Sandoval, wykorzystując motyw muzyka, który pakuje ze siłami nadprzyrodzonymi, lekką i zwiewną, nieco karykaturalną kreską portretuje galerię barwnych osobowości, ujawnia grzeszki i sekrety niektórych z nich, wreszcie pokazuje za pomocą sugestywnych, pięknie pomalowanych akwarelami plansz, jak potężna magia tkwi w muzyce. Pozycja obowiązkowa zarówno dla fanów dobrych powieści graficznych, jak i miłośników dobrego grania, nie tylko doommetalowego. → Dominika Węclawek



Tony Sandoval, „Doomboy”, Timof comics 2013, 65 zł



WANDA MODZELEWSKA

Proste przyjemności

Jakie są tendencje w designie w tym sezonie? Poznaliśmy je właśnie na **mediolańskich targach Isaloni (czyli Salone di Mobile)**. Hasła dominujące imprezy to spokój, dom, rodzina, zdrowie, dobre samopoczucie.

Źródłem szczęścia może być ładny ogród lub balkon, skromny, ale wygodny dom, ulubione przedmioty, czas spędzony z bliskimi, świadomość, że żyje się w zgodzie z naturą, nie marnotrawiąc energii i materiałów.

Brzmi to wszystko niemal naiwnie i zapewne niejedyn z wytrawnych badaczy kultury konsumpcyjnej powiedziałby, że sprzedają nam to, co chcemy kupić. Z drugiej strony jednak świadczy to o tym, jak mocna jest nasza potrzeba zachowania właściwej hierarchii wartości i docenienia tego, co niekoniecznie drogie i ekskluzywne. Skoro firmy podejmują dialog z tą potrzebą i próbują ją zaspokoić, jesteśmy przynajmniej na dobrej drodze.

Obowiązuje prostota, bezpretensjonalność, wręcz przyzwolenie na mocno nonszalancki styl życia. Dowód? Choćby projekty francuskiego designe-

ra Jeana Nouvela w ramach autorskiej wystawy biuro-garaż. Męska część publiczności była zachwycona hangarem z ocynkowanej blachy, w którego kącie parkuje krwistoczerwony motocykl Bugatti, a role biurek pełnią warsztatowe stoły. Przekaz jest w zasadzie prosty: żyj ciekawie niezależnie od budżetu, miejsca itp.

1 Kultura podziału

Jak się okazuje, możemy dzielić się nie tylko swoim czasem i umiejętnościami, dobrami intelektualnymi. Możemy dzielić się również przestrzenią i meblami, np. zestawem piknikowym Marina belgijskiej firmy Extremis. Firma, która od wielu lat opisuje swoje nowoczesne outdoorowe propozycje jako „narzędzia bycia razem”, zachęca w swoich materiałach,

by kupić taki zestaw razem z sąsiadami i wspólnie dzielić się miejscem oraz dobrą zabawą.

Marina, proj. Bruno Fattorini & The Partners, prod. Extremis

2 Ogród na smutki

Kontakt z przyrodą i wypoczynek na świeżym powietrzu w mniej lub bardziej wyrafinowanym otoczeniu jest zdaniem projektantów najlepszym remedium na stres i przemęczenie. Kolekcja mebli ogrodowych i akcesoriów ogrodniczych Gardenias, którą hiszpański designer Jaime Hayon zaprojektował dla Barcelona Design, to propozycja nowoczesna, ale również romantyczna i nostalgiczna, pozwalająca odtworzyć utracony ogrodniczy „raj”. **Donice Gardenias**, proj. Jamie Hayon, prod. Barcelona Design

3 Gramy w zielone

Zieleń zaatakowała zewsząd w Mediolanie: zarówno ta żywa, jak i ta pieczołowicie wybrana spośród wielu odcieni we wzorniku Pantona. Jeszcze nigdy design tak szybko nie poszedł w ślady mody. Królowały pastelowe, delikatne odcienie mięty, turkusy, szafwii, ale od czasu do czasu pojawiały się także intensywniejsze trawiaste, butelkowe czy limonowe odcienie.

4 W ciągłym ruchu

Meble (choć nie tylko) wydają się coraz bardziej uwzględniać nasz nomadyczny tryb życia i... coraz mniejszą przestrzeń życiową, którą dysponujemy. Lekkie, mobilne, składane, ograniczone do niezbędnego minimum, wielofunkcyjne. Jednym z hitów targów okazał się podręczny niezbędnik Adidas zaprojektowany przez Toma Dixona i zaprezentowany w efektownym kontekście zabytkowych lokomotyw w mediolańskim Muzeum Techniki.

The Capsule, proj. Tom Dixon, prod. Adidas

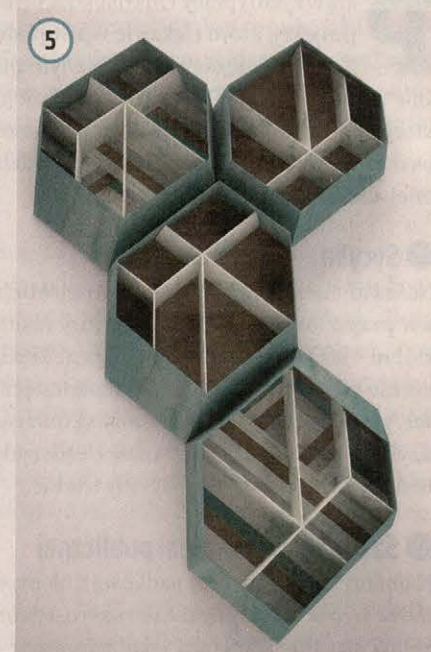
5 Wszystko się może przydać

Przetworzyć, dać drugie, trzecie czy piąte życie. W szczytnym celu, dla ochrony środowiska, dla zabawy. Znaleźć sposób, by wykorzystać coś, co pozornie już do niczego się nie przyda. Uszanować materiał, tak jak szanujemy chleb. Coś poruszającego jest w pięknych marmurowych mozaikach włoskiej firmy Budri zaprojektowanych przez Patricię Urziolę, w których użyła odłamków powstałych podczas niszczycielskiego trzęsienia ziemi w prowincji Emilia.

Półki z kolekcji Ertquake, proj. Patricia Urziola, prod. Budri

6 Czysta robota

Naturalne kolory, naturalne materiały, ręczna praca. Maksymalna prostota i przejrzystość tego, jak powstają przedmioty. Hiszpańska designerka Nani Marquina od lat stosuje transparentną



politykę produkcji w autorskiej marce, teraz wzmocniła ją dodatkowo z niewymuszoną urokiem kolekcji dywanów Natural, uprzedzonych z juty, konopi, wełny i jedwabiu.

Dywan Vegetal, proj. i prod. Nani Marquina

7 Kamień na kamieniu

Kamień przeżywa prawdziwy renesans popularności. Ten nurt napędzany jest z jednej strony nostalgią za latami 80.: z eksperymentami Ettore Sottassa oraz estetyką grupy Alchymia. Z drugiej, kamień zalicza się do naturalnych materiałów, a nierzadko ma piękny kolor i unikatowy rysunek – świetnie spełnia więc wymogi poszukiwaczy naturalnej

oryginalności. Kamienny stolik kawowy to „must have” tego sezonu.

Stolik Enoki, proj. Philip Mainzer, prod. E15

8 Kolor optymistyczny

Choć kolory na tegorocznym Isaloni były raczej stonowane: naturalne, pastelowe, złamane dodatkiem szarości lub beżu, to jednak ogólnie dominujące tonacje kolorystyczne można było zdecydowanie zaliczyć do jasnych, pozytywnych. Tę zmianę zauważyć można było tym bardziej, że zniknęła często obecna w ostatnich sezonach czerń. Czyżby więc koniec żaloby po kryzysie? **Sofa Bikini**, proj. Werner Aisslinger, prod. Moroso

BARBARA REDO

Wybierają Beata i Paweł Konarscy

Lubią popatrzeć w gwiazdy i porozmyślać o galaktykach. Pewnie dlatego wiele ze swoich projektów realizują pod gołym niebem, w przestrzeni miejskiej.

Para w życiu i pracy. Ona malarka, on architekt, razem realizują projekty, które ciekawie wpisują się w miejską przestrzeń. Kolorowe pegazy na stołecznym placu Krasińskich to właśnie jedna z ich prac. Teraz otwierają kolejną wystawę w budynku, który dopiero powstaje. Unikatowa przestrzeń wieżowca zamieni się na dwa dni w galerię sztuki. Nam opowiedzieli o swoich ulubionych miejscach, koncepcjach, zajęciach.

1 Sycylia

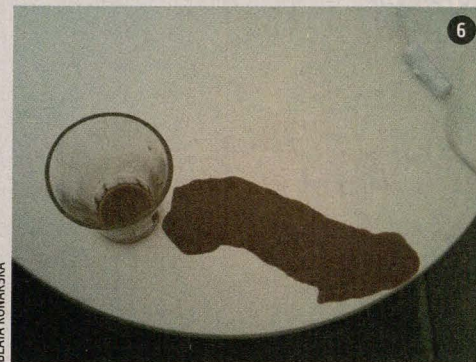
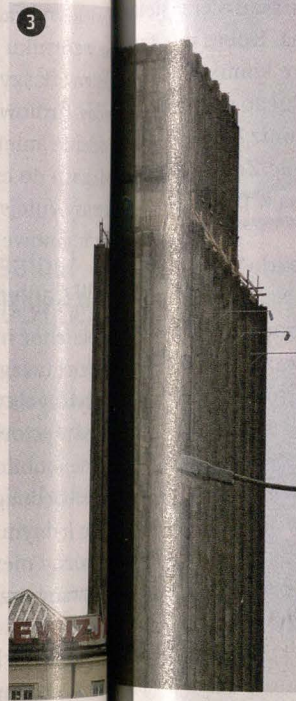
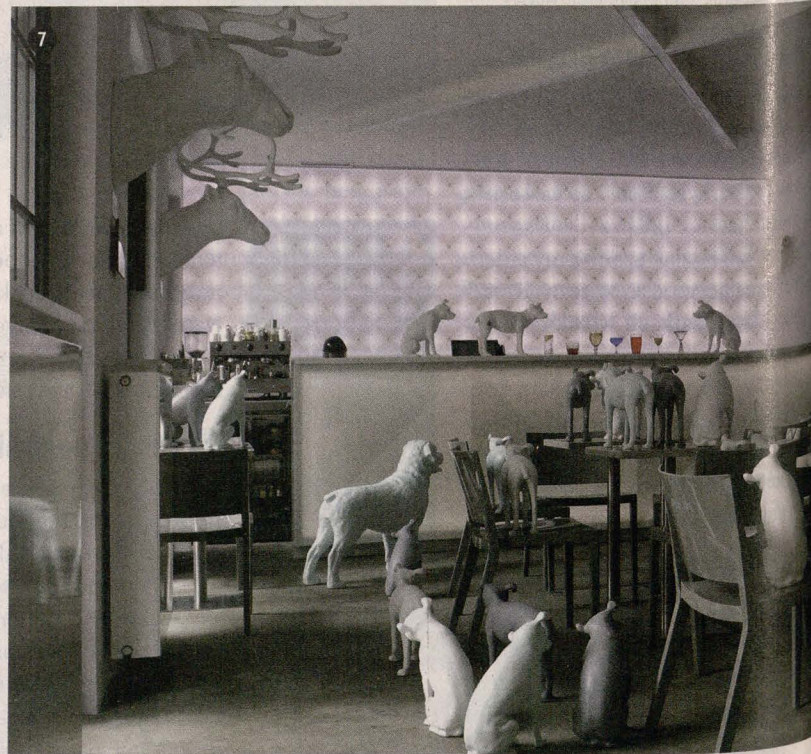
Nasza idylliczna kraina szczęśliwości. Miejsce ślubu, chrztu córek, a w przyszłości spokojnej emerytury razem z sycylijskimi przyjaciółmi – tak przynajmniej planujemy. Tam ładujemy baterie, dzięki czemu możemy przetrwać sześciomiesięczną zimą w Polsce. Miejsce, gdzie zapachy, smaki i kolory są intensywniejsze, a relacje międzyludzkie bardziej spontaniczne i zdecydowanie cieplejsze. Bez Sycylii życie w Polsce byłoby trudne.

2 Sztuka w przestrzeni publicznej

Najbardziej lubimy przypadkową i nieprzewidywalną, może być w skali mikro lub makro, stworzoną przez człowieka lub istniejącą jako samoistny twór czasu, przypadku czy nieświadomej ingerencji. Nadaje inny wymiar przestrzeni i życiu. Potrafi zatrzymać czas i odebrać od rzeczywistości.

3 Place budowy, rozbiórki

Budowa jest ciekawym momentem w życiu miasta. Śledzimy przebieg budów w Warszawie, obserwujemy, jak powstaje bryła, wbija się w kadr, dzieli lub łączy przestrzeń. Często budynki są najciekawsze właśnie w fazie surowej konstrukcji, z ludźmi pracującymi na wysokości widocznymi z poziomu ulicy, z całą infrastrukturą budowy: dźwigami, rusztowaniami, taśmami zabezpieczającymi teren, a nawet przenośnymi toaletami ustawionymi w abstrakcyjnych miejscach na wysokości. Bryły wyglądają wówczas jak zmieniająca się rzeźba współczesna, idealne interdyscyplinarne dzieło sztuki wpisane w przestrzeń miejską, trochę jak eksponat w muzeum: odgrodzone od odbiorców i nietykalne. Rozbiórki są



„Wystawa malarstwa” na placu budowy oraz „Uwaga! Teren budowy – nieupoważnionym wstęp wzbroniony” - Artist-In-Residence. 26.04–28.04, Warszawa, Cosmopolitan, Twarda 2/4. Godz. 11.00–19.00.

Konarska-Konarski, kolektyw artystyczno-kuratorski Beaty i Pawła Konarskich pracuje od 2003 r. Twórcy działań artystycznych w przestrzeni miejskiej łączących elementy malarstwa, designu oraz architektury. Autorzy instalacji tworzonych na zamówienie instytucji publicznych (m.in. „Pegazy” na warszawskim placu Krasińskich), projektów site specific (m.in. „Koguty” w Ambasadzie Francji, „Dom na Drzewie” w Bibliotece Uniwersyteckiej). Od 2011 r. realizują „Wystawę Malarstwa” – projekt w przestrzeni publicznej związany z malarstwem Beaty Konarskiej. Jako designerzy stworzyli i prowadzą sklep i bar Pies Czy Suka.

równie ciekawe. Budynek nagle znika z przestrzeni miasta. „Wystawa malarstwa na budowie” oraz rezydencja „Uwaga! Teren budowy – nieupoważnionym wstęp wzbroniony” będą miały miejsce właśnie na placu budowy, w wieżowcu mieszkalnym Cosmopolitan, przy ulicy Twardej 2/4 w Warszawie.

4 Puste billboardy

Reklama zewnętrzna to zasadniczo element, którego w przestrzeni miejskiej nie tolerujemy, przynajmniej w takiej formie, jaka występuje w Polsce. Warszawa jest śmietniskiem reklamy, a mieszkańcy są pod ciągłym jej obstrzałem. Natomiast kiedy billboardy są puste, bez reklam, całkowicie zmieniają swój sens. Wtedy czasami, w odpowiednich okolicznościach, bywają nawet piękne.

5 Dachy

Ludzie zazwyczaj nie zwracają uwagi na to, co znajduje się ponad ich głowami, a tam jest cała fascynująca infrastruktura. Dziwne konstrukcje, anteny, rusztowania, neony, pozostałości reklam, silosy na wodę i ludzie, którzy wbrew pozorom bardzo często pojawiają się na dachach. Każde miasto ma swoją specyfikę dachów. Na przykład w Wenecji na szczytach kamienic są małe tarasy, które wyglądają jak gniazda. Najdziwniejszy widok: człowiek wspinający się po cienkiej i długiej antenie podczas wichury z deszczem na dachu wysokiego budynku. Ledwo widoczny z ulicy. Chybotający się na tej antenie.

6 Rozlania

Z reguły jest to irytujące, kiedy się coś rozlewa, a jednak czasem rozlania mają w sobie jakąś tajemniczą moc. Aż szkoda wycierać, bo plama ma idealny kształt.

7 Pies Czy Suka

Wypadkowa naszego życia projektowego, tego, co zrobiliśmy i co przed nami. Pole minowe naszych pomysłów, które tutaj przechodzą testy. Miejsce łączące design, grafikę, architekturę, sztukę i dziedziny pokrewne, a to wszystko dopełnione barem. Pies Czy Suka rośnie i rozwija się razem z nami, jest już całkiem dojrzałym zwierzem.

8 Kosmos

Wybuchy na Słońcu są znacznie ciekawszymi newsami niż te ziemskie. Świadomość, że w naszej galaktyce może być nawet 400 miliardów planet – w stosunku do ośmiu w Układzie Słonecznym – pozwala nabrać stosownego dystansu do rzeczywistości. Ewidentnie Ziemia nie jest w centrum wszechświata, a współczesny człowiek opakowany nowoczesną technologią i designem, pozornie silny zdobywca, w rzeczywistości jest zagubiony, samotny i zawieszony w przestrzeni.

KUBA DĄBROWSKI

Bajki dla prawie dorosłych

O pierwszej okładce Kalibra 44, gdzie rapowy styl spotyka się z Bohdanem Butenką.

Rok 1998, Polska. Kobas Laksa ma 27 lat i jest chwytającym się wszelakich dziedzin artystą. Pochodzi z Białegostoku, skończył ASP w Poznaniu, teraz mieszka w Warszawie. Kręci niskobudżetowe – dziś powiedzielibyśmy „offowe” – filmy, jak na przykład „Fikcyjne Pulpety”, czyli osadzona w polskich realiach wersja „Pulp Fiction”, fotografuje, rysuje, miksuje muzykę... W wytwórni S.P. Records Kobas jest nieformalnym „konsultantem od hip-hopu”. – Rap poznałem bardzo wcześnie, na przełomie lat 80. i 90. – opowiada. – Kolega wysyłał na Zachód winyle z polskim punkiem i nową falą, różne Siekiery itp. W zamian dostawał rzeczy stamtąd. Raz zamiast winyli dostał kasetę z nagraniem kawałkami Public Enemy i Boogie Down Production. To było objawienie. – W sekundę zrozumiałem, że gitarowe rzeźenie, choć fajne, niedługo się skończy, że tworzy się nowa energia i gitary pozostaną dla dziadów.

Domowymi środkami Kobas zaczyna nagrywać rap, kasetę z nagraniami wysyła Kazikowi. – Na szczęście nie wyszło z tego żadne poważne wydawnictwo, ale w wytwórni wydającej Kult i Pidżamę Porno stałem się ekspertem od hip-hopu. Nikt się na tym nie znał, a wytwórnia czuła potencjał w nowej muzyce. „Konsultant” odsłuchuje przysyłane przez zespoły demówki, ocenia ich jakość i potencjał. – Kaliber 44 był według mnie najciekawszy, wykraczał poza wszelkie schematy. Chłopaki ra-



Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

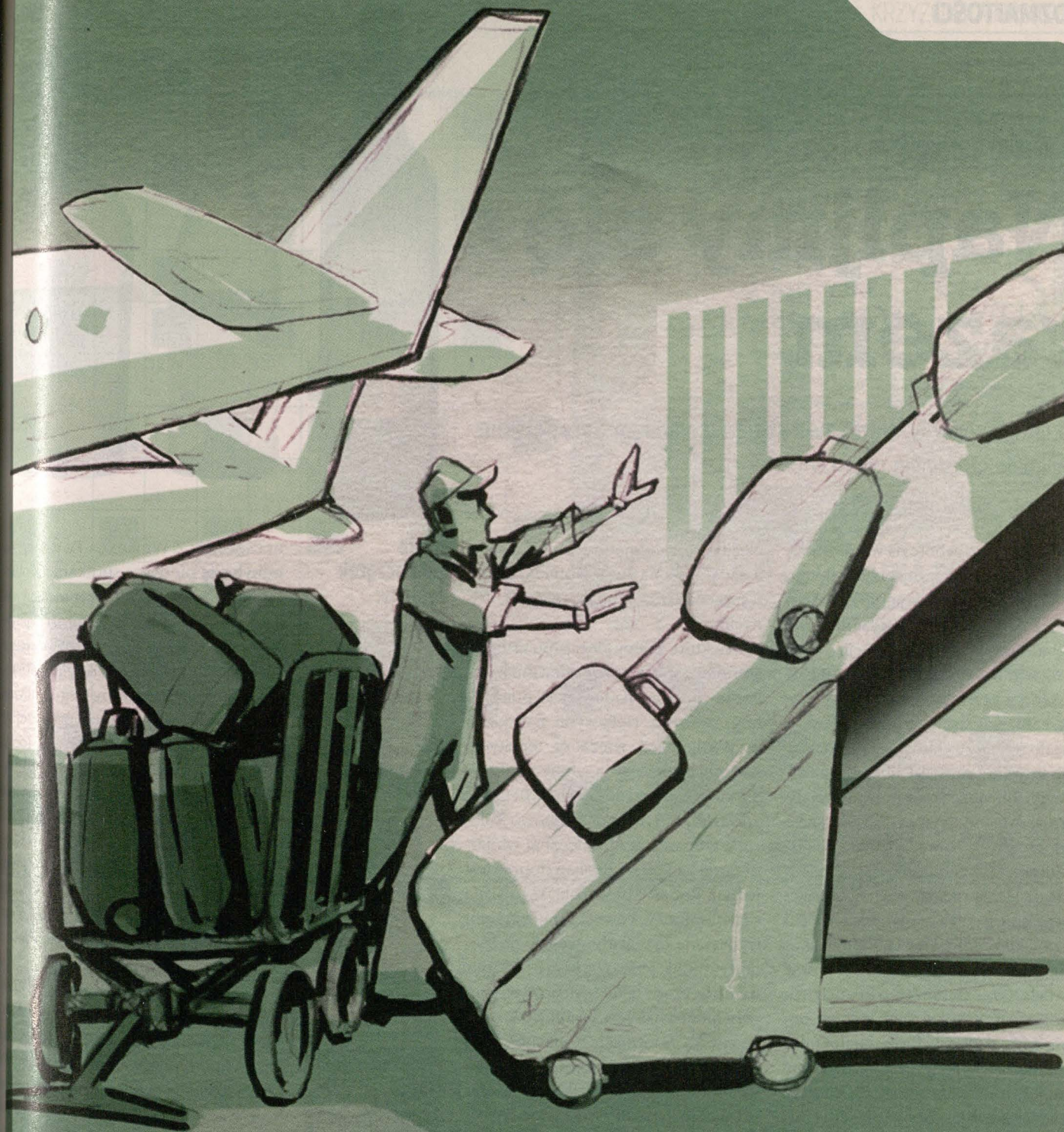
powali, ale nie traktowałem ich jak raperów. Robili swoją muzykę, która była zupełnie nową jakością.

Z punktu widzenia wytwórni pierwsza płyta Kalibra z 1996 r. była gotowym produktem. Kobas ją po prostu aprobował, a S.P. po prostu wydało. Podczas nagrywania drugiej płyty wytwórnia wysyła Kobasa na kilka dni do Katowic, gdzie ma odwiedzić zespół w studiu i sprawdzić, jak przebiegają prace. Okazuje się, że członkowie Kalibra znają stare nagrania Kobasa, a poza tym wszystkich łączy zamiłowanie do substancji psychoaktywnych. Przesłany z centrali nadzorcy szybko staje się kolegą. – Po wyjściu ze studia włączyliśmy się po miejsców-

kach, oglądaliśmy graffiti. Od razu było widać, że chociaż fizycznie jesteśmy w Katowicach, to głowy chłopaków są zupełnie gdzie indziej, że w muzyce i w tekstach stworzyli własną rzeczywistość. Zrozumiałem, skąd bierze się ich energia – wspomina. Kobas pokazuje raperom swoje stare komiksy. Szybko oczywiste staje się, że to wizualny odpowiednik tego, co muzycznie i tekstowo dzieje się na płycie. Zespół zamawia u Kobasa utrzymaną w podobnej estetyce okładkę.

„Nadzorca” wraca do Warszawy i zabiera się do pracy. Nagranej na kasetę roboczej wersji płyty słucha kilkanaście razy dziennie. – Doszedłem do wniosku, że rapowanie chłopaków było jak opowiadanie bajek. Podlanych narkotykami bajek dla dorosłych lub prawie dorosłych. Kiedy tworzyłem okładkę, postanowiłem stworzyć ilustracje do tych bajek. Z jednej strony inspirowałem się kulturą graffiti, z drugiej humorem Bohdana Butenki – relacjonuje Kobas. – Wymyśliłem postaci wzorowane na członkach zespołu i zafundowałem tym postaciom fantastyczne przygodę – na planetach, w różnych dziwnych miejscach. W dwa tygodnie powstało około 100 rysunków, coś w rodzaju komiksu bez dymków.

– Dzisiaj wszystko jest konsumpcyjnym wyborem: jestem raperem, zakładam takie, a nie inne trampki, rysuję takie, a nie innym mazakiem. W tamtych czasach trudno było zdobyć w Polsce porządny mazak. Wiele dobrych rzeczy brało się z tego, że czegoś nie było i trzeba było kombinować albo że nie istniały jeszcze ustalone schematy narysowania czegoś. Rysowałem cienkopisem i kilkakrotnie poprawiałem outline, żeby był grubszy. Dlatego jest w rysunkach z okładki taka charakterystycznie lekko poszarpana kreska. Z rapem było podobnie – można było wszystko, nie było jeszcze wiadomo, na czym dokładnie jego polska odmiana będzie polegać. Chwilę później wszystko stało się przewidywalne. ☺



Turystyka od kuchni

Co planują linie lotnicze? Kto zakupił nowe samoloty? Dokąd najczęściej latają Polacy? Wejdź na turystyka.rp.pl, pierwszy profesjonalny portal branży turystycznej.

Turystyka
serwis branżowy „Rzeczpospolitej” rp.pl

RZECZPOSPOLITA

rp.pl

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Napijmy się razem

Po latach posuchy Warszawa staje się całkiem europejskim, czyli degustacyjnym miejscem.

Macie ochotę na wino? Butelkę można otworzyć w domu, można w knajpie z przyjaciółmi. Ale można też się udać na jedną z coraz liczniejszych degustacji.

Są te duże, instytucjonalne, organizowane przez izby handlowe, stowarzyszenia winiarzy, agencje promocji. Raz do roku – zwykle wiosną – prezentują się wina z Austrii, Chile, Hiszpanii, Sycylii, Tokaju, czasami również Kalifornii i Argentyny; w 2013 r. wreszcie zadebiutowała Nowa Zelandia. To duże imprezy, zwykle odbywają się w jednym z pięciogwiazdkowych hoteli, wystawiają się na nich winiarze już obecni na polskim rynku oraz ci dopiero szukający importerów. Można spróbować na nich 100, 200 albo 300 win – oczywiście to niemożliwe w ciągu jednego popołudnia, ale każdy może znaleźć coś dla siebie. Niekiedy są to wydarzenia zarezerwowane dla branży winiarskiej, ale najczęściej jest pewna pula dla publiczności i winomani w kulturalnych zamiarach zawsze się na nie dostaną.

Druza kategoria winiarskich eventów to te organizowane przez sklepy winiarskie. Tych też jest coraz więcej, niekiedy są proste i niezobowiązujące typu „dzień otwartej butelki”. Towarzyszą im czasem jakieś drobne przekąski, niekiedy obowiązuje symboliczna opłata, ale najczęściej nie się nie płaci. Wprowadza ten zwyczaj sieć sklepów Centrum Wina, wprowadzają niezależne sklepy

osiedlowe, zgodnie ze znaną winiarską zasadą, że jedna otwarta butelka potrafi sprzedać sześć albo dwanaście kolejnych.

Niektóre sklepy sięgają po grubszą amunicję: warszawskie Alewino regularnie zaprasza najlepszych polskich importerów z ciekawymi flaszkami, w Winkolekcji wieczory tematyczne prowadzi świetny winny edukator Sławomir Chrzczonowicz. Renomé zdobyły już atrakcyjne cenowo kolacje z winiarzami w stołecznej winiarni Enoteka Polska. Królem imprez jest jednak Robert Mielżyński, regularnie organizujący w Warszawie i Poznaniu wypasione przeglądy swojego portfolio, tym atrakcyjniejsze, że są bezpłatne. Często w czasie takich sklepowych spotkań można nabyć prezentowane wina ze zniżką. Informacje o wydarzeniach czerpiemy ze stron internetowych, deklentów, Facebooka albo starych dobrych newsletterów.

Trzeci nurt degustacji najbardziej mnie cieszy, bo pokazuje, że coś się w winiarskim narodzie autentycznie zaczyna dziać. To oddolne inicjatywy zapaleńców i pasjonatów, którzy się skrzykują, żeby razem otworzyć parę ciekawych flaszek. Do niedawna odbywały się po prostu w prywatnym gronie, ale dzięki Internetowi nabierają większego zasięgu. W Poznaniu działa prężna grupa Winni Poznania, w Krakowie istnieją Winiarskie Konfrontacje



Wina na początek wiosny:

1 Traslagares Verdejo 2012, ananas, limonka, anyż, do sałaty, ok. 40 zł

2 Crow's Fountain Chenin Blanc 2012, jabłko, gruszka, pieprz, do kurczaka, ok. 40 zł

3 San Giovanni Garda Il Chiaretto 2011, róże, wiśnie, truskawki, do krewetek, ok. 63 zł



WOJCIECH BONKOWSKI

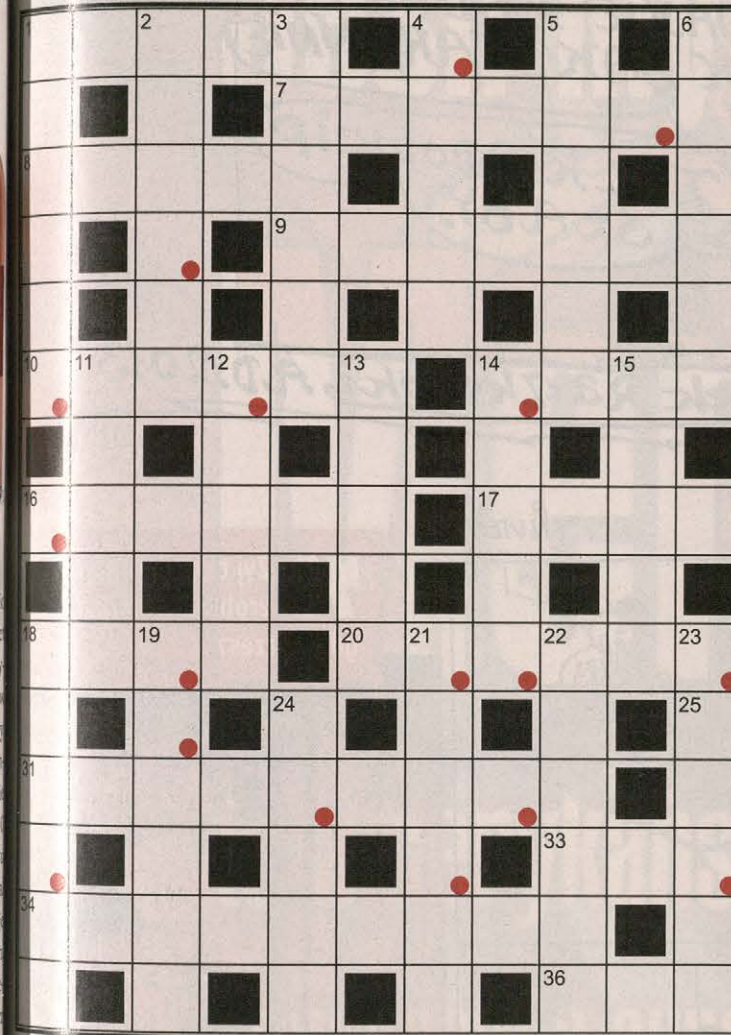
Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiary.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

oraz projekt Z Winem na Ty, a ostatnio odbyło się pierwsze spotkanie Kobiet i Wina. Winiarskie vibracje można wy czuć też w Łodzi. Im tego typu inicjatyw więcej, tym bardziej normalnie jest bo w takich krajach jak Anglia, Holandia, Francja, USA kluby degustacyjne istnieją w każdym mieście powyżej 10 tys. mieszkańców. W Nowym Jorku jest już ich tyle, że aż powstał portal The Local Sip, zbierający informacje o wszystkich winnych wydarzeniach. W Polsce nadal skazani jesteśmy na siebie, chociaż orientację ułatwi kalendarz wydarzeń winiarskich na portalu Winiary.pl, prezentujący imprezy z całej Polski (można też zgłaszać własne w specjalnym formularzu).

Na koniec degustacyjne ABC. Jeszcze jedna impreza odbywa się w małym miasteczku na przykład lokalnym wine barze, zarezerwujcie miejsce z wyprzedzeniem (a potem przyjdźcie, bo niehonorowanie rezerwacji to przykra polska choroba). Nie perfumujcie się! To naprawdę przeszkadza innym. Nie oblegajcie stołki, gdzie wystawione są wina, tylko zrobcie dwa kroki w tył i dopuście innych. Niech i nauczcie się wypluwać. Brzmi nieelegancko, ale gdy do spróbowania jest różnorodnych win, nawet konsumując pół litra, możemy mieć problemy ze znalezieniem wyjścia. Dżentelmeni i damy dyskretnie korzystają z wystawionego w tym celu wiaderka. Napić się można przecież w domu albo w knajpie.



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

1. TWARDZA FRYZURA
7. PIJE NA SŁUŻBIE
8. KRÓTKO O CZŁOWIEKU
9. DAŁ ŁUDZIOM OGIĘĆ
10. ZŁO TO
14. SZUKA WALENIA NA POLU
16. DZIECKO DWÓCH OJCÓW
17. NAJLEPSZY Z CEBULKĄ
18. MA LWI PAZUR

20. KIERUJE RUCHEM NA DRODZE
25. OD SASA DO LASA
31. DALEKO ZAJDZIE
32. ZDAWANA PO EGZAMINIE
33. 12 GODZIN W FABRYCE
34. NIEBYWAŁY
35. DALEKO JESZCZE?
36. ZA MUNDUREM PANNY Z ŻUREM

PIONOWO:

1. CO DWIE GŁOWY, TO NIE JEDNA
2. CUKIER NA GORZKO
3. GDZIE POSZYJ KONIE
4. WYLANA Z KĄPIELĄ
5. SIŁA ZŁĘGO NA JEDNEGO
6. LEŻAŁA W WANNIE
11. WYDAWAŁO SIĘ DUŻO PIENIĘDZY

12. W KOŚCIÓŁKU
13. ODDYCHA W BUCIE
14. ĆWICZYŃ NA TRAPEZIE
15. PRZY KRZYŻÓWCE Z PRZEKROJEM
18. MA TUPET
19. CHŁOPAK POZIOMKI
21. WŁOSKI DZIADKA
22. RYMANKO

23. REJESTR ŚPIEWAJĄCYCH KOBIET
24. WOJNA DOMOWA
26. CZĘSTO W POGOTOWIU
27. ANANASY NA OSTRO
28. ROŚNIE POD OKIEM CHŁOPA
29. WYCHODZI Z PSEM NA SPACER
30. ORGAN ORGANÓW



Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Rycerze. Historia i legenda”

Wydawnictwa Naukowego PWN
Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesyłać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „Krzyżówka 16/17”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 5 maja 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 13

Małgorzata Kamińska, Bydgoszcz; Ewa Garska, Nowy Tomysl; Włodzisław Tietz, Czerwieńsk; Janina Ozdowa, Płock; Jakub Zawadzki, Łódź; Teresa Jaroszek, Szczecin; Grażyna Rudol, Chrzanów; Marzena Zagórska, Dzierżoniów; Adam Wnęk, Olsztyn; Dieter Wystub, Jelowa

ROZWIĄZANIE Z NR. 14

KRZYŻÓWKA: PRAWDA ABSOLUTNA

POZIOMO: 1. WBRZUSZENIE – PĘPEK 7. ZASTAWA W ZASTAWIE – LOMBARD 8. NARAMIENNIK – DUSZA 9. W ZWIĄZKU Z – SYNTENZA 10. BRZEMIENNA W SKUTKACH – WPADKA 14. LICZBA MNOGA – MASA 16. ŁONO MATKI NATURY – PLENER 17. O TO TO – TLEN 18. PIĘĆ MILIONÓW – BOKS 20. OTRZYMAŁ WIELE KŁOSÓW – SNOPEK 25. SKRĘT DO WÓDKI – ROLMOPS 31. NA RAMIE GOŃ – KOLARSTWO 32. PRZEKRĘT W ELEKTROWNI – TURBINA 33. ZAKŁADANA PRZEZ GŁOWĘ – FAMILIA 34. NIE IDZIE SPAĆ – NIEWYGODA 35. ŚRODEK DO PIECZENIA – ŁOPATKA 36. PAMIĘĆ ODRĘCZNA – NOTATKA

PIONOWO: 1. SZUKA KOCHANIA – PODRYW 2. ZWLEKA SIĘ Z ŁÓŻKA – POSZWA 3. CZYTAJĄ I CYTUJĄ – KLASYK 4. NOŚNIK WIEŚCI – GMINA 5. MAŁO PALI – ZAŁETA 6. BUDZONA NON STOP – ODRAZA 11. DROBNA ROLA – PÓLKO 12. UPRZEJMY W URZĘDZIE – DONOS 13. OBEJMUJE MALPĘ – ADRES 14. STO CENTYMETRO – METRO 15. TAŃCOWAŁY DWA KANAŁY – STEREO 18. AKT W DWÓCH ZASŁONACH – BIKINI 19. KŁADZIE KARTY NA STÓL – KELNER 21. KUPA MYŚLI – NATŁOK 22. BUFAŃ – PROFAN 23. BRAT GRATA – KLAMOT 24. ORGAZM JĘDZY I ROZPACZY – KRZYK 26. PAN JAJECZNIKA – OMLET 27. MATEMATYCZKA PRZY TABLICY – STAŁA 28. TRZYMA WŁADZĘ W PRZEDSZKOLU – GRUPA 29. STOPA OD TYŁU – PIĘTA 30. CHOROBA PRZODKA – ZAWAL

ROZMAITOŚCI



THE ART OF THE DANGLE, JANE GREER

Szarmantkie ssaki

Jak rozpałić wygasłą damę?

Świat pełen jest ludzi monotonnie poruszających szczękami i smutnych za wszelką cenę. Ani to nowość, ani czynnik wysoce wrzodotwórczy. Istnieją kwestie o wiele poważniejsze. Weźmy na przykład plagę wygasłych spojrzeń. Zjawisko to obejmuje coraz szersze rzesze ponowoczesnych dam. Dam z pozoru szczęśliwych, stosownie wyfiokowanych, z tak zwanym selfrealizejszyn i w ogóle. Wygasłość ta, jak wynika z ogólnościowych badań nad kobiecym żywiołem, w większości przypadków bierze się z ognistych marzeń, które spalają od środka. Jak z nimi żyć? Wybujatej metafizyce pomoc może niezawodna fizyka. Jeśli dama oczekuje, że wielki płomień będzie buchał w jej życiu co noc, a w życiu codziennym nie znajduje ku temu możliwości, wstępuje czym prędzej do najbliższej jednostki ochotniczej straży pożarnej i tam, gasząc pożar, odzyskuje żar... zwany wewnętrznym. → Ula Ryciak



” Żyj tak, aby znajomym zrobiło się nudno, gdy umrzesz. Julian Tuwim



Kociak tygodnia: Kornelia, 19-letnia katowiczanka. Interesuje się modą i fotografią. Lubi aktywnie spędzać czas, uprawia jogę, która jest jej pasją. Fot. Sonia Szlachetka

Jeśli myślisz, że

Mervel

to amerykański wydawca komiksów o superbohaterach...

Dałeś się „złapać”? Nie szkodzi!

Czytając dziennik „Parkiet” posiadasz fachową wiedzę, która pozwoli Ci mądrze inwestować w przyszłości. Zrozumiesz, że gry giełdowej można się nauczyć, trzeba tylko korzystać z profesjonalnych narzędzi.

Znajdziesz w nim:

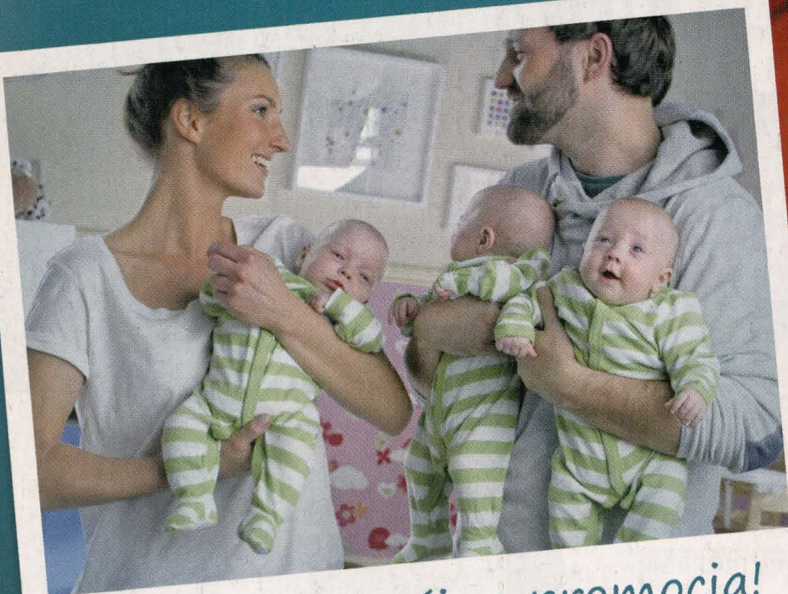
- ▲ sprawdzone newsy z rynku kapitałowego, walutowego i surowcowego
- ▲ analizę spółek, trendów i wydarzeń rynkowych
- ▲ rzetelne rekomendacje dla inwestorów
- ▲ akademię inwestowania dla początkujących



KREDYT MIESZKANIOWY

3x0

- 0% prowizji za udzielenie kredytu
- 0 zł za wycenę nieruchomości
- 0% prowizji za wcześniejszą spłatę



0, tu też potrójna promocja!

www.credit-agricole.pl

801 333 777

koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

 **CRÉDIT
AGRICOLE**

prosto i z sensem

Promocja „Kredyt mieszkaniowy 3 x 0” dostępna jest w placówkach Credit Agricole Bank Polska S.A. i obowiązuje od 06.04 do 30.06.2013 r. Warunkiem skorzystania z promocji jest złożenie wniosku w tym terminie. Przy składaniu wniosku o kredyt prosimy o udokumentowanie dochodu. Szczegółowe informacje oraz regulamin promocji znajdują się w placówkach Banku i na stronie internetowej www.credit-agricole.pl. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania dla kredytu mieszkaniowego udzielonego w promocji „Kredyt mieszkaniowy 3 x 0” w połączeniu z ofertą specjalną „Pakiet Życie” wynosi 5,76%, dane wyczone na dzień 15.03.2013 r. RRSO obliczone przy założeniach: kwota kredytu – 170 000 zł, okres spłaty – 30 lat, LTV – 80%, oprocentowanie kredytu – 5,05%, będące sumą stopy bazowej (stopa zmienna) obowiązującej w Banku (3,75%) i marży Banku (1,30%). Całkowity koszt kredytu wynosi 178 872 zł przy uwzględnieniu kosztów ubezpieczenia na życie na okres 360 mies. – 11 400 zł, ubezpieczenia nieruchomości na okres 360 mies. – 5969 zł, ubezpieczenia pomostowego na okres 6 mies. – 713 zł, wpisu hipoteki z podatkiem – 219 zł, prowizji od kredytu – 0%, opłat za wycenę nieruchomości – 0 zł, prowizji za wcześniejszą spłatę – 0%. Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 K.c.